

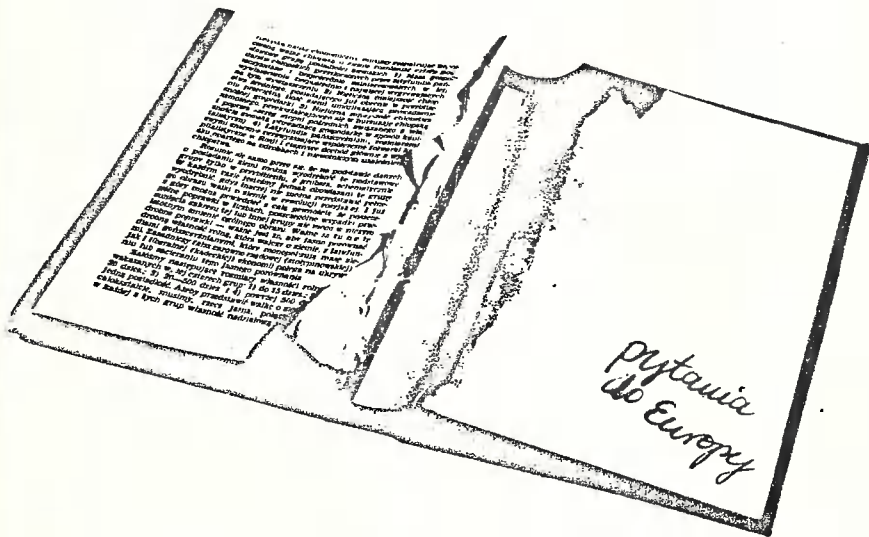
ZBIORY OŚRODKA KARTA

podpunkt



gdańskie zeszyty literackie nr 4 wiosna 1988

podpunkt



gdańskie zeszyty literackie nr 4, wiosna 1986

pytania do Europy

Seria pierwsza

Początek?

Filozof Europy

Przedstawiany w tym i w następnym zeszycie PODPUNKTU cykl "Pytania do Europy" postanowiliśmy stworzyć przekładem eseju Jana Patočki "Europa i dziedzictwo europejskie do końca XIX wieku". Stało się tak nie tylko dlatego, że esej ten ukazuje odległe źródła i dużą część późniejszych dziejów interesującej nas idei - jej początki, jej rozkwit, jej kryzys. Rozpoczynając od Patočki, pragnęliśmy - na miarę naszych możliwości - oddać sprawiedliwość filozofowi, dla którego Europa była stałym przedmiotem namyśłu i który został przez jej wschodnią część odrzucony. Patočka nie zyskał dotąd należnego mu miejsca ani w rodzinnej Czechosłowacji, ani w Polsce czy Rosji. Wschód - rozrzutnie i lekkomyślnie - wyrzekł się jednego z niewielu swych oryginalnych filozofów. W Pradze książki Patočki krążą w nielegalnych podziemnych wydaniach, w Paryżu zaś bez ryzyka można je kupić w każdej większej księgarni. Wydawnictwo Verdier opublikowało w ostatnich latach "Essais hérétiques sur la philosophie de l'histoire" /1981/ oraz "Platon et l'Europe" /1983/, wcześniej w innego wydawcy ukazała się praca "Le monde naturel comme problème philosophique" /La Haye, Martinus Nijhoff, 1976/, do niedawna w druku znajdował się tom "La crise du sens: Masaryk" /Hachette/, który już zapewne ujrzał światło dzienne. Tak oto dzieje europejskiego filozofa wpisują się w dramaty Europy.

Kim był Patočka? W przypisach do opublikowanych przez "Zeszyty Literackie" /1984, nr 5/ fragmentów "Czeskiego sennika" autor, Ludvík Vaculík, przedstawił zwięzły biogram filozofa:

"Patočka Jan /1907-1977/. Filozof. Studiował w Pradze, Berlinie, Wryburgu i Paryżu. Uczeń Husserla, członek Praskiego Koła Filozoficznego, wspóół z prof. Landgrebe opracował spuściznę naukową Husserla. Habilitował się w 1937 pracą «Świat naturalny jako problem filozoficzny». W 1948 roku usunięty z Uniwersytetu Karla, pracował jako bibliotekarz. 1958 powrócił do Instytutu Filozofii Czeskiej Akademii Nauk. 1967 wydaje słynne studium «Arystoteles, jego poprzednicy i spadkobiercy». 1968 wraca na

uniwersytet. 1972 zostaje ponownie wyrzucony i przesiedlony kar-
nie na emeryturę. Prowadzi potem prywatne wykłady w praskich
mieszkaniach. 1976 staje w obronie prześladowanej grupy rock-and-
-rollowej «Plastic People of the Universe». 1977 sygnuje kartę
77 i zostaje jej pierwszym rzecznikiem. Następują niekończące się
przesłuchania. W marcu 1977 przyjmuje go podczas swego pobytu
w Pradze holenderski minister spraw zagranicznych. Kolejne wezwa-
nia na poloję. Po 11 godzinach przesłuchania Patočka stabilnie,
dostaje wylewu krwi do mózgu i umiera".

Polska bibliografia Patočki nie jest zbyt bogata. W "Arch-
wum Filozofii i Myśli Społecznej" /Warszawa 1972, nr 18, s. 3-18/
opublikowano tekst referatu wygłoszonego podczas konferencji w
Warszawie w maju 1971; ukazały się ponadto jego "Uwagi o Romana
Ingardena filozofii obrazu" /W: "Fenomenologia Romana Ingardena",
Warszawa 1972, s. 267-275/, przekład eseju "Czy dzieje mają sens?"
/"Znak" 1975, nr 257-258, s. 1396-1414/ oraz "Sytuacja człowieka
- sytuacja Europy" /"Znak" 1984, nr 351-352, s. 181-191/. Ta osta-
tnia publikacja stanowi początkowy fragment książki "Platon et
l'Europe". Jest to książka szczególna. Zawiera - jak informuje
w nocie wstępnej tłumaczka, Erica Abrams - "oykl jedenastu wykład-
dów wygłoszonych przez Jana Patočkę w Pradze, latem i jesienią
1973 roku w ramach prywatnego seminarium". Francuski przekład
"został oparty w dosłownej transkrypcji magnetofonowego nagranis
opublikowanej nielegalnie w Pradze w 1979 roku jako jeden z tomów
dzieł wszystkich Patočki". Książka "Platon et l'Europe" zawiera
ponadto cztery eseje, z których jeden - "La firme la philisophie
est-elle possible?" - opublikujemy prawdopodobnie w jednym z naj-
bliższych zeszytów.

Przekład eseju "Europe i dziedzictwo europejskie" dokonany
został na podstawie wersji francuskiej /która opierała się na
czeskim oryginale wydanym przez podziemne wydawnictwo praske
Petlice w 1975 roku/ "Essais hérétique sur la philosophie de
l'histoire". Traduit de tchèque par E.Abrams. Prefsce de P. Rico-
eur. Postface R. Jakobson, Paris 1981, Editions Verdier, s. 89-
-103.

Przygotowanie polskiego przekładu nie byłoby możliwe, gdyby
książka Patočki nie trafiła do nas jako dar - pośredni - księgar-
ni "Libella" prowadzonej przez Zofię i Kazimierza Romanowiczów.

(r)

Jan Patočka

Europa i dziedzictwo europejskie do końca XIX wieku

W "Die Verfassung Deutschlands", dziele młodości, które pozostało niedokończonym, Hegel powiada, że ani równość praw, ani jedność religii /przynajmniej w naszych czasach/ nie tworzy państwa, ale że był taki czas, kiedy nawet w najchłodniejszej części Europy religia stanowiła podstawowy warunek powstania państwa, więc niekiedy tak potężną, że ludy obce sobie i rozdzielone uczuciem nienawiści narodowościowej nierzadko przekształcały się nagle w jedno zwarte państwo: "właśnie to Państwo podbiło w wojnie przeciwko Lewantowi krainę będącą źródłem jego życia wiecznego i doczesnego, podbiło nie po prostu jako święta wspólnota chrześcijańska ani jako koalicja jednocząca swe interesy oraz, w imię tychże interesów, swoją rzeczywistą egzystencję, lecz jako jedna potęga światowa, jako Państwo, a także jako jeden lud i jedna armia"/1/. Dla Hegla zatem, u progu XIX w. i w przededniu ostatecznego zełamania się rzymskiego cesarstwa narodu niemieckiego; Europa już nie jest państwem, ale kiedyś nim była. Przez Europę rozumiemy tu Europę z a c h o d n i ą, niegdys zjednoczoną przez krucjaty przeciwko światu islamu /lecz również, w przypadku czwartej wyprawy krzyżowej, przeciwko Bizjancjum/. Szpadzie to wojna stworzyła i skonsolidowała jedność Europy w stworzeniu ostatecznym, aby przetrwała ona w sferze świadomości europejskiej nawet w epoce partykularyzmów i podziału Europy na suwerenne państwa nowożytne, jednakowoż ani Hegel, ani inni współcześni mu Europejczycy nie mają najmniejszych wątpliwości co do duchowego pochodzenia tej europejskiej jedności, a ich idea jest niewątpliwie słuszna. Cóż ona implikuje? Jedność Europy zachodniej, jedność potwierdzona przez wyprawę wojenną i określona wewnętrznie przez dwoistość władzy duchowej i władzy doczesnej oraz przez supremację władzy duchowej, jest jednym z trzech znanych wariantów pojęcia "sacrum imperium", którego dwa pozostałe warianty to - bizantyjski i mahometański.

Idea "sacrum imperium" w swoim chrześcijańskim wariacie krystalizuje się wokół teologii historii zawartej w listach św. Pawła do Hebrajczyków i do Rzymian. Konflikty wewnętrzne w chyłącym się ku upadkowi cesarstwie rzymskim, na jego peryferiach i w śródziemnomorskim centrum, które stanowiło główną siłę vitalną ówczesnego świata, określała się w swym aspekcie duchowym w VII w., wraz z wielką schizmą Wschodu i z ekspansją Arabów. Europa zachodnia określa się przez przeciwstawienie bizantyjskiemu Wschodowi, najpierw w płaszczyźnie politycznej, później duchowej - w walce o autonomię Kościoła i jego prymat nad władzą doczesną, co zostanie osiągnięte jedynie tu, na Zachodzie. W toku wypraw krzyżowych wariant mahometański, związany z ideą profetyczną i będący bliską pochodną koncepcji żydowskiej, zostaje wyłączony ze współzawodnictwa, podobnie jak Bizancjum, przynajmniej przejściowo, a niedawno wyłoniona nowa formacja poświęca wówczas swą uwagę zorganizowaniu się, wypracowaniu wewnętrznych struktur i ich umocnieniu oraz kolonizacji dyspocyjnych obszarów na północnym wschodzie, które - wraz z osłabieniem Polski i upadkiem Rusi kijowskiej wskutek najazdów mongolskich - pozostawione są wszelkiego punktu oparcia, wszelkiego konkurencyjnego środka ciężkości.

Czy jednak jest idea "sacrum imperium" w swej istocie? Niczym innym, jak duchowym dziedzictwem imperium rzymskiego, ginącego wskutek wybocowienia poniędzy organizacją państwa a społeczeństwa, na której się ono opierało. Cesarstwo rzymskie to końco-

wa faza epoki hellenistycznej z jej imperializmem, natchnionym wiarą w wyższość ducha greckiego i jego osiągnięć. Obóz, wszystkim te osiągnięcia skupiają się w greckiej filozofii, która, w swej fazie hellenistycznej, stawiała sobie jako jedno z głównych zadań - przynajmniej jeśli chodzi o jej najbardziej znamienną orientację, to jest o stoicyzm - przetrwanie filozofii klasycznej, wywodzącej się z tradycji sokratejsko-platońskiej, w wychowawczym fermentcie uniwersalnego państwa, którego najbardziej udany przykład przedstawia ostatecznie Rzym. Rzym w swej ostocie to bez wątpienia fascynacja ideą imperium, państwa w postaci autonomicznej, niezależnej od substratu etnicznego, od terytorium i od form władzy politycznej; w każdym bądź razie, w tej postaci ujawnia się jego intensywny wysiłek wojenny i organizacyjny, w niej znajduje ono swoje samookreślenie. Najwybitniejsze postaci rzymskiego świata mogą być zrozumiałe jedynie jako natchnione przez ten cel, w ten właśnie sposób sformułowany. Jednak w swym początkowym okresie Rzym nie różni się co do istoty od greckiej "polis" /toteż jeszcze Arystoteles uwsza go za "polis"/, a dla owej "polis" stoicko-platońska idea wychowania pod kątem dobra ogółu, powszechności, państwa prawa i sprawiedliwości, państwa mającego swe korzenie w prawie i rozumie, staje się - przynajmniej w wykształconych warstwach społeczeństwa - czymś zwyczajnym i oczywistym. Jeśli chodzi o literaturę, dowody tej oczywistości dają nam Ciceron i Seneka; postacie z dialogów filozoficznych Cicerona reprezentują właśnie tę tendencję do utożsamiania idei państwa rzymskiego z ideą dydaktyczną głównego kierunku filozofii hellenistycznej. Idea "sacrum imperium" z jednej strony świadczy o katastrofie tego programu, ale z drugiej strony jest dowodem jego przetrwania w nowej postaci: już nie jako doczesnego państwa cesarów z ich nazbyt ludzkimi wahaniem między samowolą a wolą praworządności, między despotyzmem stanu natury a "prawem naturalnym", na którym opiera się "ius civile", lecz jako społeczności ugruntowanej bezpośrednio na prawdzie, która nie jest z tego świata, lecz z innego i której normy, a także pierwotny wzorzec, dane są nie przez jakąś ludzką potęgę, tylko przez moc boską i przez boską historię, przenikającą dzieje ludzkie i integrującą je w sobie.

Dziedzictwo imperium rzymskiego jest więc ze swej strony kontynuacją innego dziedzictwa, przekazanego przez grecką "polis" jej następcom - rzymskiemu i hellenistycznemu - a straszającego się w dążeniu do wspólnoty w zrozumiałej prawdzie i w sprawiedliwości, jako do szczytowej idei moralnej filozofii klasycznej. Jednakże ta idea dojrzała do tego, aby stać się refleksją nad wielkością i klęską "polis", nad światowym znaczeniem i nędzą Greka w ramach specyficznego ustroju społecznego, w których przedstawia on najpierw znaczącą wartość w obliczu przewagi czysto liczebnej, aby później zdyskredytować i zniszczyć samego siebie oraz ów ustrój wskutek podejrzliwości, zawiści i strachu przed wyprzedzeniem lub zażmianiem go przez kogoś innego. Los człowieka sprawiedliwego i prawdomównego, człowieka, który z życia w prawdzie uczynił program własnego życia, sprawiła, że nieodkrowna staje się idea nowej wspólnoty ludzkiej: jedynie w takiej nowej wspólnotie prawdy będzie on mógł żyć i nie zginąć w zderzeniu z rzeczywistością. Świat jest pogrążony w zlen, a sąd, jaki wydaje o człowieku sprawiedliwym, jest jego własnym potępieniem.

Człowiek jest sprawiedliwy i prawdomówny o tyle, o ile troszczy się o duszę. Dziedzictwo klasycznej filozofii greckiej to troska o duszę. Oto, co znaczy troska o duszę: prawda nie jest dana raz na zawsze, nie jest też po prostu kontemplacją i przyswajaniem sobie przez myśl, lecz uprawianiem życia umysłowego, które aż do śmierci samo się zgłębia, kontroluje i uzyskuje spójność. W myśli greckiej troska o duszę wykrytalizowała się w dwóch postaciach: troszczymy się o duszę, aby mogła ona w absolutnej czystości i z niezmaconym spojrzeniem wędrować duchowo poprzez świat, poprzez wieczność kosmosu i na tej drodze osiągnąć, choćby na krótką chwilę, rodzaj istnienia właściwy bogom /Demokryt, później Arystoteles/, albo też - przeciwnie - myślimy i poznajemy po to, aby uczynić z naszej duszy twardej kryształ istnienia, kryształ ze stali zahartowany w wejściu wieczności; stanie się takim kryształem to jedna z możliwości bytu, który nosi w sobie źródło ruchu, możliwość decydowania o swoim byciu albo nie-byciu, to znaczy rozpięnięciu się w nieokreśloność instynktu i nie wyjaśnionej tradycji /Plato/.

Troska o duszę jest praktyczną postacią odkrycia wszechświata i wyraźnego odniesienia myśli do wszechświata, co było już wkładem fizjologów jońskich: u tych myślicieli odkrycie kosmosu przybrało aspekt filozoficznego ideału życia w prawdzie, ideału, który można określić słowami ostatniego wielkiego dziedzica tego greckiego rodu, Edmunda Husserla: kształtować opinię według rozumu, nie zaś odwrotnie. Ideał ten czyni zrozumiałym i potwierdza w odniesieniu do całego procesu narodzin Europy poglądy tego filozofa o "autonomii kultury europejskiej", która - jedyna wśród wszystkich kultur świata - jest kulturą rozumu; we wszystkich podstawowych problemach życia, zarówno w płaszczyźnie poznania, jak i w płaszczyźnie działania, rozum odgrywa w niej rolę decydującą. Taką formację historyczną współkształtuje więc w każdym czasie rozum, który nie przestaje wypierać z niej elementu irracjonalnej, anonimowej, gubiącej się w mroku tradycji. W sumie zatem można powiedzieć, że dziedzictwo europejskie jest w różnych swoich aspektach jedno. Troska o duszę podlega w nim przemianie pod wpływem dwóch wielkich katastrof historycznych: katastrofy greckiej "polis" i katastrofy imperium rzymskiego. Można nawet powiedzieć, że dziedzictwo europejskie jest w różnych swoich aspektach jedno. Troska o duszę przyczyniła się do zmienienia wspomnianych dwóch katastrof ze zjawisk wyłącznie negatywnych - w próby przewyciężenia tego, co ulegało już sklerozie i nis było zdolne żyć dalej w ówczesnych warunkach historycznych, do posłużenia się tymi katastrofami w celu adaptacji i jednocześnie upowszechnienia dziedzictwa europejskiego. W imperium rzymskim troska o duszę przyjmuje postać dążenia do rozciągnięcia prawa obiektywnego na całość "oikoumene"/2/, co imperium osiąga skutecznie w większości należących doń terytoriów, a w pozostałej części - przynajmniej w swych zamierzeniach i wpływach. Później "sacrum imperium" zachodniego obrzeżciaństwa stwarza społeczność ludzką znacznie liczniejszą niż dawna społeczność rzymsko-środiemnomorską, a jednocześnie dyscyplinuje wewnętrznie i pogłębia człowieka. Troska o duszę jest więc tym, co zrodziło Europę - tej tezy możemy bronić bez obawy popadnięcia w najmniejszą choćby przesadę.

Wiek XVI wydaje się w życiu zachodniej Europy wielkim zakretem. Poczynając od tej epoki, inny motyw, przeciwny motywowi troski o duszę, wysuwa się na czoło, opanowuje jedną dziedzinę życia po drugiej - politykę, gospodarkę, wiarę i naukę - wprowadzając w nie nowy styl. Troska o to, by m i e ć,

troska o świat zewnętrzny i o zswładnięcie nim, biorąc (nad troską
o d u s z ę, o t o, a b y b y ć. Celem niniejszych rozważań nie
jest odtwarzanie dialektyki chrześcijańskich motywów życia, w
których troska o to, by mieć i wola władania były początkowo
trzymane w ryzach. Nie może ulegać wątpliwości, że ekspansja Eu-
ropy poza jej pierwotne granice, ekspansja następująca po zwyk-
łym oporze przeciwko rywalizacji świata pozaeuropejskiego, miała
w sobie zerodek ekspansja życia, z kórwóźnego dla dawnej jego zasady.
Na Wschodzie ekspansja ta nie pociąga za sobą żadnej zmiany stylu,
jeśli chodzi o zasady życia europejskiego; zmiana następuje tylko
na Zachodzie, wraz z odparciem islamu, które otwiera drogę odkry-
ciem zamorskim i obłędemu p ę d o w i po bogactwa świata, zwa-
szcza Nowego Świata, wydane na łup dobrze przemysłanej europej-
skiej organizacji wojskowej, zbrojeniom i sprawności działania.
Dopiero jednocześnie z ekspansją Europy ku zachodowi istotna prze-
miana wprowadzona przez Reformację do orientacji życia chrześci-
jańskiego - które odtąd staje się mniej sakramentalne niż gdzie
indziej - nabiera znaczenia politycznego, co znajduje wyraz w orga-
nizowaniu kontynentu północnoamerykańskiego przez radykalne ele-
menty protestanckie. Zanim upłynie sto lat, Bacon sformułuje cał-
kowicie nową koncepcję nauki i poznania, różniącą się głęboko od
koncepcji uwarunkowanej troską, dbałością o duszę: wiedzieć to móc,
tylko wiedza skuteczna jest wiedzą rzeczywistą, to, co niegdyś
miało wartość jedynie z punktu widzenia praktycznego działania i
produkcji, odtąd ma wartość dla nauki i w ogóle; nauka ma nas dopro-
wadzić do raju, do raju odkryć i możliwości przekształcania oraz
rządzenia światem stosownie do naszych potrzeb, bez jakiegokol-
wiek określania i wytyczania granic owych potrzeb. Wkrótce zaś
Desoartes powie, że nauka musi uczynić z nas władców i właścicie-
li przyrody. Dopiero teraz państwo, lub raczej państwa, stają się
/w przeciwieństwie do średniowiecznej koncepcji, opierającej wła-
dzę na autorytecie, koncepcji bez wątpienia najlepiej ucieleśnio-
nej w tej osobliwej formacji, która kazała siebie nazywać "impe-
rium romanum nationis germanicae" i która stanowiła jakby coś po-
średniego między instytucją prawa publicznego i prawa międzynaro-
dowego/ zbrojnymi związkami, mającymi na celu zbiorową obronę ca-
łości dóbr - żeby posłużyć się definicją, jakiej użyje w stosun-
ku do nich Hegel/3/. Partykularyzm tej koncepcji idzie o wiele da-
lej niż tendencje średniowieczne, które służą jej za punkt wyj-
ścia. Organizacja życia gospodarczego według nowoczesnego wzorca
kapitałistycznego, która dokonuje się w tej samej epoce, zdradza
również ten sam pryncypialny styl. Poczynając od tego okresu,
Europa zachodnia w fazie ekspansji nie posiada już żadnej uniwer-
salnej więzi, żadnej uniwersalnej idei, która mogłaby się uciele-
śnić w jakiejś instytucji, w jakimś autorytecie, działających
jednocześnie, konkretnych i skutecznych: prymat m i e ć nad
b y ć wyklucza jedność i uniwersalność, a próby zastąpienia ich
przez władzę pozostają daremne.

W płaszczyźnie politycznej przejawia się to w nowym układzie
sił, wewnątrz którego cesarstwo rzymskie narodu niemieckiego zo-
staje zepchnięte na wschodnie peryferie, podczas gdy główną rolę
przejmuje Francja, jako siła zorganizowana, stanowiąca kontynen-
talną przeciwną dla olbrzymich posiadłości Hiszpanii i Anglii
na obrzeżach Atlantyku. A gdy wyłania się ogromna siła Nowej An-
glii, kiedy przed oczyma świata zaczyna błyskać obietnica nowego
ustroju, nie znajęcego ani hierarchii, ani eksploatacji i wyzysku

człowieka przez człowieka, wówczas nie tylko Nowy Świat, lecz również cała Europa drży w oczekiwaniu na nową epokę ludzkości. Jednak w tym samym okresie Europa wystawiona jest na presję ze strony Wschodu, najpierw niedostrzegalną, później zaś coraz bardziej energiczną. Od XVI w. Ruś moskiewska przejmując bizantyjskie dziedzictwo wschodniego chrześcijaństwa, dziedzictwo Kościoła cesarskiego, a do tego zamysłu dołącza się następnie ekspansja terytorialna na nieszychaną skalę, która na miejscu nieokreślonej wschodniej granicy Europy buduje dynamiczną potęgę, zorganizowaną według wzorca hierarchicznego, imperialną i autokratyczną, nie znającą innych granic, jak wybrzeża kontynentu azjatyckiego; potęgę, która odtąd będzie próbowała - najpierw określić się, zróżnicować i zabezpieczyć wobec Zachodu, a następnie wykorzystywać go, grożąc mu jednocześnie, dzieląc i opanowując. Cesarstwo rzymskie narodu niemieckiego w stanie szczątkowym, rozbite przez Wojnę Trzydziestoletnią, którą Francuzi potrafili obrócić ku własnej korzyści, zogniskowane na Wschodzie i zapatrzone w niebezpieczeństwo tureckie, początkowo nie dostrzega, że przed nim wyrasta ten gigantyczny nawis, który, poczynając od XVIII w. będzie ciążył nad całością jego losów, a za jego pośrednictwem - nad losami całej Europy. W tym czasie Europa pracuje wytrwale nad przebudową swoich idei, instytucji, metod produkcji, organizacji państwa i życia politycznego; proces ten, nazywany "Oświeceniem", stanowi w swej istocie przystosowanie dotychczasowej Europy do jej nowej pozycji w świecie, do rodzącej się właśnie organizacji gospodarki globalnej, do penetracji przez Europejczyków nowych obszarów, z czego wynikają nowe wymagania w stosunku do wiary i nauki. Największym tworem tego zrywu jest nowocześnie nauka - nauki matematyczne, przyrodnicze, historia; wszystko to ożywia nieznaną poprzedniej epoce rodzaj i duch nauki. Nauka Odrodzenia, nauka Koperników, Keplera i Galileuszów, związana jest wprawdzie jeszcze w widoczny sposób ze starożytną theoria, jako elementem troski o duszę, ale w samej nauce, nade wszystko w naukach matematycznych, obserwuje się coraz częściej skłonność do dominacji techniki, uniwersalizm zupełnie innego typu niż ten, który w starożytności określał treść i nadawał formę: uniwersalizm formalistyczny, który niepostrzeżenie doprowadza do przyznania pierwszeństwa skutkowi przed treścią, władaniu przed rozumieniem. Ta nauka odsłania się coraz bardziej jako techniczna w całej swej istocie, orientuje się na technologię i praktyczne zastosowania. Im bardziej narzuca się taki sposób myślenia, tym widoczniej spychane i zacierane są resztki myśli "metafizycznej", która jeszcze w XVII w. dominuje w europejskiej filozofii, a ówcześni francuscy i holenderscy przedstawiciele tej myśli oraz ci, którzy z nich się wywodzą, usiłują raz jeszcze osiągnąć dawny cel za pomocą nowych środków.

W XVII w. Francja i Stany Zjednoczone stają na czele radykalnego ruchu oświeceniowego, który we Francji już od tego czasu jest radykalnie laicki. Idea rewolucji, całkowitego odwrócenia ładu spraw ludzkich, możliwości życia bez żadnej hierarchii, w równości i wolności, wywodzi się prawdopodobnie z rzeczywistości życia w Nowej Anglii. Rewolucja kolonii brytyjskich jest źródłem idei rewolucyjnej, jako zasadniczego rysu charakterystycznego współczesności w ogóle. To z tamtych rąk Francja przejmuje tę ideę, aby w swojej własnej rewolucji nadać jej, przynajmniej częściowo, charakter już otwarcie socjalny; od tego czasu jest rzeczą oczywistą, że wstrząsy nie oszczędzą niczego. Radykalizm Oświecenia francuskiego, burząc do gruntu fundamenty władzy duchowej, nie potrafi zatrzymać się, jak by wielu sobie życzyło -

przed konstrukcją budowli społecznej i organizacji państwa. Sojusz przemysłu, technologii i organizacji kapitalistycznej doprowadza w Anglii i w części Europy zachodniej do triumfu rewolucji technicznej. W związku z tym faktem, atak przypuszczany na bogactwa świata nabiera nowego znaczenia: stwarza olbrzymią przewagę techniczno-militarną, której świat pozaeuropejski nie może przeciwstawić nic równoważnego. Rynek światowy pracuje zatem nie tylko dla dobrobytu, ale także dla fizycznej potęgi Europy. Pierwszym brutalnym przejawem tej potęgi są postrewolucyjne wojny epoki napoleońskiej, wojny dążące do urzeczywistnienia na nowych podstawach, racjonalnych i zlaicyzowanych, uniwersalnej pozycji Francji jako europejskiego centrum, mającego wkrótce zażądać definitywnie ostatnie, iluzoryczne ślady cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego. Sprzymierzone z Anglią mocarstwa kontynentalne zdolne są bronić się tylko dzięki temu, że otwarcie apelują o pomoc do potęgi rosyjskiej, która na długi czas staje się arbitrem w ich sporach, autorem ich systemu władzy i czynnikiem czarpiącym największe korzyści z europejskich konfliktów i niepowodzeń. Po złamaniu potęg, które w XVII w. dominowały na północnym wschodzie, to jest Szwecji i Polski, nie przestając coraz bardziej konsekwentnie napierać na tę ostatnią, interweniując /na rzecz rosnącej potęgi Prus/ w głębokie rozdarcie wewnętrzne cesarstwa /pomiędzy Prusami a krajami należącymi do Habsburgów/, niszcząc pośrednio historyczne organizmy jego systemu wschodniego /jak państwo czeskie/, Rosja na początku XIX w., sięga samego serca Europy i tworzy jakby zapórę przeciwko pierwszej fali amerykańskiej, reprezentowanej przez Europę rewolucyjną i postrewolucyjną. Dwa spadkobiercy Europy stają po raz pierwszy naprzeciw sobie na gruncie europejskim w drugim dziesięcioleciu XIX w., jeszcze nie jako polityczni przeciwnicy, lecz jako przeciwne zasady.

Kiedyś Hegel wypowiedział się mimochodem na temat tego, kto zostanie dziedzicem Europy - Ameryka czy Rosja. Jednak dla skonkretyzowania tej refleksji dotyczącej przyszłości trzeba było ująć zagadnienie z punktu widzenia postępu społecznego ku równości i racjonalnej organizacji: pierwszy dojrzał je w taki sposób Tocqueville. Myśl europejska poznała więc Stany Zjednoczone wcześniej i głębiej niż Rosję, co jest zresztą zupełnie zrozumiałe: Stany Zjednoczone były Ameryką zeuropeizowaną, zaś Europa postrewolucyjna była Europą zamerykanizowaną. Świat zachodni długo czekał na to, aby głębokie związki świata wschodniego z Europą zostały wyjaśnione dzięki podobnemu zrozumieniu, jakie wykazał Tocqueville. W gruncie rzeczy, czeka na to dziś jeszcze. Zanim jednak opiszemy dziewiętnastowieczną Europę jako pole bitwy, przesłonięte już cieniem przyszłości, cieniem jej nowego obszaru i nowych potęg, które, zrodzone z Europy, postawiły jej przyszłość pod znakiem zapytania, powinniśmy powiedzieć jeszcze słówko o próbie, jaką podjęto dla przemyślenia i sformułowania problemów wynikających z samej zasady Oświecenia zachodnioeuropejskiego. Próba ta została podjęta na ziemiach niemieckich, a więc na ziemiach będącego już w stanie rozkładu cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego, najpierw w środowisku pruskim, gdzie Oświecenie przybrało postać militarnego państwa, wykorzystującego racjonalnie tradycyjne struktury w bardzo paradoksalnej syntezie Starego z Nowym.

Siła i głębia Oświecenia tkwiły niezaprzeczenie w tym, co zaniedbywała dawniejsza nauka, zorientowana głównie na wszystko, co ludzkie i wewnętrzne: w nowej koncepcji nauki działającej, skutecznej, bogatej w rezultaty i nieustannie się wzbogacającej.

Nie można było takiej nauki niedocenić i tak samo nie można było złączyć jej powierzchownie w jedną całość ze starymi europejskimi zasadami wiary i nauki. Z drugiej strony, niemożliwe było zadowolenie się syntezą dokonaną wyłącznie pod kątem doraźnej użyteczności, jak w krajach anglosaskich, ani też dokonywanie radykalnych cięć, jeżeli nie zamierzało się wkroczyć na drogę rewolucji francuskiej. Filozofia niemiecka czerpiąca inspirację z Kanta oraz inne dziedziny życia umysłowego spokrewnione z jego tendencjami podjęły jeszcze jedną próbę dokonania zwrotu w umysłowości europejskiej: Oświecenie miało zostać zaakceptowane, ale tylko jako metoda wiodąca do zrozumienia przyrody w takim zakresie, w jakim rządzą nią prawa immanentne, które wszakże nie sięgają istoty rzeczy; tam natomiast, gdzie analizuje się świat fenomenów w aspekcie jego fenomenalności /to znaczy - w jego istocie/, odzyskuje swe prawa stara europejska zasada troski o duszę, "theoria" filozofii kontemplatywnej, wyzwalająca nas do dziedziny duchowej i moralnej, gdzie znajdują się właściwe korzenie i posłannictwo ludzkości. Otwarcie drogi, która, nie rezygnując z Oświecenia, ogranicza i osłabia jego znaczenie dla człowieczeństwa, jest sygnałem ogólnej reorientacji dążeń sztuki niemieckiej w dziedzinie poezji i muzyki. W filozofii ruch ten nawet się radykalizuje, aż do wykonania z siebie systemów odznaczających się niesłychanym idealizmem i ekstremizmem metafizycznym, których nie ma potrzeby charakteryzować tu szczegółowo. Te Niemcy duchowe ofiarowują Europie siebie jako kraj, w którym duch może znaleźć schronienie po kryzysie rewolucyjnej anarchii, aby się poddać leczeniu; jest mu ono potrzebne, żeby wolność mogła się zakotwiczyć w rzeczywistości poprzez zrozumienie. Świat duchowy, sam w sobie nie dysponujący siłą, stworzy jednak niejednoznaczne formy idealne, które będą mogły być spożytkowane w walce o dziedzictwo europejskie, dla korzyści tej walki i coraz większego jej rozprasztrzenia: ideę duchowej indywidualności /która będzie wykorzystywana w interesie wzrastającego partykularyzmu i podziału narodowościowego wewnątrz Europy/ oraz ideę Państwa jako ziemskiego bóstwa, które nie toleruje żadnych ograniczeń jego suwerenności. Tak więc wielki eksperyment niemiecki doprowadza w końcu do przyspieszenia rozpadu Europy, do nasilenia się akurat tych tendencji, które - jak sądzono z początku - miał zahamować. Niemieckie koncepcje idealne, mocne i zdrowe w zakresie krytyki, to jest jako idee ograniczające dziedziczą władania Oświecenia, nie są same przez się zdolne rozwiązywać polityczne i społeczne zagadnienia, wyłaniające się wewnątrz problematyki Oświecenia; w tych ramach mogą one jedynie ulec zredukowaniu do rangi środków służących walce o rzeczywistość polityczną i społeczną.

Po powiewie świeżego powietrza przyniesionym z szerskiego świata przez rewolucję i wojny postrewolucyjne epoki napoleońskiej, Europa nawraca zrazu, pod naciskiem imperialnej Rosji, do "legitymizmu", a więc do idei zdyskredytowanej, która utraciła wszelką wiarygodność dla ludzkich umysłów. Ponieważ w walce przeciwko francuskiemu despotyzmowi trzeba było odwołać się do partykularyzmu tradycji regionalnych i do spontanicznych reakcji narodów, ten obłudny nawrót oznacza zarazem początek nowego procesu historycznego, melowniczego i częściowo bardzo chaotycznego, który można sklasyfikować za pomocą ogólnej etykiety ruchu narodowego, nacjonalistycznego. Na Zachodzie, gdzie istnieją państwa scentralizowane i od dawna ujednolicone pod względem języko-

wym, ruch ten wchodzi w przymierze z istotnymi potrzebami rewolucji przemysłowej, która domaga się ochrony ze strony państwa dla spekulacji i przedsiębiorczości; państwa ulegają wpływom kapitalizmu burżuazyjnego. Europa środkowa i środkowo-wschodnia z ządrością obserwuje postępy tej ewolucji, która w jej oczach staje się wzorem do naśladowania, natomiast pryncypialny uniwersalizm radykalizmu rewolucyjnego znajduje schronienie w sferze rewolucji społecznej, w rodząym się socjaliźmie. Wszystkie te tendencje tworzą pstrokatą mieszaninę, często o charakterze ekлекtycznym. Nie ulega wątpliwości to jedynie, że utrzymanie "status quo" jest niemożliwe.

Nawiązując z jednej strony do rewolucji i epoki napoleońskiej, a z drugiej - do Rosji, publicyści europejscy prezentują wówczas koncepcję "mocarstwa światowego", "systemu państwa światowego". Natomiast Rosja, która broni z powodzeniem swojej pozycji imperialnej przeciwko pierwszym próbom jej obalenia, podejmowanym przy pomocy wpływów zachodnich, rozszerza coraz bardziej zasięg kategorii politycznych przejętych od imperialnego chrześcijaństwa bizantyjskiego, co ostatecznie znajduje wyraz w idei objęcia spadku po chylącej się ku upadkowi Europie, Europie na drodze ku likwidacji. Ta idea będzie się utrzymywać w swej istocie przez cały wiek XIX, przyswajając sobie takie motywy europejskie, jakie będą się do tego nadawały. W gruncie rzeczy, w myśli rosyjskiej panuje powszechna zgodność, że do przejęcia dziedzictwa europejskiego powołane jest państwo rosyjskie; różnice poglądów dotyczą tylko środków wymaganych do tego celu. Dawna koncepcja Piotra Wielkiego, idea eksploatacji Europy bez podporządkowania się jej, przeciwnie - w taki sposób, aby stać się jej panem, dopuszcza dwie możliwości: albo większe lub mniejsze zbliżenie z Zachodem, albo odcięcie się od niego, zamknięcie w sobie, w oczekiwaniu na sprzyjającą chwilę.

Pisma publicystów europejskich, którzy nadal czujnie obserwują Rosję i jej potężny wpływ na Europę, dzieła takich osobistości jak Moses Hess, Haxthausen, Fallmoreyer, a przede wszystkim dzieła katolickich konserwatystów, jak Jürg, Marlo, Constantin Frantz, wciąż jeszcze dręczonych nostalgią za cesarstwem rzymskim narodu niemieckiego, zawierają w sobie jakby zarodek europeizmu, dążność do jedności Europy, ohooby tylko w postaci solidarności państw zachodnich wobec rosyjskiego kolosa. Frantz podkreśla zgodność swoich tendencji z tradycjonalizmem stanowiącym podłoże filozofii pozytywnej Comte'a /nie znał on "Systemu polityki pozytywnej"/. Jednak te zarodki, które w latach sześćdziesiątych wzbogaci liberał Julius Fröbel swoimi doświadczeniami amerykańskimi, pozbawione są nadal siły organizującej wobec tendencji dominujących w rzeczywistości europejskiej.

Tak więc w burżuazyjno-kapitalistycznej Europie główna siła europejskiego Zachodu - to jest oświata, nauka /nauki przyrodnicze i historia/ i technika - ucieleśnia się w partykularystycznej rzeczywistości państwa narodowego, którego modelem na kontynencie jest Francja. W czasach drugiego cesarstwa Francja odgrywa w owej ewolucji ku indywidualizmowi rolę fatalną; nie zaprzeczają jej nawet takie przelotne sukcesy, jak obłudna koalicja w dobie wojny krymskiej, która - ustawiając państwa europejskie przeciwko Rosji - doprowadza do częściowego i tylko prowizorycznego cofnięcia się Rosji. Na odwrót, sukcesy te usypiają czujność Europy, stwarzając fałszywą atmosferę pewności siebie w mocarstwach, polegających na swej przewadze przemysłowej, technicznej i naukowej.

Uniwersalizm cechujący radykalny nurt Oświecenia znajduje schronienie, jak wspominaliśmy, w myśli socjalistycznej i w socjalistycznym ruchu. Markę, zwłaszcza poczynając od jego "beglowskiego przekroczenia myśli Hegla", nie przestaje głośno wytykać nieuczciwość, połowiczność, brak logiki, a szczególnie chaos moralny, rozpętany w społeczeństwach europejskich przez burżuazyjno-liberalny "status quo". Wszystkie szabe strony francuskiego rozwiązania problemu europejskiego uwydatniają się jeszcze bardziej, kiedy Prusom udaje się w końcu narzucić własne rozwiązanie problemu niemieckiego i przepędzić Francję z pozycji centrum Europy, aby ponownie ulokować na tej pozycji Niemcy w nowoczesnej postaci, wypracowanej według wzorca zachodnioeuropejskiego państwa narodowego. W tych pruskich Niemczech istnieje jednak sporo elementów wewnętrznego rozdźwięku: tradycje feudalne, nigdy nie wyciszone przez rzezywiste przemiany społeczne, konserwatywny podziw dla rosyjskiego olbrzyma, któremu Prusy zawdzięczają całą swą karierę, zarówno w Niemczech, jak i w Europie, żeby nie wspomnieć o konieczności błyskawicznej zmiany orientacji, w celu stania się tarczą, lecz zarazem i mieczem Europy południowo-zachodniej. Jednocześnie rozwiązanie burżuazyjne, a więc państwo narodowe jako protektor stale rosnącej produkcji przemysłowej, ujawnia w Niemczech swe wewnętrzne sprzeczności w sposób o wiele bardziej jaskrawy niż na Zachodzie, ponieważ taki rozwój wzmacnia zarazem tak zwany wówozas "czwarty stan", świadomy własnych celów i tak zorganizowany, że represje pozostają wobec niego bezsilne. Konflikt, który w związku z tym staje się coraz ostrzejszy i coraz bardziej niemożliwy do rozwiązania, rodzi nieznaną dotychczas napięcia społeczne, a skutkiem tych ostatnich jest utrwalenie na dłużej panowania twardej ręki /reprezentowanego przez bismarkowską koalicję z 1879 r./ przeciwko woli niezbędnej większości narodu. /Znana jest teza E. Halevy'ego/4/, który za jedno z głównych źródeł wojny 1914 r. uważa dążenie do przewyżnienia tej trudności wewnętrznej przez zmobilizowanie społeczeństwa ku międzynarodowym celom politycznym. i utorowanie w ten sposób drogi ujścia dla niemieckiej energii./

Kryzys polityczny wewnątrz dziewiętnastowiecznej Europy pogłębia się tam, gdzie - zdawałoby się - trudności znajdują jakieś rozwiązania. Rozwiązania kwestii niemieckiej i kwestii włoskiej, zamiast uspokoić Europę, do tego stopnia wzmagają partykularyzmy, że w ciasnej przestrzeni kontynentu stały się one śmiertelnym zagrożeniem. Również kryzys społeczny stopniowo się pogłębia, a niezbędny proletariats przemysłowy coraz bardziej natęczywie domaga się rozrachunków. "Wyjście", jakie się wówczas pojawia, uważane przez niektórych za szczyt międzynarodowej przenikliwości politycznej, mianowicie: przeniesienie problemów europejskich do skali światowej, przetrzucenie podziału w końcu Europy na cały świat, podzielenie całego świata stosownie do sytuacji europejskiej - może tylko wynieść na światło dzienne, utajone dotychczas, antagonizmy, wciągając środki będące w dyspozycji całego świata w śmiertelnie niebezpieczne przedsięwzięcie konkurencji wewnątrz europejskiej, i to w momencie, gdy świat pozaeuropejski zaczyna sobie uświadamiać możliwość nauczenia się od Europy współczesnej, od Europy mas ludowych, powszechnych wyborów i wielkich biurokratyzowanych partii politycznych - sztuki pomnożenia własnej ważności i zdobycia sobie autonomii z pozycji przeciwnika Europy.

Jako trzeci moment /obok kryzysu politycznego i społecznego/, moment najgłębszy, wchodzi do gry coraz bardziej radykalne uświadaczanie sobie kryzysu m o r a l n e g o współczesnej Europy. Fakt, że instytucje państwowe, że struktury polityczne i społeczne Europy opierają się na czymś, czemu społeczeństwo w swym rzeczywistym działaniu od dawna odmawia wszelkiego zaufania i posłuchu, zostaje po raz pierwszy ujawniony i katagorycznie sformułowany jako element wywrotowego programu radykalno-rewolucyjnego. Jednak nawet radykalizm, jeśli chodzi o jego wierzenia, trzyma się idei wywodzących się z dziedzictwa europejskiego, równie mało wiarygodnych jak pojęcia będące ich źródłem. Bóg umarł, ale przyroda materialna, dająca początek ludzkości i jej postępowi jako spełnienie konieczności podległej prawom immanentnym, jest nie mniejszą fikcją, wykazującą ponadto dziwną lukę: w przyrodzie bowiem nie istnieje żadna instancja, która by kontrolowała jednostkę w jej indywidualnym dążeniu do wykniesienia się i urzędzenia w alternatywnym świecie, jak gdyby miała ona być ostatnim człowiekiem, z jego drobnymi przyjemnościami dziennymi i drobnymi przyjemnościami nocnymi. Dostojewski wyraża to słowami jednego z swych bohaterów: Nic nie istnieje, wszystko jest dozwolone! To, czemu Dostojewski się opiera, przywołując obraz tradycyjnej Rosji z jej złamaną duszą, z jednostką korzącą się wobec wielkiej społeczności, która ją miazdży i narzuca jej oczyszczenie w cierpieniu, Nietzsche wyraża w sposób katagoryczny i bezpośredni w odniesieniu do aktualnej rzeczywistości europejskiej: Bądźmy prawdomówni, spójrzmy w oczy faktowi, że jesteśmy nihilistami, nie próbujmy mieć zbyt dobrego mniemania o sobie - tylko wtedy będziemy zdolni przezwyciężyć kryzys m o r a l n y, który się kryje za wszystkimi innymi kryzysami i jest ich przyczyną. "To, o czym opowiadał, to historia następných dwóch stuleci. Opisuj to, co nadchodzi, co już nie może nadejść w inny sposób: n a d e j ś c i e n i h i l i z m u. Tę historię można opowiadać od teraz: bo działa tu czysta konieczność. Przyszłość ta już przemawia tysiącem znaków, ten los zapowiada się wszędzie: od-tąd wszyscy mają słuch wyostrzony na tę muzykę przyszłości. Cała niesz europejska kultura od dawna porusza się w dręczącym napięciu, wzrastającym z każdym kolejnym dziesięcioleciem, jak gdyby dryfowała ku katastrofie: niespokojna, gwałtowna, przyspieszająca: jak rzeka, która chce z t y m s k o ń c z y ć, która już się nie stara przyjsć do siebie, która boi się przyjsć do siebie..." /5/.

Nietzschemu zdaje się, iż odkrywa korzenie nihilizmu właśnie w tym, do czego Dostojewski radzi nawracać: w chrześcijańskiej dewaloryzacji świata doczesnego przez świat "prawdziwy", dewaloryzacji życia, woli i czynu przez moralność i przykazanie "Będziesz..." Trzeba się wyzwoić z wszelkich zaświatów, z wszystkich wybiegów stawiających prawdę ponad rzeczywistością, trzeba ze wszystkich swoich sił powiedzieć "tak" życiu i rzeczywistości. A rzeczywistość to przekraczanie siebie samego, to przewyższanie każdorazowo osiąganego stopnia mocy. W ten sposób stworzony zostanie nowy szczebel istnienia - człowiek wyzwolony od swoich ucieczek, schronów i dotychczasowych stałości, nadszczowiek, osadzony w rzeczywistości nieprzeniknionej, bo wieczystej. Ofensywa prowadzona przez Nietzschego przeciwko współczesnej cywilizacji europejskiej, jako nihilistycznej, jest z pewnością również nihilistyczna. W swoim skłuceniu jako przejście do nihilizmu upatruje zasługę i dowód szczerości. Do dziś ta

ofensywa nic nie straciła ze swego radykalizmu, chociaż tytaniczna poza indywidualności wydaje się nam raczej komiczna, a nietzscheańska krytyka pokory i Oświecenia jako kryptonihilizmu jest nadal słuszną. Diagnoza choroby dziewiętnastowiecznej społeczności europejskiej jako nihilizmu obejmuje wszystkie kryzysy tej epoki: kryzys polityczny i kryzys społeczny mają swe źródło w kryzysie moralnym.

Dostojewski proponuje chrystianizm bizantyjski, Nietzsche natomiast - wieczysty powrót wszystkiego, jako rozwiązanie kryzysu. Ale zarówno podstawowe zasady chrystianizmu, jak i powtórne odkrycie wieczności zakładają z góry powtarzanie się czegoś, co u samego zarania epoki europejskiej było rzeczywistością: rzeczywistości duszy, jako tego czegoś wewnątrz nas, co ma odniesienie do niezniszczalnego składnika wszechświata, składnika, który czyni prawdę i bycie-w-prawdzie możliwymi nie dla nadczłowieka, lecz dla autentycznej istoty ludzkiej.

Przypisy:

- 1 G.W.F. Hegel, "Konstytucja niemiecka". Tłum. z przekładu fr., Paris 1974, s.46
- 2 Gr. - świat zamieszkały.
- 3 Hegel, "Konstytucja niemiecka", op. cit., s.39.
- 4 Por. E.Halevy, "L'ère des tyrannies: études sur le socialisme de la guerre", Paris 1938.
- 5 Tłum. z przekładu fr.: "Fragments posthumes automne 1887 - mars 1888", Paris 1976, s.362.

Norberto Bobbio

Europa - społeczność umysłów

Europa uległa zniszczeniu. Zniszczyła sama siebie po raz drugi w przeciągu trzydziestu lat. Od Verdun po Stalingrad, tysiące jej synów zginęło jako niewinne ofiary obędnej żądzcy panowania jednych i ślepoty politycznej drugich. Czy Europa istniała jeszcze? Mogliśmy sobie stawiać tylko takie pytanie, wobec widoku naszych wypatroszonych domów, olbrzymich usypisk kości w miejscach obozów koncentracyjnych, tłumów uchodźców błakających się z kraju do kraju w poszukiwaniu utraconej ojczyzny, kombatantów powracających do domu po latach niewoli. Czy Europa jeszcze istniała wtedy, gdy dwie wrogie armie spotkały się w samym sercu tej wspólnej ojczyzny, przemierzyły ją pokonując dzień po dniu opór nieprzyjaciela, tym bardziej zacieklego, wytrzymetego i upartego, że już nie miał nadziei? Czy oto nadeszła chwila, by powiedzieć: *Finis Europae* po wiekach wywyższenia ducha europejskiego, w dobrem albo w złem?

Nie, Europa, mimo wszystko, przeżyła. Przeżyła dzięki ludziom, którzy zachowali jej ducha, nie dając się zalać nowym doktrynom /w gruncie rzeczy, bardzo starym/, które z siły, rasy lub krwi czynią jedyne kryterium odróżniania Dobra od Zła. W 1932 r., kiedy faszyzm święcił dziesiątą rocznicę swego powstania, Benedetto Croce wydał drukiem "Historię Europy w XIX wieku". Otwierał ją słynny rozdział poświęcony "religii wolności", którą autor uważał - w szlachealnych i uroczystych słowach, odtań wyrzycanych trwale w naszej pamięci - za charakterystyczny rys stulecia, w ciągu którego nastąpiła największa ekspansja cywilizacji europejskiej. Dokonując żywej i szczególnie udanej syntezy, pisał on: "Grecja i Rzym przekazały nam pamięć o niezliczonych bohaterach wolności, o wzmożonych gestach i o tragediach, w których wszyscy, w jednym zrywieniu, dla wolności «tak bardzo drogiej» wyrzekali się życia. O wolność wołali chrześcijanie; później, przez wieki całe, kościoły chrześcijańskie; gminy - przeciwko cesarzom i królom, podobnie jak, ze swej strony, feudałowie i baronowie przeciw tym samym królom i cesarzom; ci zaś z kolei - przeciw baranom i wielkim wasalom oraz przeciwko gminom, bowiem uzurpowali oni sobie ich uprawnienia jako suwerenów; królestwa zaś, prowincje, miasta rewindykowały własne parlamenty, kapituły i przywileje od absolutnych monarchii, które pozbywały się tych przeszkód na drodze swego działania - albo próbowały się ich pozbyć. Utrata wolności zawsze uważana była za przyczynę lub oznakę upadku w dziedzinie sztuki, nauki, gospodarki, życia moralnego, zarówno gdy chodziło o Rzym cesarów, jak o Italię papieży i Hiszpanów."

W 1933 r., kiedy doszedł do władzy Hitler, Julien Benda, który kilka lat wcześniej mówił w niezapomnianych słowach o "zdradzie klerków", opublikował swoją "Mowę do narodu europejskiego"; utrzymywał w niej, że kryzys Europy zrodził się z jej podziału na mnóstwo rywalizujących ze sobą ojczyzn, które walczą o hegemonię gospodarczą i kulturalną. Historia Europy - precyzował swą myśl - wykazuje na przemian tendencję do uniwersalizmu i do partykularyzmu. Obecnie ta druga tendencja osiąga tak wielkie nasilenie, że

albo wrzucimy wateczny bieg, albo przegramy w nie kończącej się wojnie. Żeby jednak stworzyć Europę, potrzeba nam przede wszystkim "idei europejskiej". I tu właśnie jest zadanie dla intelektualistów. To do nich, a nie do aktualnych moźnych świata, adresowane jest przemówienie Benda: "Europa - piazę on - powstanie w taki sam sposób, w jaki powstawały narody. Francja powstała dlatego, że w sercu każdego Francuza miłość rzeczywistości transcendentnej, miłość idei stanęła ponad miłością własnej parafii czy prowincji. Tak samo stanie się z Europą: będzie ona reprezentować zwycięstwo idei nad miłością do bezpośrednio postrzegalnych obiektów, jakimi są, w porównaniu do niej, poszczególne narody." Zamierzony w sztywnych przeciwstawieniach, które często, mimo szlachetności jego intencji, sprawiały, że wydawał się im jakiś odległy, Benda zwraca się do intelektualistów z takim oto żarliwym wezwaniem: "Obróćcie się ku temu, co wieczne, a cały ten nacjonalistyczny hałas ucichnie w waszych sercach... Europa będzie nade wszystko aktem moralnym."

Inny wielki umysł europejski, Tomasz Mann, przebywając w czasie wojny na emigracji w Stanach Zjednoczonych, prawie codziennie stał przez radio swoje "Ostrzeżenia dla Europy", wtrubające pasją; zebrane po wojnie w jednym tomie, zaliczają się one do najbardziej przenikliwych i mocnych kart, jakie kiedykolwiek napisano w celu zdemaskowania nazistowskiego barbarzyństwa; dziś jeszcze, czytają je ponownie, nie można bez drżenia myśleć o otchłani, w jaką mieliśmy zostać zepchnięci. Na temat "Nowego Ładu" Mann pisze, co następuje: "Europa! Oni naprawdę zamierzają zniszczyć samą ideę Europy; tak, okaleczyli tę ideę bardziej niż jakąkolwiek inną... Pojęcie Europy było dla nas drogą i cenne, było dla naszej myśli i woli czymś naturalnym. Stanowiło przeciwieństwo prowinojonalnego zacieśnienia, matczyńskiego egoizmu, nacjonalistycznego, prostackiego braku kultury; oznaczało ono wolność, wielkoduszność, rozum i dobroć. Europa stanowiła coś w rodzaju «standardu» kulturowego: księżka, dzieło sztuki - były dobre, jeżeli dorastały do poziomu wartości europejskich. Narodowy socjalizm przywłaszczył sobie to pojęcie: on także mówi o Europie, podobnie jak mówi o «rewolucji», kraju czy ojczyźnie. Tyle tylko, że to już nie Niemcy mają się stać europejskie, ale Europa ma się stać niemiecka." W tych przemówieniach do narodu niemieckiego /które przypominają przemówienia Fichtego z okresu wojen napoleońskich/ dominującym motywem jest teza, że nazizm splugawił wszystko, czego się dotknął. Jeżeli Europa ma się odrodzić, to nie odrodzi się w "haniebnym stylu" nazistowskim. "Kiedy Hitler zostanie pobity, trzeba będzie podjąć dzieło powszechnej odbudowy duchowej. Odbudować przede wszystkim, i wspólnymi siłami, ideę Europy, która zamieszkiwała w sercach najlepszych - ideę wolności, honoru, solidarności międzyludzkiej - i musi w nich ponownie zamieszkać."

Aby zbudować na nowo Europę, pisał Julien Benda, potrzeba jest nam przede wszystkim "idea Europy". Taki był temat inauguracyjnego wykładu, otwierającego w 1947 r. kurs historii najnowszej, prowadzony przez najwybitniejszego historyka naszego pokolenia, Frédéric Chaboda, na uniwersytecie rzymskim. Jak pisał Giorgio Falco, inny spośród naszych najbardziej cenionych historyków, dzieje idei Europy stały się jednym z najsilniejszych, najtrwalszych i najbardziej owocnych zainteresowań Chaboda; zajmował się poważnie tym zagadnieniem już na swoim seminarium mediolańskim w roku 1943-1944, zanim zrezygnował z katedry, aby powrócić w swoje rodzinne góry jako partyzant. Za podstawową datę rozpoczęcia przez Chaboda badań nad ideą Europy Falco uważa właśnie ów wojenny rok, w ciągu którego "wśród powszechnej trwogi i nadziei, przyszłość

Europy stała się „substancją rozżarzoną do białości”. Chabod od-
tworza ewolucję idei Europy, od jej prehistorii - w starożytności
i w średniowieczu - do historii, która osiąga swój szczytowy wy-
raz w stuleciu Monteskiusza i Woltera, kiedy Europa staje się prze-
de wszystkim społecznością umyślową, republiką literacką, wspólnotą
nauki, literatury, sztuki, złożoną z rozmaitych państw, w której
żaden Europejczyk nie może czuć się cudzoziemcem. Komentując esej
Kanta: "Projekt wiecznego pokoju", Chabod pisze: "Marzenie pozostato
marzeniem... Tak więc, po blisko stu pięćdziesięciu latach,
oto my także musimy odczuwać te same aspiracje, my z kolei wyglą-
damy końca systemów, które powodują rozpad wartości moralnych i ru-
ninę dóbr materialnych, podobne do doświadczanych dzisiaj; w na-
szych życzeniach wołamy o nastanie takiego ładu, który by pozwalał
na wykonywanie prac ludzkich w wolności, pokoju i spokoju oraz na
prawdźwie żywe poczucie cywilizowanej wspólnoty międzynarodowej,
w którą powinny się wolsywać działania każdego narodu.

Pomimo "nawrotu barbarzyństwa", Europa nie umarła. Swe prze-
trwanie zawdzięczała najlepszym spośród intelektualistów, którzy
podtrzymywali pamięć o niej, odbudowywali jej dzieje i zachowali
przy życiu jej ducha. Czy zatem nadeszła wreszcie pora, aby wyjść
poza stare antagonizmy i dać życie Europie zjednoczonej na planie
politycznym? Projekt Stanów Zjednoczonych Europy nie był nowy.
Przykładały do niego rękę m.in. dwie wielkie postacie okresu Ri-
sorgimento, mianowicie Carlo Cattaneo i Giuseppe Mazzini. W 1944 r.
w Lugano została wydana broszura Ernesto Rossiego: "Stany Zjedno-
czone Europy". W styczniu 1945 r. ukazał się, ze wstępem Eugenio
Cortonego, "Manifest z Ventotene", napisany kilka lat wcześniej
przez Ernesto Rossiego i Altiero Spinello; w owym czasie inter-
nowanych; tekst ten zawierał program ruchu, który miał się stać
Ruchem na rzecz jedności Europy. Jak pisze Spinelli w swoim nie-
dawnym utworze autobiograficznym /"Jak próbowałem stać się mądrym"/
natchnieniem dla obu autorów były dosyć dawne artykuły Luigi Ei-
naudiego, publikowane po pierwszej wojnie światowej, które wtedy
spotkały się z powszechną obojętnością /teksty te były później kil-
kakrotnie wznowiane/. Umberto Campagnolo, przebywający na emigra-
cji w Genewie, stawiał sobie te same pytania.

W lutym 1945 r. ogłosił on niewielką pracę pod tytułem "Euro-
pejska Republika Federalna", w której utrzymywał, że nadeszła chwila,
aby przemienić europejski federalizm z utopii w naukę. Prze-
miana ta nie mogłaby się dokonać z inicjatywy państw, które usiło-
wałyby zazdrośnie zachować własną suwerenność /żadne przewidywa-
nia nie okazały się bardziej uzasadnione; dowodem tego jest fakt,
że po upływie czterdziestu lat zjednoczona Europa jest wciąż jesz-
cze kwestią przyszłości/. Ta przemiana wyszłaby od dołu, z inicja-
tywą i z działań narodów. Campagnolo odbył bardzo gruntowne studia
w zakresie prawa międzynarodowego w Genewie, pod kierunkiem
Hansa Kelsena, przepełzonego z katedry wolonii po dojściu do
władzy Hitlera; w 1938 r. opublikował on książkę "Narody a prawo",
w której twierdził, że prawo międzynarodowe skazane jest na usta-
pienie miejsca "civitate maxime", kiedy to zniknie nawet różnica
pomiędzy obywatelami a cudzoziemcami.

Złudzenie na temat możliwości osiągnięcia w krótkim czasie
jedności Europy rozwinęło się bardzo szybko. Po wojnie racja stanu,
lub raczej racje stanu państw zwycięskich - które podzieliły Euro-
pę na dwa antagonistyczne bloki, rozdzielone wkrótce potem żelaz-
ną kurtyną - wzięły górę nad rozsądnymi ideałami kilku "dobrych
Europejczyków". Campagnolo zdał sobie z tego sprawę od razu. Zro-
żumiał, że polityczne rozwiązanie kwestii europejskiej byłoby
przedwczesne i że raz jeszcze, podobnie jak w latach czuła i że-
łaza, problem Europy jest bardziej problemem kultury niż polityki

Pomimo odosobnionych głosów kilku prekursorów, Europa nie stanowiła nigdy jedności politycznej i nic nie pozwalało przypuszczać, że stanie się nią niezadługo. Od wieków natomiast stanowiła jedność duchową.

W oczekiwaniu na powstanie Europy politycznej, czemużby nie upomnieć się o Europę zjednoczoną kulturowo? Polityka dzieli, kultura zaś łączy. Zanim nadejdzie pora realizacji *civitatibus maximae*, polityka zawsze będzie się zwracać ku obronie państwa, przeciwko innym państwom. Kultura, z samej swej natury, jest uniwersalna. Polityka żyje i rozwija się w warunkach konfliktów, w tym również tego, posuniętego do ostateczności, konfliktu, jakim jest wojna. Kultura żyje i rozwija się poprzez dialog, dialog w tonie istniejących partii lub ponad nimi. Dialog między ludźmi kultury w Europie stał się tym bardziej konieczny, że Europa polityczna nie tylko nie osiągnęła jedności, lecz ponadto uległa rozszczępieniu wskutek wyraźnego pęknięcia na dwie części, po jednej i po drugiej stronie linii, która rozdzielała dwa bloki i nadal je rozdziela. Otóż ruchy dążące do zjednoczenia Europy uznawały ten podział, czy im się to podobało, czy nie; oto jeszcze jeden powód, żeby zachowywać dystans w stosunku do nich. Europa, nad której jednością polityczną się zastanawiano, nie była już tą Europą, którą określili: historia, geografia i tradycja myślenia nie znającego granic. Była to po prostu część Europy Zachodniej. A Niemcy Wschodnie, Czechosłowacja, Polska, Węgry - czy to nie były narody europejskie w pełnym znaczeniu tego słowa?

Czasopismo "Comprendre" /"Zrozumieć"/ wydrukowało niedługo kilka kartek z nie drukowanego wcześniej dziennika Romain Rollanda, jednego z tych nielicznych ludzi kultury, którzy w czasie pierwszej wojny światowej przyjęli za swoją dewizę: "Ponad walczącym tłumem". Kartki te zaczynały się od wspaniałego zdania, które często sobie powtarzam, gdyż określa ono doskonale moją własną postawę wobec polityki: "Nie jestem człowiekiem czymś, nie zostałem stworzony do działania, jestem człowiekiem kontemplatywnym, który lubi widzieć, rozumieć, szukać utajonego rytmu i harmonii. Jednak sama szczerłość niezależnego widzenia oraz instynkt sprawiedliwości zmusiły mnie dwa czy trzy razy w życiu do opowiedzenia się za działaniem przeciwko bezczelnej tyranii opinii publicznej, wywierającej nacisk i poniżającej." Obok tekstu Rollanda, nie publikowany gdzie indziej, w dużej mierze autobiograficzny tekst Tomasza Manna pod tytułem: "Moje czasy" uzupełniał jeszcze obraz ducha ożywiającego to czasopismo: przeciw wszelkim formom krucjaty, przeciw "chronicznemu konfliktowi", który "utrzymuje narody w stanie upodlenia, związane z sobą nienawiścią i strachem, zmusza je do trwonienia swych najlepszych sił w służbie tejże nienawiści i tegoż strachu, wszystko utrudnia, stoi wszystkim na przeszkodzie, hamuje wszelki postęp, degradowała ludzi intelektualnie, paraliżuje w wielkich narodach poczucie słuszności, odbiera im rozum i sprawia, że każdy z nich staje się śmieszny w oczach drugiego wskutek głupstw, do których doprowadza je mania przeszadowca i szat przedławowia, przeciwko podziałowi świata na wybranych i odrzuconych. Wielki pisarz intencje tu hymn do pokoju i z mocą wyraża przekonanie, że ludzkość musi odnaleźć nową równowagę, jeżeli nie chce zostać ponownie zepchnięta w wojnę, jeszcze krwawszą od tej, z której zaledwie wyszła: "Z głębi ludzkich piersi wyrwa się dzisiaj krzyk: Pokój, na miłość boską, pokój! Czyż jeden z tych dwóch olbrzymów, Ameryka lub Rosja, ... musi nieuchronnie zmiażdżyć drugiego, jak Falnez/1/ zmiążdży Pasolta, aby móc spać samemu na skarbach świata? Nie będzie już istniało cokolwiek, na czym zwycięzca mógłby rozciągnąć swój smoczy bruch. Bomba wodorowa będzie ich maczugą, nie pozwoli na przetrwać niczemu, żadnemu skarbowi, który byłby wart pilnowania, nawet demokracji."

Piszząc o "najgłębszej i niezniszczalnej jedności Europy" oraz o "nieuchronności" tejże, Mircea Eliade, wielki historyk religii, Rumun z pochodzenia, w erudycyjnym i zarazem żarliwym artykule, w którym przypominał, że europejskie wartości przyszły ze Wschodu i podkreślał wielkie znaczenie kultury bizantyjskiej dla zachowania dziedzictwa rzymskiego, stwierdził na zakończenie, że podłoże kultury europejskiej jest jednorodne, chociaż nie jednolite, oraz że w Europie Wschód i Zachód są bliższe sobie niż Północ i Południe: "Z jakiegokolwiek punktu widzenia badałoby się cięcie, którego linię wyznacza obecnie żelazna kurtyna, żadna inna fatalność poza siłą polityczną nie będzie mogła go wytłumaczyć."

Z powyższych rozważań zrodziło się przekonanie, że należy bronić duchowej jedności Europy przeciwko polityce dwóch antagonistycznych bloków, i że to właśnie stanowi specyficzne zadanie dla ludzi kultury. Rozumiem przez to polityczne zadanie ludzi kultury, ich swoistą politykę, którą nazywałam dotychczas /i będziemy nadal nazywać/ "polityką kulturową". Jedność Europy i polityka kulturowa to sprawy ściśle z sobą związane. Jednak założeniem takiej postawy wobec jedności Europy było przeświadczenie o istnieniu cywilizacji europejskiej i o tym, że ma ona pewną liczbę znamion odróżniających ją od innych cywilizacji.

Umberto Campagnolo zdefiniował cywilizację europejską za pomocą formuły często kwestionowanej i zwalczanej, której jednak bronił zawsze z namiętną elokwencją. Nazywał cywilizację europejską - "cywilizacją uniwersalizmu". Rozumiem to w taki sposób, że cywilizacja ta miała zawsze skłonność do patrzenia na doświadczenie ludzkie sub specie universitatis. Dzięki tej skłonności nie zamyka się ona w żadnym ze swoich twórców i nie zadowala się żadną ze swych zdobyczy. Tłumaczy to m.in. fakt, że filozofia i nauka są typowymi dla niej postaciami wiedzy, że jej instytucje są nieustraszone, że ona sama jest ciekawa, ekspansywna, misjonarska; że zwalcza i niszczy wszelkie idee, łamie wszelkie zakazy, odrzuca wszelkie tabu; że duch przygody bierze w niej górę nad rozważą; że nie śni ona o złotym wieku pogrzebanym w przeszłości, lecz wynajduje pojęcie postępu."

Ów duch przygody wyjaśnia również postawę Europy wobec innych cywilizacji: poszukiwała ich, odkryła je, wywierała na nie wpływ, dobry i zły, objawiła je im samym. Niby echo słów Campagnola, odczyta się wspaniały fragment końcowy listu Tomasza Hanna z 10 maja 1953 r., adresowanego do Europejskiego Towarzystwa Kulturalnego /listu zatytułowanego: "Powrót z Ameryki"; Mann zastanawia się nad swym piętnastoletnim dobrowolnym wygnaniem, które początkowo zamierzał przedłużyć, jak to oznajmił był w głośnym liście: "Dlaczego nie wracam do Niemiec"/: "Tysiącletnia perspektywa Europy, jej doświadczenie w cierpieniu, jej pewność, że wszystko przemija, że wszystko ma tylko swój określony czas, że przezorność staje się szaleństwem, a dobrodziejstwo nieszczęściem, jej dojrzały w ciężkich próbach sceptycyzm, jej zrozumienie, że postawa sprzeczna z wolą świata, czepiająca się uparczywie tego, co nieśmiarte, jest skazana na klęskę; wszystko to wyznacza jej raczej rolę mediatora, dalekiego o uniknięcie katastrofy niemożliwej do nazwania, aniżeli najemnego żołnierza, związanego z jedną stroną i przeznaczanego na pierwszą ofiarę tej gigantomachii. Jedynie w wolności będzie jej /Europie/ dozwolone odnaleźć siebie i odzyskać swą godność."

¹ Ołbrzym z podesz ptn-germańskich; zamordował on swego ojca, aby zajął skarben, którego później pilnował pod postacią smoka.
/Przyp.tłum./

Sąsiedztwa

Inni Niemcy. Rozmowa z Evą i Volkerem

Eva i Volker - przedstawiciele pisarzy NRD młodszej generacji, dawno po debiucie, starają się kreować swoją niezależność pisarską w państwie nadzorującym nawet debiut. Do rozmowy z nimi doszło w Czechosłowacji, gdyż tam najłatwiej o spotkanie obywateli NRD i PRL. Zaproszenia koleśków do siebie, do NRD czy PRL, są niemożliwe. Ciągłe jeszcze istnieje strach przed "polską zarazą".

P. - Czy tak jest naprawdę?

Eva - Zaproszenia mogą wystosowywać tylko najbliżsi członkowie rodziny, a więc w zasadzie nikt. Nie znam obywateli NRD, którzy by mieli krewnych w Polsce.

Volker - Pracujący Polacy na terenie NRD mogą zapraszać swoje rodziny do siebie.

P. - A więc kontakt byłby możliwy.

Eva - Ale nie daj Boże, gdyby się wydało. Na pewno odesłaliby owego pracownika z powrotem do Polski.

P. - Co tak przeraża funkcjonariuszy?

Volker - Jak i u was, łatwiej u nas o kontakty z Niemcami z RFN, niż z Polakami. Mówiliśmy już, że chodzi o zarazę, "polskiego bunt".

P. - Czy to ma związek z "Solidarnością"?

Volker - Owszem, lecz nie tylko. Już przedtem wiadomo było, że to co polskie, jest w pojęciu utądzonych NRD-owców co najmniej podejrzane. Co polskie, to buntownicze, niesforne, trące anarchią, choć zarazem podziwia się polską fantazję, odwagę, wreszcie talent.

Eva - Jeszcze w latach siedemdziesiątych mówiło się, że upodobniamy się do Polaków, bez polskiego poczucia wolności, niestety.

P. - W jakim sensie?

Eva - Na przykład rozpowszechniło się picie alkoholu na skalę nie znaną przedtem.

P. - To chyba jednak specyfika obozu. W Związku Radzieckim partia była zmuszona wydać odpowiednie zakazy.

Eva - Mówię o odczuciach przeciętnego obywatela NRD.

Volker - Proszę jednak zauważyć, że owe "polskie poczucie wolności" akcentuje się z "NRD-owskim poczuciem zazdrości". To musiało w końcu wzbudzić podejrzliwość naszych funkcjonariuszy.

P. - Czy plaga alkoholizmu jest naprawdę tak wyraźna jak w Polsce czy w ZSRR?

Volker - Szczególnie w kręgach robotniczych. Brakuje piwa, tego napitku proletariackiego, tworzą się kolejki przed punktami sprzedaży; nie wiem dlaczego brakuje piwa, ponoć brakuje dobrej wody. To szczególnie przypadłość reżimowej gospodarki.

P. - Wybaczcie, ale mieliśmy mówić o sprawach literatury. Wandalizm planowej gospodarki znamy z autopsji. W końcu i tam za kor-donem świat nie jest wolny od trosk ekologicznych.

Eva - Chciałabym mieć ich troski.

P. - A nasze gospodynie zazdroszczą waszym.

Eva - /ze śmiechem/ To perspektywa Berlin Alexander-Platz.

Volker - Perspektywa, jak mi się wydaje, właśnie tak ustawiona, aby polskie grupy turystyczne ukazać jako handlującą hałasem.

P. - Naprawdę myślisz, że czyni się to świadomie? Znam naszych ro-daków i niejedno mnie u nich razi.

Volker - Jak wszędzie jest to pobleem organizacji turystyki. Dla-czego wozi się ich właśnie na "Alexa"? Aby tworzyli tłum przewala-jący się po piętrach domów towarowych.

Eva - Kawiłsem mówiąc nie wiem, co tam można atrakcyjnego kupić? Sklepy w Pradze czy Budapeszcie są bez porównania lepiej zaopa-trzone.

P. - Budapeszt też jest przez naszych obłożony.

Volker - Jeżeli nie wymienia się idei, to się handluje majtkami.

P. - Wróćmy więc do idei. Jak funkcjonuje życie literackie w NRD?

Eva - /z wyraźną ironią/ Dobrze, bardzo dobrze. Ludzie książki pi-szą, ludzie książki wydają. W księgarniach po książki ustawiają się w kolejki.

Volker - Brakuje dobrej książki. Wkłady są śmiesznie niskie.

P. - I to znamy. U nas funkcjonuje nawet czarny rynek książką.

Eva - Tego u nas nie ma. Nasz burżuj jest na to za oszczędny.

P. - Dobrze. Więc zapotrzebowanie na literaturę jest olbrzymie. Roz-budzone apetyty...

Volker - To wynikało z funkcji tego państwa. Sterowanie opinią po-przez literaturę, przez film i teatr, obecnie przez telewizję - było wypisane na sztandarach państwa "nowych Niemiec". Z czasem jednak funkcja ta zaczęła przynosić niespodziewane owoce.

P. - Co masz na myśli?

Volker - Czytelnik poszukuje odpowiednio wartościowej książki, nie kupuje już tyle czego, tylko dlatego, że to ma stempelek "postępo-wości". To również zasługa pisarzy NRD, których książki w ostat-nich latach wykazują tendencje przełamywania propagandowych ogra-niczeń.

P. - Czy to ogólna tendencja w kulturze?

Eva - Przede wszystkim w literaturze.

Volker - Na przykład film skutecznie zablokowano. Brakuje aktorów, brakuje dobrych scenariuszy, bo nikt nie chce się zadrgać walką z cenzurą w filmie, które jest drobiazgowo. Będzie próbował prze-cisnąć się w wydawnictwie. Poza tym aluzja literacka jest trudniej-sza do wykrycia niż w obrazie filmowym.

P. - Plastyka NRD też jest zbyt czytelna. Widać to na wystawach waszych plastyków.

Eva - Okropne. U nas kłopoty mieliiby chyba nawet impresjoniści francuscy.

P. - Z czego się to bierze?

Volker - Normalnie, jak wszędzie w krajach totalitarnych, władza uzurpuje sobie każdą wiedzę, nawet na temat mieszanania farb olejnych. Tak powstaje kontrola, coraz bardziej ścisła, coraz bardziej ogłupiająca, wkraczająca coraz głębiej, aż do życia prywatnego. Malarz malujący w innej konwencji niż w konwencji "realizmu NRD-owskiego" nie ma zbyt wielu szans na wystawę. Najwyżej może sobie wystawić w jakimś klubie amatorskich zajęć pozalekcyjnych.

Eva - Myślę, Volker, że to również sprawa smaku Prusaków. Gdyby te obrazki wystawiane w różnych klubach czy w prywatnych kawiarniach były zaakceptowane, gdyby te obrazki kupowano, malarstwo to zyskałoby na opinii i w końcu dotarło do większych sal wystawowych, wieszano by je w gabinetach polityków, którzy dzielą pieniądze na sztukę. Zresztą, nie przesadzajmy, coś drgnęło rzeczywistoście, już w grafice nie obowiązuje kanon Käthe Kollwitz/1/.

P.- Evo, jesteś poetką, mówiłaś jednak, że nie możesz opublikować swojej powieści. Mam nadzieję, że to dobra powieść?

Volker - Pozwól, że się wtrączę. To dobra powieść i nie ma w niej nic, co by naruszało podstawy naszego ustroju, a jednak trudno znaleźć odważnego, który by tę powieść chciał wydać.

Eva - /gniewnie/ Więc dlaczego nie może się ukazać, powiedz!

Volker - Bo przynosi obraz degrengolady społecznej, relacji między kobietą a mężczyzną zakłóconej bylejakim bytowaniem społecznym, stereotypem ogłupiającym...

P.- A więc jednak krytyka podstaw.

Eva - Widzisz, ty to rozumiesz, a Volker ciągle chrzani o "Gesellschaftsroman".

Volker - Cała rozmowa z wydawnictwem... A, ty pewnie nie wiesz, że u nas nie ma cenzury. Nawet gazety nie podlegają cenzurze.

P.- To zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Eva - Nie myśl, że to coś zmienia. Redaktor naczelny na wiele do stracenia. Zarabia wielkie pieniądze i nie zaryzykuje ani jednym słówkiem, by swoje apanaże stracić. U was cenzura funkcjonuje poza redakcjami i zawsze można winę zvalić na nią.

P.- Nie zawsze. Cenzura to przecież agsnda ministra spraw wewnętrznych, który w końcu "niesfornego" funkcjonariusza redakcji odeśle na zieloną trawkę.

Eva - Zanim to nastąpi można to i owo wydrukować.

P.- Jeżeli się taki odważny znajdzie.

Volker - Nasi redaktorzy nie są podobni do waszych. U nas by to nie przeszło. Nikt nie zaryzykuje.

P.- Więc teraz nasi, ci nowi, coraz bardziej przypominają waszych.

Volker - To trudno będzie udowodnić, skoro cenzura jest prewencyjna. U nas funkcjonuje coś na kształt cenzury represyjnej. Ale w systemie, który uciska wszystkich. Przede wszystkim swoje dzieci.

P.- Jak staliście się dziećmi literatury?

Volker - Eva przeszła przez piekło konkursów ogólnopństwowych.

P.- Wyjaśnijcie bliżej.

Volker - Dotyczy to przede wszystkim poetów. Otóż co parę lat, w zależności od potrzeb, organizuje się ogólnokrajowe konkursy literackie. Zaczyna się to już na "dole", już w liceach, w gminach, w powiatach. Organizuje ministerstwo oświaty, organizacje młodzieżowe. I tak szczebel po szczebelku młodzież literacka zostaje wy-

selekcjonowana, aż dotrze do krajowego finału. Na tym etapie liczy się jeszcze talent, uzdolnienie.

P.- Jaka liczba zostaje wyłoniona?

Volker - To zależy od urodzaju. Mniej więcej od dwudziestu do trzydziestu młodych ludzi. Są to przeważnie poeci.

Eva - Prozaicy rekrutują się z dziennikarstwa. Tam decydują się sprawy ideowe.

Volker - Ideologiczne.

Eva - Owszem, mądrale. Ale na tym szczeblu nie kończy się zabawa. Młodzież zostaje poddana "obróbce" w obozach literackich, gdzie wybrani krytycy, niekiedy prawdziwie interesujący się dokonaniem młodych, poddają ich teksty "obróbce krytycznej". I tu jeszcze decydują wartości artystyczne, poetyka i tak dalej.

P.- Nie wierzę, że te obozy robi się po to, by nauczyć kogoś dobrze pisać.

Eva - Słusznie. Więc w odpowiednim momencie zjawiają się tam i panowie od specjalnych poruczeń, z kręgu nauk "postępowe" realizujących swoje posłannictwo, no, z fakultetów marksizmu-leninizmu czy jak to się tam nazywa. Ci wyjaśniają "obozowiczom" ideologiczne przesłanki literatury powstającej w NRD. Nie każdy zdoła ten atak doktryny przetrzymać. Jeszcze w czasie trwania obozu znajdują się adepci gotowi pisać utwory nasycone "duchem walki o pokój i socjalizm", "solidaryzmem z trzecim światem", "z bratem uciśnionym"... Na samo wspomnienie biorą człowieka młodości.

Volker - Tych jest jednak mniejszość i szybko stają się oni klientelą prowincjonalnych gazet i zakładowych gazetek. Kiedy zaczną precować...

P.- Właśnie. A gdzie związki zawodowe? Funkcjonował przecież kiedyś Arbeiter-Bauern-Fakultet. Opisał to dość zabawnie Hermann Kant w swojej "Auli".

Volker - A więc znasz sprawę. Coraz mniej tej młodzieży robotniczej, ale z poparciem związków zawodowych przychodzą różni, również młodzież studencka, która przed studiami i w czasie studiów poddawana jest "operacji wychowania przez pracę fizyczną". Właściwie nikt nie może podjąć studiów, póki nie odpracuje roku w budownictwie, w melioracji, w fabryce przekazników, w zależności od potrzeb gospodarki narodowej. Tu już zdolny pisarz, jeżeli tylko dość pyskaty, może zahaczyć się o patronat związków zawodowych.

P.- Stąd życiorysy waszych rówieśników pełne są danych o związkach z proletariatem.

Volker - Między nami mówiąc, dla młodego prozaika to niezła szkoła. Volker Braun/2/ przeszedł przez ten magiel i coś tam z tego zostało.

Eva - Długo nis mógł się z tego wyzwolić.

Volker - Nie masz racji. Sądzę, że jego talent to agresywność wynikająca z autentycznej solidarności z robotnikami. Łączność ze środowiskiem.

Eva - Znowu tak wielkim pisarzem nie został.

P.- A twoje dojsście do literatury?

Volker - Ja startowałem poprzez uniwersytet. Byłem dobry, otrzymywałem stypendia naukowe, wreszcie uznali mnie fachowcy w tej dziedzinie. Potem już poszło.

P.- Co to znaczy "być dobry" dla krytyka literackiego w NRD?

Volker - Oczywiście cała sprawa rozgrywa się na terenie badań klasyków literatury...

Eva - Nie zapomnij tylko wspomnieć o wpływie organizacji młodzieżowej.

Volker - Owszem, przyznaję, koła naukowe są właśnie przez te organizacje sterowane. Metodyka jest oczywiście sprawdzalna naukowo, w teorii się wszystko potwierdza. Nie może być inaczej.

Eva - Zapomniałeś o faworyzowaniu klasyków literatury radzieckiej.

Volker - Owszem, cóż w tym złego? Orientacja na wschodniego sąsiada nie musi oznaczać akceptacji grafomanii.

Eva - Spójrz na półki księgarń! W końcu do tego się sprowadza.

Volker - Miałem szczęście, że moja habilitacja dotyczyła filologicznych aspektów niemieckiego języka literackiego...

Eva - A język przekładu?

Volker - Po pierwsze, nie przekłada się z radzieckiego języka, a z rosyjskiego, po drugie, wartości przekładowe określone są podobnie jak w odniesieniu do wielu innych języków, do francuskiego czy angielskiego.

Eva - Ty zawsze się wywiniesz.

Volker - I tu leży sedno sprawy. Stąd biorą się nasze frustracje. Trzeba się umieć wywinąć, trzeba wiedzieć więcej i myśleć swoje. Wreszcie trzeba być ostrożnym, od początku nie zdradzać swego temperamentu polemicznego. Eva, która tak mnie tu demaskuje, zapomniata w gruncie rzeczy, ile musiała się napocić, by się na początku kariery nie narazić doktrynerom, by jej poezja była neutralna, a postyka na przykład bliska Kloppstoczkowi^{3/3}, a nie na przykład Celanowi, temu rozpaczliwemu pesymistcie.

Eva /z ironią/ - Wydano u nas i Celana.

Volker - Wiesz o czym chcę mówić?

Eva - Oczywiście, że wiem. Poważnie: udręka dla myślącego młodego człowieka zaczyna się już na początku jego drogi literackiej. Jedyną nadzieją są dla niego spotkania towarzyskie, gdzie się może ujawnić ze swoimi marzeniami bez przeszkód, bez obawy, że to zostanie mu odnotowane w aktach personalnych.

P.- Jak to funkcjonuje? Nie jesteście ścigani?

Volker - Jak wszędzie. Czasem wydaje mi się, że władze o tych zebraniach wiedzą; i że im to jest na rękę, bo nie muszą zająć "klasowego" stanowiska wobec jakiegoś wierszoklety. Oczywiście nikt tam nie układa planów wysadzenia NRD w powietrze, ale po prostu przekazuje innym swoje sygnały prawdziwie artystyczne, bez obciążeń doktrynalnych, przynajmniej tych rodem z "walki klasowej" i tak dalej. Egzaminuje siebie i innych z dokonani prawdziwie ideowych, bo szczerze wyznawanych i głoszonych. Czyta się tam takie utwory literackie, jakie się chce napisać, a nie jakie mogą być wydrukowane. W tych spotkaniach biorą udział krytycy, którzy pamiętają o swoim postępiństwie.

P.- Co to znaczy?

Volker - Uratować literaturę niemiecką w jej najlepszym i najmniej skażonym kształcie. To znaczy - uratować dla literatury niemieckiej najlepszych.

P.- Wydaje mi się jednak, że przecież oba państwa, oba społeczeństwa funkcjonują w jednym obiegu literackim. Książki pisarzy NRD-

-owskiom wydaje się w RFN, podobnie książki z RFN u was. Wielu pisarzy NRD-owskich mieszka latami w RFN i tam pisze.

Volker - To galanteria życia literackiego w NRD. Dzień powszedni wygląda przecieźniej. Tylko czołówece pisarzy umożliwiono wyjazdy. Są to, dodajmy, pisarze dość zaawansowani wiekiem. Günter Kunert, który jest tu najlepszym przykładem, zbliża się do sześćdziesiątki.

Eva - Roczniki przedwojenne. Przeżyli swoje, teraz mają łatwiejsze życie. Ale reszta boryka się z trudnościami, z brakiem kontaktu, stoi w miejscu. Poeci skazani na tomiki wydawane raz na dziesięć lat, na publikacje w antologiach zestawianych z różnych okazji. Ze swoją powieścią starzeje się już osiem lat.

P.- A ty?

Volker - Ze mną byłoby podobnie, tylko że ja mogę się potwierdzić w publikacjach naukowych. Niemców jeszcze ciągle interesuje interpretacja dzieł Goethego, Schillera czy Brechta. Ale książek krytycznych prawie się u nas nie wydaje. Gdybym przynajmniej miał satysfakcję, że pomogłem jakimś pisarzowi...

Eva - Twój udział w naszych spotkaniach /tu Eva wymienia nazwę grupy, nazwę miejscowości/ jest ważny. Masz chyba tę świadomość?

Volker - Coś tam robię, coś tam gadam, ale to wszystko nie ma wielkiego sensu, bo w końcu nie oddziałują na ruch literacki.

P.- Ale chyba taka niezależność jest ważna dla artysty, dla pisarza?

Volker - Wystarczy, że w naszym towarzyskim spotkaniu weźmie udział gościnnie pisarz z RFN, a cała sprawa nabiera rumieńców. Jak oni umieją wypowiadać się na tematy swoich książek, na tematy współczesne! Wtedy dopiero ujawniają się nasze ograniczenia. A wydawało się, że my czytamy te same książki, że oglądamy tę samą telewizję i słuchamy tego samego radia... Tylko, że na co dzień przede wszystkim trzymamy gębę na kłódkę. I udajemy, że nas nie ma. Nawet uznanie po śmierci nie jest nam zapewnione. Patrz, nawet wy, na drugim brzegu nie tak znowu szerokiej rzeki, wiecie o nas mało albo zgoła nic. Cóż dziwnego, że każdy z młodych, a i starsi, nie są wolni od tego, patrzą na zachód, marzą tylko o tym, by wydrzeć się z NRD w szeroki świat i tam osiąść gdziekolwiek i pisać, pisać, pisać. Nawet jeżeli w trudnych warunkach socjalnych, byle otwarcie, byle mieć szansę przeżycia czegoś wartościowego bez naku, bez ograniczeń; by móc określić swoją osobowość bez obawy, że to może zaszkodzić w dalszej edukacji obywatelskiej.

Eva - Przed laty zarzucałeś nam /jeszcze można było wtedy do nas przyjeżdżać/, że za mało wpływamy na zmiany w życiu literackim NRD, że się poddajemy, że nasze pierwsze kroki po debiucie kierujemy od razu w stronę zachodnią. A my między sobą tak naprawdę się nie znamy, niekiedy spotykamy się przypadkowo w redakcji z okazji wydania jakiegoś almanachu, po prostu boimy się siebie nawzajem. A almanach nie określa naszej przynależności do tej czy innej grupy, nie ma czegoś takiego w NRD, nawet w dostowności marksistowskiej nie ma takiej grupy.

Volker - Ba, tej satysfakcji nie mają nawet ci, którzy opowiedzieli się po stronie "proletariackiej" estetyki.

P.- Są tacy?

Eva - /do Volkera/ Tylko przestań! Ci mają swoje własne dokonania. Tych nie pakuje się do almanachu jak kapustę do beczki. Nie jest ich za wiele, ale startują od razu tomem i to znacznie zdobionym, na wytwornym papierze.

P.- Jak więc widać istnieje szansa przededukowania się.

Volker - Taką drogę przeszedł wspomniany przeze mnie poeta Volker Braun. Ale od czasu gdy odrzucił mundur państwowotwórcy, spadło "zainteresowanie" wydawnictw, rządu... Choć, jak się wydaje, czytelnik poszukuje właśnie tego drugiego Brauna.

Eva - Czytelnik nie ma tu nic do gadania. Staje w kolejce po tom Celana, staje i po tom Strittmachera. I nawet nie wiemy, czy to nie ten sam czytelnik, któremu pilno zapełnić puste półki w nowym mieszkaniu.

Volker - Teraz jest lepiej z tytułami, ale za to nakłady są aptekarskie.

P. - A droga przez związek literatów?

Eva - Równie upokarzająca. Bo debiut wydawniczy jest dokładnie strzeżony przez związek i przez organizacje polityczne. We wspomnianym konkursie też uczestniczą funkcjonariusze związku. Na tym gęstym sicie pozostają faworyci systemu albo...

P. - Albo?

Volker - Albo faworyci czy faworytki dworu.

P. - Jest coś takiego?

Eva - Owszem, jak wszędzie na świecie. Kiedyś funkcjonowali i u nas uznani i wybitni pisarze jako doradcy młodych. Część z nich wyjechała do RFN, część z nich zmarła, a ci co pozostali nie mają żadnego wpływu na życie literackie. Sami borykają się z własnymi problemami wydawniczymi. Instytucja indywidualnego mecenasa istnieje tylko w relacji wpływowych osób, którzy choć talentu nie mają, wydają swoje książki, a niekiedy policji - kolegów. Jest oczywiście, że być faworytem takich panów żadna chwała.

Volker - Póki żyła Anna Seghers, póki była w pełni sił, ci panowie jeszcze się nieco hamowali. Dziś nawet Kantowi trudno było ukazać sprawność działacza związkowego.

P. - Czy dlatego nie wybrano go prezesem na nową kadencję?

Volker - Mnie powiedział, że choroba nie pozwala mu na dalsze sprawowanie urzędu. Wybrano dość średniego pisarza od literatury młodzieżowej. Nazwisko nic ci nie powie. W naszej sytuacji oznacza to, że pole jest wolne dla stróżystwa. Bo przecież pozostało to, co było zawsze miernotą, co się wspierało ideologią. Kant był postacią kontrowersyjną, zgoda, mówioną nawet o jego związkach z policją, ale jednak to tegi pisarz, a zorganizowane towarzystwo korzystało z jego zręczności. Póki mu sił starczyło. Za jego kadencji oraz więcej pisarzy publikowało książki na zachodzie.

Eva - Ale to chyba nie jego zasługa? To zostało niejako wynegocjowane przez wydawnictwa zachodniemieckie na drodze operacji dewizowych. Wiele opcji jak wiadomo jest w rękach domów wydawniczych w RFN. Cała spuścizna Brechta, tego barda NRD-owskiego, jest również w rękach tak obrzydzanych przez niego kapitalistów.

Volker - To wszystko takie pomieszane. Peter Weiss mieszka od lat za granicą /w Szwecji - przyp.P./ a jest stale obecny w NRD. Jego sztuki antyimperialistyczne są najlepszym paszportem do naszego życia kulturalnego.

P. - A nie mówię! Jest i taka szansa.

Volker - Dziękuję za takie wsłójcie.

Eva - Myślę, że nie ma tu podobieństwa do sytuacji polskiej. Wy nawet teraz nie jesteście podzieleni. Nasze odniesienia, nasze marzenia mogą się dopiero ziścić, jeżeli wyjedziemy z NRD, choć

na chwilę. To potrzeba i fizyczna, i duchowa. My właściwie w tym sensie jesteśmy podzieleni - jedni mogą wyjechać na Zachód, innym się nie daje możliwości nawet odwiedzenia Polski.

P.- Zawsze pozostaje jednak wasz czytelnik; musicie pamiętać o tym Niemcu, który jest obywatelem NRD i czeka na wasze książki.

Eva /gwaltownie/ - Ja chcę tego, tak, chcę. No i co? Już dawno mogłabym wydać tę moją powieść w RFN, ale chcę w wydawnictwie NRD-owskim. I dlatego tak długo czekam.

P.- A nie myślicie o wydawaniu nielegalnym?

Eva - Ja cię nie rozumiem. Najpierw chcesz, byśmy oddziaływali na społeczeństwo poprzez oficjalny obieg, a potem namawiasz nas na powielacz. Zresztą nie sądzę, aby powielaczowy druk znalazł nabywcę. Niemiecki czytelnik lubi ładne książki, odrzuca bylejakie, a przecież nielegalny druk poważnie obniżyłby poziom wydawniczo.

P.- Idee ważniejsze od ładnego papieru.

Eva - Owszem, lecz przecież z RFN może dojść książka ładna i narzmiata ideami.

Volker - Tyle, że nie tak łatwo ją przeszmuglować.

P.- Ciągle jednak nie rozumiem, jak awansowali wasi poprzednicy?

Volker - Zrozum, władze fundują sobie od czasu do czasu Petera Weissa, Güntera Kunerta czy Sarę Kirsoh, bo z tym liberalizmem im do twarzy. Może nadejdzie czas, kiedy wytypuje się i naszą Evę do orszaku pisarzy NRD-owskich "z utwierdzeniami".

Eva - Dość już długo czekam, nie uważasz? "nie to nie bawi.

P.- A Christa Wolf?

Volker - To dziecko partii. Swoją niezależność budowała w oparciu o mandat partii, o członkostwo KO ...

Eva - Była jednak uczciwa w tym, co pisała; i ona miała trudności wydawnicze...

Volker - Owszem, a jej zaangażowanie w SED przyniosło nawet dojrzałe owoce w postaci pewnych zahamowań wśród funkcjonariuszy. Nie raz występowała w obronie atakowanych.

Eva - To format człowieka. Pewnie niewielu z was wie, że w czasach "Solidarności" swoją nagrodę w RFN przeznaczyła na Centrum Zdrowia Dziecka. Ten gest był dość wymowny, w miesiącach, kiedy władze NRD odcinały się od Polski, od społeczeństwa polskiego.

Volker - Ale w końcu w partii pozostała pewnie z wiarą, że uda jej się coś jeszcze wynegocjować. Nie każdy jednak pisarz zechce zaakceptować dyscyplinę wynikającą ze statutu partii.

P.- Reasumując odmawiacie współpracy.

Eva - Przesada. Każdy z nas gdzieś pracuje zawodowo. Każdy z nas ma na utrzymaniu rodzinę. Bez "współpracy" nic nie zwojujemy. Odmawiamy jednak manipulowania sobą w sposób urągający naszej godności, godności człowieka, godności ...

P.- ... obywatela?

Eva - Musiałabym w pełni zaakceptować status wynikający z przynależności do państwa NRD. Przychodzi mi to z trudem, bo w sferze polityki kulturalnej na przykład, niesie ze sobą amoralne sposoby sprawowania władzy.

P.- Mówiliśmy jednak o pewnej liberalizacji...

Ewa - Nam jest przypisana wersja bytowania za murem bez możliwości wyjazdu, ze wszystkimi ograniczeniami, jakie ma każdy obywatel NRD. Czyż nie widać podziału?

Volker - Ja mam przynajmniej pewien cień nadziei, że wyśle mnie mój instytut ...

Ewa - A może mój zakład pracy zorganizuje wycieczkę?

P.- Jeśli wyjedziecie, czy powrócicie?

Ewa - Gotowa zostawić tu w zastaw swoją córeczkę.

Volker - Mój status określa się podobnie. Być może to cyniczne, ale przecież mają nas w ręku. A jednak nie dowierzają nam. Nie choć przepływu idei, czy informacji o niej. Twoja dociekliwość, byśmy bronili swoich wartości tu, w kraju NRD-Ulbrichta, jest przeniesieniem waszych przemyślań do naszej sytuacji. Powiedziałem już, jesteśmy podzieleni, ale tylko państwowo, no może jeszcze etnicznie, ale nie zmienił się nasz stan ducha literackiego. Co więcej, literatura tworzona przez pisarzy NRD jest bardzo modna w RFN, a więc tam, gdzie konkurencja duża, gdzie rynek dyktuje prawa i nie zawsze są one sprawiedliwe dla prawdziwej sztuki.

P.- Na przykład Jurek Becker/5/ widzi dość wyraźne różnice w obu systemach, widzi braki zarówno u was, jak i u nich, braki, które go bolą.

Volker - Bolą go jako Niemca, jako takiego, a nie z paszportem takim czy owym. Becker wierzy w swoje postannictwo literackie gdziekolwiek by był, a ceni sobie patronat państwa opiekuńczego, którym w sferze socjalnej niewątpliwie bardziej jest NRD niż RFN. Czy taka postawa jest jednak w pełni moralna?

P.- Becker jest już na drodze do zjednoczenia Niemiec.

Ewa - To ty mówisz, Polak?

P.- Nie dam się zapędzić w wasze stereotypy. Nie przekroczycie pewnie barier politycznych, ale życzę wam byście mogli zawsze, o każdej porze zwiedzać krainy waszych marzeń i przeżyć, cieszyć się waszymi dokonaniem.

Volker - Zawsze do tego dążymy, nawet jeśli ...

Ewa - ...by to miało oznaczać, że zestarzejemy się w naszym kręku literackim.

/Rozmowę odtworzono, ze zrozumiałych "celnych" względów, na podstawie notatek/

Przypisy

- 1/ Käthe Kollwitz, wybitna graficzka NRD, wyróżniająca się stylem zbliżonym do ekspresjonizmu; styl ten był przez wiele lat obowiązującym kanonem estetycznym w grafice NRD.
- 2/ Volker Braun, głośny poeta młodego pokolenia, którego wiersze wyrażają pewien solidaryzm z robotnikami NRD; w warstwie słownej wykorzystywał serie język propagandy.
- 3/ Friedrich Gottlieb Klopstock /1724-1803/ niemiecki poeta epoki oświecenia, zapoczątkował nowy okres w poezji niemieckiej /m.in. rezygnacja z rymu i rytmu/.
- 4/ W czasie, gdy przeprowadzano rozmowę, Peter Weiss jeszcze żył.
- 5/ Jurek Becker, prozaik NRD-owski, mieszkający czasowo w RFN.

Nazwisko Karela Kryla znają w Polsce nie tylko specjaliści od spraw czeskiej kultury. Ten "bard Praskiej Wiosny" zyskał u nas niesłychaną popularność, choć wcale nie był lansowany przez tzw. środki masowego przekazu. Ale mało kto wie, że Kryl nie stanowi w Czechosłowacji zjawiska wyjątkowego, że przebywający obecnie na emigracji śpiewający poeta znalazł w swoim kraju godnych następców.

Szkic niniejszy nie jest historią "ruchu balladowego" u naszych południowych sąsiadów i nie wyczerpuje całego zjawiska; chciałabym się jedynie skoncentrować na trzech postaciach: Krylu, Trěšňaku i Hutce. Najpierw jednak trzeba się cofnąć o ponad 20 lat. Wtedy to bowiem, gdzieś około 1963 roku, nadchodzi wreszcie z dawna oczekiwana "odwilż" w kulturze Czechosłowacji - do tego czasu wciąż utrzymywanej w kajdanach socrealistycznej ortodoksj. Spośród wszystkich nowinek tamtych czasów interesują nas najbardziej teatrycki matych form, które jak grzyby po deszczu zaczęły się pojawiać na początku lat 60-tych. Tam właśnie - w tych półprofesjonalnych, pół amatorsko-studenckich zespołach - znaleźli ażył "młodzi gniewni" - pieśniarze, plastycy, poeci. Klimat owych czasów - otwarcie na nowe doświadczenia, poszukiwanie innej samoświadomości - dawał młodym artystom niezwykle szanse. Właśnie na ten pomysłny okres przypada debiut urodzonego w 1944 roku Karela Kryla, który wprowadził pierwsze kroki na estradzie stawiał już w 1962 roku, ale na dobre związał się ze sztuką w trzy lata później, kiedy został członkiem "Teatryku dla znajomych" w Teplicach. W 1966 roku Kryl przeniósł się do Ołomuńca, ale prawdziwy rozgłos przynosi mu dopiero okres "Praskiej Wiosny" i miesiące poinwazyjne. Wtedy powstają - znane również z wykonania naszego "Salonu Niezależnych" - ballady "Jego Wysokość Kať", "Pokolenie" czy nie mniej popularne "Jarzębiny", "Niewidoma dziewczyna", "Pieśń nieznanego żołnierza" albo "Podziękowanie". Od stycznia do sierpnia 1968 Kryl pracuje w praskiej telewizji, później jako wolny twórca występuje głównie w klubach i teatrzykach, ale również na wiecach i zgromadzeniach publicznych, np. do legendy przeszły już jego koncerty na schodach praskiego Uniwersytetu Karola. Jednak tzw. "normalizacja" życia społecznego sprawia, że możliwości występów jest coraz mniej. Wprowadzie jeszcze w 1969 roku udaje mu się nagrać /w firmie płytowej "Panton" długogrającą płytę "Braciszku, zamykaj wrota"/, ale tylko część nakładu została skierowana do sprzedaży /dziś jest to niezwykle poszukiwany, a przez posiadaczy - pieczętowanie chroniony "biały kruk"/, mająca zaś ukazać się jednocześnie z płytą książeczka tekstów /pod tym samym tytułem/ nigdy nie ujrzała światła. W tej sytuacji Kryl podejmuje decyzję opuszczenia kraju - we wrześniu 1969 roku nie wraca z festiwalu pieśni protestu w RFN. Od tego czasu mieszka w Niemczech Zachodnich i współpracuje z Rozgłośnią Czechosłowacką RWE. Na Zachodzie nagrał cztery duże płyty: "Rak" /1969/, "Maszkary" /1970/, "Carmina resurrectione" /1974/ i "Karawana chmur" /1980/.

Na marginesie chciałabym wspomnieć, że Karel Kryl zajmuje się także poezją "nie śpiewaną". Jeszcze w Czechosłowacji jego mniej znane teksty dadaistyczne miały ukazać się w czasopiśmie "Seřity", lecz podobnie jak wiele innych pism, to również zostało zlikwidowane. Na emigracji natomiast wydał do tej pory sześć tomików /"Ksionżka Karela Kryla". "Siedem wierszyków na lustrze", "Wątpliwości", "Dzieła zebrane - spod słońca", "17 kryptogramów dziewczęcych imion", "Słowa"/.

Wracajmy jednak do poezji śpiewanej. Lata 70-te przyniosą pełną "normalizację", nie jest to więc okres odpowiedni dla twórczych niepokojów. Jednak po wyjeździe Kryla balladziści nie budzą już

"publicznego zgorznięcia", dlatego przestają być głównym wrogiem reżimu i "ostateczne rozwiązanie" zostaje odłożone na później. Na razie wystarczy zwykła cenzura, która bezpardonowo amputuje wszelkie przejawy nieprzymowności. Część pieśniarzy zaczyna więc sięgać po folklor. Charakterystyczny jest tu przykład urodzonego w 1947 r. Jaroslava Hutki, który debiutował w latach 1966-67 i początkowo śpiewał własne teksty /także ballady dla dzieci/, lecz na początku lat 70-tych zaczyna wykonywać stare, XIX-wieczne pieśni morawskie. Hutka jest założycielem balladowej grupy "Safran", w skład której wchodził prócz niego Zuzana Homolcova, Petr Lutka, Vladimir Merta, Vlastimil Třešňek, Vladimir Veit i Daša Yoňkova. Interpretacje pieśni ludowych przyniosły Hutce dużą popularność i stała się rzecz miłośnicza: ten licencjowany amator /Hutka był zarejestrowany w Praskim Ruchu Kultury jako śpiewak amatorski, który za swoje występy może pobierać tylko symboliczne honoraria/ nagrat do 1976 roku pięć "singli" i dwie płyty długogrające: "Stój, brzoza zielona" i "Wędrowali wędrowcy". Aranżacje Hutki nie miały nic wspólnego z cepeliowską sztucznością /w rodzaju "Mazowsze"/ czy zaprogramowaną nowoczesnością /à la "No Te Co"/ - czyste, oszczędne i szlachetne czyniły z prostych ballad ludowych prawdziwe perły. Nac więc dziwnego, że koncerty tego muzyka /przeważnie w małych klubach/ przyciągały tłumy młodych wielbicieli, spragnionych kontaktu ze sztuką autentyczną i niekomercyjną. I to właśnie był "błąd" czy "pech" Hutki, bo w kraju nie może zostać się nic autentycznego i naturalnego. Kiedy więc władze uporały się z "jawnymi" wrogami ustroju, przyszła kolej na wrogów "ukrytych", do której to kategorii zaliczono Hutkę. Wszak jest dobry w tym, co robi, ponadto nie śpiewa wprawdzie rzeczy niestusznych, ale nie śpiewa również słusznych, a na dodatek jeszcze ma całkiem niestusznych przyjaciół /którzy nie tylko nie mają nic wspólnego z socjalistyczną kulturą, ale wręcz są przeciwi tej kulturze/. To wystarczyło. Ostatecznie zaś przypięczętował los Hutki napisana przez niego piosenka "Havlíčku, Havlu" w której osmiesił się on porównać XIX-wiecznego postę i czeskiego działacza politycznego, więzionego przez władze austro-węgierskie - Karla Havlíčka - Bobrowskiego ze współcześnie żyjącym pisarzem - Vaclavem Havlem. Hutka podpisał ponadto Kartę 77. Reakcja władz była natychmiastowa: cofnięcie rejestracji, całkowity zakaz występów, a wreszcie aresztowanie pod zarzutem nielegalnego pobierania honorariów za występy. I wtedy stał się drugi cud: wielbicieli Hutki zaczęli masowo i zupełnie spontanicznie nadsycać do władz protesty i apale o zwolnienie artysty; petycje w tej sprawie nadechodzą również od ... kierownictw klubów oficjalnej organizacji młodzieżowej. W efekcie władze rezygnują z procesu, ale Hutka - pozbawiony środków do życia i nieustannie szykanowany - zmuszony zostaje w 1978 roku do emigracji. Nim się to jednak stało, pieśniarz wziął udział w dwóch "Festiwalach Kultury Niezależnej", a także wystąpił na dziesiątkach prywatnych koncertów, z których nagrania do dziś krążą na kasetach i taśmach w całej Czechosłowacji. Obecnie Jaroslav Hutka mieszka w Holandii; nagrał na Zachodzie dwa longplay'e: "Prawdopodobne oddalenie" i "Przeszłość do nas macha"; jest także autorem wielu opowiadań i wierszy.

Hutka swoje własne utwory stylizował na proste ballady ludowe: nieskomplikowane, szybko wpadające w ucho melodie i łatwe, czasem wręcz "częstochozkie" rymy. Zupełnie inny typ ballady prezentuje ostatni z naszej trójki - Vlastimil Třešňek. Jego ballady pisane są przeważnie wolnym wierszem i posiadają wyszukane, kunsztowne melodie podkreślane jeszcze przez wirtuozowską grę na gitarze 12-strunowej.

Ur. w 1950 r. Trześńak spędził dzieciństwo w biednej, peryferyjnej dzielnicy Pragi - Karlínie, wychowywany przez dziadka - stróża nocnego. Zaczął pisać piosenki w 1968 roku, a w latach 1969-74 wykonywał wolny zawód /jak w przypadku Hutki/, był zarejestrowany w Praskim Domu Kultury jako śpiewający poeta/. Później pracuje fizycznie - jest technicznym pracownikiem teatru, rekwizytorem filmowym, robotnikiem w browarze, pomocnikiem grabarza, stróżem, pomocnikiem geodety itp. - stale wśród ludzi, których los czy nietolerancja zepchnęły na dno. Doświadczenia i obserwacje z tego okresu jak również wspomnienia z dzieciństwa stanowią materiał wielu jego utworów, zarówno poetyckich jak i prozatorskich /Trześńak jest autorem dwóch tomów opowiadań, wydanych przez emigracyjną oficynę Index - "Jak ja to widzę" - 1979 i "Babilon" - 1982/. Być może właśnie to uwrażliwienie na ludzką krzywdę i niesprawiedliwość były powodem jego akcesu do społeczności Karty 77. Trześńak nie ogranicza się wyłącznie do złożenia podpisu pod deklaracją tego ruchu, ale aktywnie w nim działa. Jeździ na procesy, pomaga w pracach Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania, organizuje niezależne życie kulturalne, bierze udział w słynnym spotkaniu na Śnieżce - przedstawiciele Karty 77 i KOR-u: Jaroslav Hutka - bliski przyjaciel Trześńaka, z którym w latach 1969-70 występował w duecie - powie o nim, że "jest to może pierwszy czeski poeta, który nie udaje biednego, który rzeczywiście jest biedny i jednocześnie pierwszy czeski poeta, którego bieda nie zniszczyła". Pod koniec lat 70-tych i na początku 80-tych Trześńak występuje na kilku "podziemnych festiwalach", a także bierze udział w spektaklach teatru domowego. Zapytany o sens życia, tak go - ze znaczną dozą autoironii - określał:

" 1 - 10 lat - bawić się w wojsko
 10 - 12 lat - bawić się w dobre wojsko
 12 - 16 lat - udawać doświadczonego
 16 - 17 lat - kryzys
 18 - 28 lat - pracować, śmiać się, płakać, śpiewać, palić, malować, wygrywać, przegrywać, pilnować w nocy muzeum, pilnować wody w studniach, być statystą, fotografować, pić, myć podłogi, użyć się itd., itd., ale przede wszystkim pracować
 Mierzyć ziemię."

Rosnące represje zmusiły Trześńaka do opuszczenia kraju i od 1982 roku mieszka on w Szwecji. Tam nagrał dwie płyty: "Mierniczy" i "Koh-i-noor".

Wyjazd Hutki i Trześńaka, a także Vladimira Veita oraz polityczne i administracyjne prześladowania sprawiły, że grupa "Safran" praktycznie przestała istnieć. Jej niedobitki występują jeszcze od czasu do czasu w jakichś peryferyjnych klubikach, ale generalnie można powiedzieć, że porządek został przywrócony.

Emigracja w łonie emigracji

Rozmowa Karela Hvizdali z Karem Krylem

K.H. - Co zrobicie i napiszecie od czasu, gdy opuścicie Czechosłowację?

K.K. - Płyty "Rak" i "Maszkary", około 80 piosenek, które jeszcze nie wyszły na płytach, "Ksionszkę Karela Kryla" /wydawni-

ctwo Index/, "7 wierszyków na lustrze" i "Wątpliwości" /obie książeczki wydane własnym nakładem/, "Spod stołu - dzieła zebrane" /wydawnictwo 68 Publishers/, "17 kryptogramów imion dziewięcycich" /wydawnictwo "Poezje mimo domov"/; prócz tego drugie wydanie płyty "Braciszkui, zamykaj wrota". To są rzeczy opublikowane. A ponadto: "Słówka" /poetycki scenariusz - ma wyjść w 68 Publishers/, druga część "Dzieł" - komentarze do serialu z historii moich pisenek. Teraz piszę "Artura" - to coś wężakiego, poetyckiego, ale Bóg wie, kiedy skończę. "Krylogia" - proza; mam półtora rozdziału, ale mi się nie podoba albo może jeszcze nie dojrzało. No i kupa drobniaków dla Radia Wolna Europa, choć nie są to raczej dzieła literackie.

Do tego około 600 występów, koncertów itp., piosenki po polsku, rasyjsku i niemiecku. A; byłbym zapomniał jeszcze o dwóch rzeczach: W 1978 roku ukazała się płyta "Lieder gegen Panzer", na której są m.in. cztery piosenki śpiewane przeze mnie po niemiecku. Natomiast w tym roku na Boże Narodzenie wyjdzie w czeskiej wytwórni płytowej "Safran" w Szwecji moja nowa płyta - "Karawana chmur". I to już wszystko, co dotyczy produkcji słowno-muzycznej. Prócz tego są jeszcze projekty okładek książkowych: 29 bibliofilii, 27 w wydawnictwie "Poezje mimo domov".

Poza tym ożeniłem się i rozwiódłem, trzy razy zmieniałem miejsce zamieszkania /oznaka mobilności/, studiuję dziewiąty semestr historii sztuki na uniwersytecie Ludwika Maksymiliana w Monachium, co tydzień nagrywam trzygodzinne programy muzyczne dla Radia WE, dla którego przeprowadzam też wywiady z ciekawymi ludźmi, jak np. ty. Zrobiłem też dla radia ok. 300 opowiadań, felietonów i innych satyryczno-poetyckich głupstw oraz namalowałem z dziesięć obrazów.

Aha, ponadto ugotowałem około 5000 potraw, co też jest aktem twórczym. Dzieci na razie nie stworzyłem, ale i to z czasem przyjdzie. Ogólnie mówiąc jestem oszowiekiem leniwym, namiętnie leniwym. Dlatego nie więcej nie zrobiłem i to mnie wkurza. Czasami.

K.H. - Pracy pisarze przeżywają wiele konfliktów z władzami. Czy ciebie spotkało tutaj coś podobnego?

K.K. - Konflikty z władzami? Nie, przynajmniej na razie nie miałem żadnych. Ale co nie jest, może być. Co więcej? Zamiast kłopotów z władzami masz tu niezrozumienie faktu, że taki ktoś ma z Ciężkostowacji z rządu posiada kilka zawodów, co tutaj nie jest zwyczajem. Więc jeśli ktoś ci powie, że nie ma miejsca dla pieśniarza, to możesz starać się o posadę starszego kopacza studni. Skoro nie możesz być trójciocielem szczyrów, masz szansę załapać się jako okradacz nieboszczyków. Będąc dyplomowanym lwem, w najgorszym razie dostaniesz posadę wiewiórki, ale w takim przypadku na pewno łącznie z przydziałem orzeszków /których ilość naturalnie zgadza się co do jednego/.

Ale bez żartów. Pisanie czy recytowanie poezji jest pracą zupełnie nielukratywną. Piszę co tym teraz taki dłuższy bełkot. Może to kiedyś skończy i opublikuje. Dialog - monolog z Rimbaudem, który pewnego dnia wypiął się na poezję i pocszedł sprzedawać broń i niewłkników.

/.../

K.H. - Jak dziś, z tyloletniego dystansu, patrzysz na swoją emigrację z kraju?

K.K. - Po pierwsze: dystans nie jest taki wielki. Cóż znaczy dziesięć lat w porównaniu z dożywociem Jana Amosa Komenskigo. Albo Heinricha Heinego.

Po drugie: ja nie wyemigrowałem. Zostałem. Przypadkiem. Wracałem do kraju od lipca do września 1969 roku, ale potem zamknęli granicę. Zapanowała głupota, co jeszcze nie jest tragedią. Tragedia na

stała, gdy głupota objęła wszechwładzę w kraju. Z głupca zrobił się pan. A tam, gdzie głupota staje się systemem państwowym, nie ma już miejsca dla myśli. No, to mi się ładnie powiedziało. Jasne, że i tu zetknąłem się z głupotą, bo to cecha międzynarodowa. Tylko, że tu głupiec nie zagraża twojemu istnieniu.

/.../

K.H. - Piszesz po czesku?

K.K. - Piszę po czesku, choć pochodzę z Moraw. Sądzę, że język czeski jest jedyną ojczyzną dla tego, kto go poznał. Nie istnieje nic piękniejszego. Piszę też po niemiecku. Gdybym był Niemcem, pewnie był powiedział, że to właśnie język niemiecki jest tym naj... Ale dla mnie nie jest. Widać to na możliwości przekładu. Rymy, gramatyka, brak dwu-, trzy- i wieloznaczności: ideał dla prozaika, tragedia dla poety. Przez pięć lat nie potrafiłem sensownie przemówić po niemiecku. Mimo że dostatek szkoleń.

/.../

K.H. - Co myślisz o samokrytyce Bohumila Hrabala sprzed kilku lat? Czy tu, na Zachodzie, pisarz może znaleźć się w takich kleszczach, jak Hrabal?

K.K. - A/Kleszcze na Zachodzie: napisz prozę - może wydrukujemy, napisz polemikę z Sołżenicynem - wydrukujemy z całą pewnością. /O polemice z "Archipelagiem Gułag", ja tego nie wymyśliłem! /

B/Spór wokół Hrabala? Czuję się tak, jakbym tam stałe był. Osobiście uważam zachowanie Hrabala za moralne świństwo, podobnie jak zachowanie popularnych śpiewaków. Dopóki nie może występować Kubišova, nie ma dla nich usprawiedliwienia. Dopóki nie publikuje Veculík - Hrabal jest dziwka. Kropka. Dlatego jestem tu, nie tam. Podobnie rzecz się ma z tzw. "normalizacją stosunków z krajem" w pewnych kręgach tutejszych emigrantów. Ale to są tylko moje prywatne opinie. W końcu to twoja brocha jak głęboko się pokłonięz. Jedno stare przysłowie indyjskie mówi: "Skoro się kłaniasz, zrób to tak nisko, eby ci się opłaciło". No, dobra. Ale my nie jesteśmy w Indiach.

/.../

K.H. - Jak to robisz, że będąc na emigracji władasz tak bogatym językiem? Czy się tym jakoś specjalnie zajmujesz?

K.K. - Nie wiem. Ale to pewnie właśnie dzięki emigracji. Tutaj człowiek stara się zapomnieć o tym, co było. Próbuje przypominać sobie to, co najlepsze. Warunkiem jest jednak wcześniejsze zapomnienie. Tak samo z językiem.

Jeśli człowiek żyje w getcie, zauważa, że jego słownictwo nie tylko się nie rozwija, ale karłowacieje.

Co innego na emigracji. Jeśli człowiek jest emigrantem politycznym i za takiego się uważa, kurczowo czepia się przynależności do narodu, z którego pochodzi. Ale czy jest inny sposób wykazania swej wspólnoty z narodem jeśli nie poprzez miłość i szacunek do języka? Do języka, tego Kopicuska. Oprócz języka nie mamy niczego, co świadczyłoby o naszych związkach z kulturą narodową. Nie mamy tradycji historycznych - jeśli nie liczyć wspomnianego Jana Amosa Komenskigo. Z czasem rozluźniają się więzy koleżeńskie, rodzinne. Już nawet trudno jest wspominać. O dumie narodowej nie ma co mówić. Skąd ją wziąć, jeśli jej nie było wcześniej. Pozostaje więc tylko jedno. Język. Mowa. Ta wspaniałość. Klejnot. Szmeragdowa spinka myśli. Tajna miłość na obczyźnie. Potem któregoś dnia zauważasz, że użyłeś marniej konstrukcji zdania. Że ci się wymykają germinizmy, angлизmy, idiotyzmy. Jak z przekłutej duszy. I że już trudno ci zapanować nad upadkiem języka. Najpierw reagujesz paniką. Wymyślasz wtedy jeszcze większe koszmery, niż wcześniej. Już nie "krosujesz strity", ale "przekraczasz przez". Zanim więc nastąpi ten drugi etap alienacji, trzeba sobie uświadomić, że nie ma nic za darmo. Że język trzeba

odnawiać, studiować. Przecież każdy, kto ma jakieś hobby poszukuje literatury przedmiotu, by się w tej dziedzinie dokształcać. A potem nadchodzi trzeci etap zmartwień: poszukiwanie słowników, opracowań, ciekawostek językowych. Bo tam gdzie nie ma literatury, pozostają słowniki. Nawet wtedy, gdy język jest już martwy. Weź choćby łacina...

Więc zacząłem rozmyślać po ozesku. Uczyć się języka czeskiego. Uczyć się go kochać tak, jak kochamy damę, królową swego serca. Istotnie czasem prowadzi to aż do puryzmu. Ale wolę tę stronę medalu niż odwrotną - impotencje kretynizmu, bezpłodną ograniczoność debilnych komentarzy partyjnych. Język to kochanka. Troszczysz się o niego - wynagrodzi cię. Ruścis go na wdę - da ci koś. Obudzisz się nagle na brzegu rzeki z guzem na głowie. I jeszcze jeden pomysł. Trzeba sobie znaleźć nieozłaskie środowisko. Dopiero bowiem kiedy opanujesz obcy język przekonasz się, że wobec czeszczyzny jest biedny. Że jest niezręczny, chropowaty, bezdźwięczny, suchy. Boli mnie gdy widzę, jak pryncyple koledzy zapominają końcówkę liczby mnogiej. Język trzeba pieścić. W przeoiwnym razie umrze. Uchnie. Zmumifikuje się.

K.H. - Jak, kiedy i po co napisałeś swój ostatni wiersz? Możesz to zrekonstruować?

K.K. - Właśnie piszę. Nie mogę zrekonstruować, choćby dlatego, że jeszcze nie skończyłem. Odzwyczaiłem się od pisania wierszy "za jednym przysiadem". Nie dlatego, że nie potrafiłbym go napisać, nawet z pointą, ale po prostu zmieniając sposoby pisania. Znalazłem się obecnie w stadium, w którym przestaje mi wystarczać mała forma. Oczywiście, że nadal mogę to robić, ale nie wyłącznie. Brakuje aspektów: Czasem cztowiek uzyskuje w krótkim wierszu taką koncentrację myśli, że większość ludzi już tego nie rozumie. Zaczynasz być niekomunikatywny, a więc stajesz się egoistą. Ostrzeżeniem była dla mnie piosenka "Wątpliwości" - dwaście i pół minuty; to za dużo jak na tekst śpiewany. Melodia nie jest w stanie tego unieść. Na dodatek, jeśli tekst jest gęsty, publiczność nie daje rady go śledzić. W końcu byłem zmuszony wydrukować cały tekst. A po co pisać ten ostatni wiersz /jeśli to wiersz/? Dla wyrażenia uczuć: obrzydzenia powodującego mdłości, kryształowce czyste też nie nawiści do "porządnych ludzi", których się boję i którzy mordują bona fide. Poza tym piszę, bo brak mi pewności. Po to jest poezja. To wszystko.

K.H. - Jesteś chyba jedynym poetą emigracyjnym, tak masowo znanym przez młodych ludzi w kraju. Jakie to uczucie być odpowiedzialnym za coś, czego nigdy nie widziałeś, nie słyszałeś i przede wszystkim - nie przeżyłeś? Jak sobie radzisz z tą sytuacją?

K.K. - Dziękuję za to "chyba". To straszne być odpowiedzialnym za coś, co mogę widzieć czy słyszeć, a co dopiero za to, czego nie znam. Tylko że ... wszystko jest inaczej! Mogę znać, ponieważ czuję, ponieważ jest telewizja, przyjaciele. Że to ograniczona znajomość? Tak. Ale i tematy są ograniczone. Jeśli nie mogę mówić o przeżyciach z jednego dnia, to mówię o przeżyciach całej rzeczywistości. O problemach występujących po obu stronach barykady. Oczywiście to wszystko jest w trybie warunkowym. Nie można wiedzieć, ale można przeczuć. Słyszeć też można. Istnieje radio, płyty, taśmy, informacje. A głupota jest tu i tam. Czasem panująca. Czasem opanowywana. Ale w jednym masz rację. Nie mogę przeżyć. I to jest znacznie gorsze. Żle - to jest potworne, przerażające. To permanentna schizofrenia. Pracować tu dla tamtych; pisać po czesku w Niemczech, dla Czechów, będąc emigrantem, Morawianinem... Nigdy nie wiem, jak tam będą przyjęty, czy jeszcze obowiązują te słowa, zdanie, idiom, oddech. Ale czytam Heinricha Heinego, Tego ostatniego poetę niemieckiego. Żydowskiego poetę mieszkającego we Francji. A jednak przemawia on nadal do współczesnych. Nawet nie wiem dlaczego.

Jak to znoszę? Źle. Z tej strony barykady nie sposób przebić betonowej ściany niezrozumienia. W końcu cię zamurują. A potem patrzą na ciebie przez szklaną szybę. Getto w getcie. Emigracja w łonie emigracji. Stan niezbyt normalny. Permanentny bunt. Ale dosyć roztkliwiania się.

/.../

K.H. - A jednak bardziej jesteś poetą niż muzykiem. Czy nie myślałeś nigdy o współpracy z zawodowym kompozytorem? Czy nie sądzisz, że to mogłoby ci pomóc?

K.K. - O współpracy z zawodowym muzykiem myślałem od wielu lat. Nie tylko myślałem, ale usilnie do tego dążyłem. Skoro jednak wszyscy zawodowcy zostawili mnie na lodzie, więc wolałem zająć się łodem.

A czy to by mi pomogło? Pewnie tak. Tylko że zapewne przestałbym już pisać piosenki i poświęciłbym się tekściarstwu. Z wierszami też byłby koniec. Więc nie wiem.

K.H. - Jak oceniasz nowych czeskich bardów? Czy znasz nazwiska: Voňkova, Lutka, Merta, Třešňák, Hutka, Homolova, Veit, Zych...? Kto z nich jest ci najbliższy? Znasz grupę "Šafran"?

K.K. - Wybacz, nie będę oceniał. Już parę osób oskarżyło mnie, że zadroszczyć innym, więc nie chcę znów być posądzony. Najwyżej mogę ci powiedzieć kogo lubię bardziej, a kogo mniej. "Šafran" znam, w tym emigracyjnym "Safranie" mają mi wydać płytę. Ciekawy jestem, jak to będzie wyglądało. Myślę, że żadna z tych osób nie jest mi bardziej bliska czy odległa. Zawsze najbardziej podobał mi się i podoba Vladimir Merta. W ostatnich czasach także Třešňák - ten niedźwiedz bartnik. Z kudłatym Hutką różni nas bardzo stosunek do rytmu; zresztą nie zgadzamy się ani co do rytmu języka, natomiast jako ludzie chyba znosimy się znacznie lepiej. Veita styszałem tylko w jednej piosence i na dodatek był to Szekspir. Voňkovej nie styszałem nigdy; Homolovej też nie. Zych mnie nudzi - za bardzo staranna konwencja. Jest jeszcze Marsyas i Mišić /z Kainarem/. Ale jak powiedziałem, najbardziej lubię Mertę. Jest poetycki i nie filozofuje po to, by filozofować.

K.H. - Miałeś ciekawą młodość. Twój ojciec był znakomitym drukarzem i wielu czeskich poetów było jego przyjaciółmi. Czy nie sechciałbyś wspominać tych czasów? Zapewne właśnie stąd bierze się twoja miłość do pięknego, precyzyjnego słowa?...

K.K. - To pomyłka. Kiedy miałem tyle lat, że już mogłem coś niecoś rozumieć, rozpieprzyli ojcu drukarnię. Zdaje się w ramach walki klasowej. Potem ojciec popadł w niełaszkę. Więc wszyscy wielcy czescy poeci woleli się u nas nie pokazywać. Nawet im się nie dziwieli. Na przykład "Tomasz Garrigue Masaryk" Nezvala wydrukowany został właśnie u nas, ale w czasach, kiedy ja z a c z y n a ł e m myśleć, zarówno Nezval, jak i Helas mieli już zupełnie inne poglądy niż przed laty. I inne funkcje. Powspominać mógłbyś raczej z moim ojcem, gdyby nie zmarł w 1971 roku. Miał dopiero sześćdziesiąt jeden lat. Wiesz, za piękne słowa nie tylko przydzielano nagrody. Również chodziło się na roboty przymusowe. Nie wiem, co wtedy robiło wielu z tych, z którymi teraz przeprowadzasz wywiady.

K.H. - Czy nie jest bardziej ludzkie i sensowniejsze ocenianie przemian ludzi, niż ironiczne podkreślanie ich przeszłości? Przecież ci ludzie /a dotyczy to oczywiście tylko starszych/ ewidentnie zmienili się na lepsze?...

K.K. - Jeśli chodzi o ocenę ludzkich przemian, to nie należę do powołańców, ani tym bardziej wybranych. Mam jednak trochę własnych odczuć. Sądzę, że kiedy wieszali Eichmanna, ten starszy pan mówił sobie: "jasna cholera, co oni stale wymyślają z tą przeszłością; przecież od tamtych czasów jestem zupełnie porządnym człowiekiem".

kism!" Ale to pewnie ci nie pasuje, bo on sobie myślał po niemiecku, a kto z nas dziś zaglądałby w duszę byłego nazisty, późniejszego Argentynczyka czy innego diabła? W ewidentne zmiany na lepsze wierzę szczególnie od sześćdziesiątego ósmego, kiedy wszędzie pisano, żeby nie bić trupów /zdaje się, politycznych/. No więc do dziś te trupy rządzą nami twardo i bezkompromisowo, choć niektóre beznaściejnie się zestarzały. Doktor Husak w latach 50-tych i 60-tych tak się ewidentnie poprawił, że do tej pory jest poprawiony. Dawny Pavka/x/ obecnie znów jest "porządnym człowiekiem", bo jeszcze nie drukują mu wierszyków. On za to ochochoz poświęcił się dramatowi. A to dramat! Vaoulik/xx/ tymczasem bezczęści gręby, a fakt że opublikowali to chłopcy z bezpieki, nie zmienia istoty rzeczy. Kiedy miały miejsce afery zachodnich polityków, też było jasne, że nie oni sami dobrowolnie przekazali do gazet swoje zdjęcia z dziewczkami.

Ale dajmy spokój. Broń Boże nie chcę nikogo osądzać! Uważam tylko, że należy wątpić. Skoro niektórzy dziś płaczą, bo ich dzieci nie mogą się dostać do studia, to niech sobie przypomną sytuację walki klasowej po 1949 roku. Choc w rzeczywistości dziś byłoby mi już wszystko jedno, gdyby nie fakt, że zabili mi tatę. Czy to ma jednak jakieś znaczenie? Właściwie komu nie zabili? Mało jest takich. Każdy z nas miał jakiś tam charakter i musiał sobie z tym poradzić. Tylko że: jeśli ktoś kuleje na lewą nogę, nie sądzę, że w zmienionych okolicznościach zacznie utykać na prawą. Takich przewrotek jest naprawdę bardzo mało, choć oczywiście istnieją.

K.H. - Jakie jest dziś zadanie poezji i filozofii? Jaką rolę odgrywają we współczesnym świecie? Czy myślisz, że filozofia może dziś coś zmienić, jak wcześniej Kant, Hegel czy Marks? Albo czy pisarz, poeta, może tak wstrząsnąć jakimś reżimem jak Wiktor Hugo wstrząsnął Drugim Cesarstwem czy Emil Zola swoim "Oskarżam"...

K.K. - A czy ja wism? Jeśli w ogóle czytatem coś o filozofii to jako o elemencie spajającym nauki, przyrodnicze i teologie. Albo sztukę i naukę. A inne zadanie? Może pośredniczenie. Pośrednik, agent, między formą a treścią. Jeśli dobrze kojarzę, to tak właśnie być również w przypadku Kanta, Hegla i Marksa. Idee śpisiro później stały się ideologią. Filozofia jako ideologia przestaje być sobą. Tak sądzę. Więc marksizm nie jest filozofią, lecz ideologią przejęcia i utrzymania władzy. A każdy inny -izm prawdopodobnie też.

Wszystkie dzisiejsze ideologie mają przynajmniej sto lat. Że nie ma nic nowego, to - jak myślę - spowodowane jest właśnie absencją filozofii. Stała się ona "panienką" na emeryturze. Ostatnim, który na to wskazał, był Heidegger. Ale wiem o tym zbyt mało; chyba jeszcze mniej niż o poszji. I tak jak filozofia nie może niczego zmienić w świecie ideologii, tak i poezja nie może. Fakt, że jeszcze w ogóle do tej pory istnieje jest zapewne dziełem przypadku. Zapomniano najwyraźniej, że to, co niepotrzebne należy spalić albo zagazować.

O ile wiem poezja była to kiedyś wypowiedź w mowie wiązanej. Kiedy wprowadzono biały wiersz, poezja straciła sens. W ten sposób mówią pcwieściopisarze, prozaicy. Dziś każdy pacykarz może być malarzem, podobnie jak rozhisteryzowany szczeniak - poetą. To ja już wolę szewców, kelnerów czy rzeźników. Jeśli tylko znają swój fach. Mój profesor od ceramiki ze szkoły rzemiosł artystycznych mawiał: najpierw musisz się nauczyć myśleć, potem poznać materiał i nauczyć się rzemiosła, a następnie robić to tak dobrze i tak długo, aż umrzesz. A wtedy, po latach, ludzie powiedzą - o tak, ten to był artystą!

K.H. - Co cię skłania do koncentracji i do pracy skoro, jak mi się zdaje, w twoich odpowiedziach czuję jakąś daremność, beznaściejność?

K.K. - Co mnie skłania do pracy? Na przekór beznadziejności? Gdyby nasza prapraprababka miała się pytać, po co jej dzieci, skoro wyrzynają je Awarowie, Tatarowie, Hotentoci czy Buszmeni, to nie byłoby trzeba odpowiadać dziś na twoje pytania. Formułowanie tego, co ma być wypowiedziane /możliwie jak najładniej/, to właśnie jest to, co chyba potrafię. I nie ważne, czy to jest poezja, czy też nie. Skoro mi tego nikt nie wyda, to wydrukuję sobie sam, dla kilku kolegów i przyjaciół. To jest przecież tylko sprawa wolności wydawniczej i twórczej. Robiłem to już sześciokrotnie, straciłem na tym parę ładnych tysięcy, które pożyczałem, a'e potem je oddawałem, zarabiałem nowe pieniądze i znów wydawałem książkę czy płytę.

Ale ty czekasz na odpowiedź. Jasną i wyraźną, nie? Więc skłania mnie do tego przekora. I wściekłość. I daremność. I takie: a jednak się kręci. Głupie, co?

K.H. - Karelu, bardzo ci dziękuję za rozmowę. Odnoszę jednak wrażenie, jakbyś się jej bał; często uciekasz w dowcipy, bon moty...

K.K. - Rzeczywiście, boję się tej rozmowy. W ogóle boję się wszelkich proklamacji. Zawsze przypominam sobie kryminały Gardnera - wszystko, co pan powie, może zostać wykorzystane przeciw panu. I naprawdę, sporo tego już było wykorzystane. Ale nie uciekam w dowcipy i bon moty. Ja je wymyślam, od czasu, kiedy zacząłem pisać. Często tanie. Na drogie mnie nie stać.

Listopad 1979

Trum.

Beata Rój-Porubska

x/ Mowa o Pavle Kohoucie, który należał do sztandarowych poetów lat 50-tych, a od 1969 roku objęty jest w Czechosłowacji całkowitym zakazem druku.

xx/ Mowa o Ludvíku Vaculíku, pisarzu, eygnatariuszu "Karty 77". W 1977 roku czeski tygodnik "A hoj na sobotu" opublikował spreperowane przez policję zdjęcia nagiego Vaculíka na cmentarzu na grobach.

K A R E L K R Y L

DACHAU BLUES

Gdy cień do cienia lgnie co krok
Kredowe koło kreśli mrok
Gdzieś słychać werbli szelest
Gdy księżyc łomocze do krat
Jak gołąb - posiwiały ptak
Kopciuszka pantofelek

Kiedy na północ bije dzwon
Rozchodzi się wrotyczna woń
Zły sen wrota otwiera
Wciąż szkło rozbite w oknach tkwi
I ciągle świeża strużka krwi
Skapuje na referat

Gdy jak dziewczyna której śmiech
Na chwilę ci zatrzymał dech
Strach się na palcach skrada
Gdy zmarłychwstałych pchnięto w piach
Nad kochankami moją dać
Kraty rusztowań składa.

Kisdy na śłocie płacze śniedź
Powietrzem płynie sady śmieć
Wokół tandety nuda
Znow łęk mozaiką kłamstwa drwi
Nie trzeba nam bez klamek drzwi
Starczy za nie obłuda
Rzygamy przed spaniem
W kalendarzu nic prócz piątków nie bywa
Zdychamy nad ranem
Przeraża sen że trzeba podpisywać
Pod maską odwagi
Kryje się zamęt
I mycie rąk jak Piłat
Gdy stróżem rozwagi
Jest opętanie
Przyszłość już się skończyła

Gdy kłamstwo w imię prawdy łga
Wolność spętane ręce ma
A wokół kwitną krzyże
Gdy dziewczka dalej wiedzie rzecz
Miłość jak Murzyn poszła precz
I rany swoje liże

Gdy bez miłości gniew ma trwać
Będzie z kirkutów marmur rwać
I głosić tolerancję
Intelekt gdy w bezdusznosc wpadł
Śliski i groźny jest jak gad
Czy ślepiec z mieczem w tańcu

Przełożył
B.K.Nyszkin

GRYF

... A gryf
Szponami do czasu
Rwał na wpół zgnitą słomę
Ze stogów
Pięć piw
Jak strzałka kompasu
W kościoty gna wiadome
Bez bogów
Papuzie uniformy mężczyzn
A na ulicach lud
Seryjne twarze
Ten sam jak spod sztenoy chłód
Ten sen
Zamykał w horrorze
Jak na tchórzliwym dworze
Dla kartów
Gdzieś hen
Flag pochód jak morze
I żółtka krepes - może
Pozmarłych
W górę oblatłych z farby schodów
A zamiast nieba - stryk
Ucięte głowy
Zadają w muzeach szyk

Nie walkę byków mamy tu
A szlachtowanie wołów
Robota pikadorów stu
Matadorów - do dołu
Gdy dama ciśnie bukiet róż
W locie we śnie się zmienia
I żadnych żagli w czerni mórż
I tylko wilków pienia
Do czterech księżyców

Wśród gniazd
Zawoje pajęczyn
Bo potonęły ptaki
Po rzekach
Do gwiazd
Gdy batóg zajęczy
Lew już na inne znaki
Nie czeka
Ma w złotej klatce rajski ogród
W potokach rtęci szmer
Żelazne ryby
Sparszywiate mkną na' zer
Z bram trzech
Skorupy i drzazgi
Któż się tam gdzie ich zręby
Dokopie
Gdy w mech
Już dzwonów wsiąkł jazgot
Tylko gipsu otręby
Jak popiół
Sejm kruków nad wieżami zamku
Podgrodzem rządzi zbir
I Mane Tekel
Łuny i ciemności kir

Ten kraj widziany w twoim śnie
Podobny był do getta
To pokumany z diabłem lek
Harcuje na roletach
Śniesz niemy krzyk że ohyba dość
Zera do zer dodawać
I żebyś bracie wiedział choć
Że to nie sen a jawa

Przełożył
B.K.Myszkin

LATAJĄCY HOLENDER

W bramie gdzie witają
Triumfatorów przegranych
Nie ma gronośtajów
I bicia w tarabany
Żółtodzioby chweckie
Jak w książkach niepokorni
Sieroty - po matce
Po ojcu - bezprizorni
Rżniemy w karcięta

Pośrodku goryli
Chłopiec jak malowany
Rzucił banderillę
I szablę z porcelany
Mrok zajął pół nieba
A świat kichnął się boi
Paszporty jak trzeba
Whisky też obok stoi
I lód - rzecz święta

Teraz gra w modzie
Przewóz czy wóz
Więc się wyginamy
W esy i floresy
Końce już w wodzie
Z tą drogą szlus
A Swobodę? Mamy...
O swe interesy
Czas dbać

Wyprostujesz kęci -
Już słońce mówi bywaj
Szukamy pewności
Na której nam nie zbywa
Ślad został na gardle
Służalczego kantara
Idziemy niewprawnie
Jak otów ciężka wiara
Wgniata do piachu

Bankrutuje pamięć
I w domu się przyczaja
Honor się nie łamie
Po ulicach się szlaja
Miłość twardogłowa
W koszach na śmieci grzebie
A prawda? Bez słowa
Zwycięży mnie i siebie
Ubrana w łachy

Rdzawy poranek
I jak miód mgła
A tak dziwnie słodko
Jak w czasie krwotoku
Masz napisane
Od zet do a
Już nie krzyżozaz matko
Taka cisza wokół
- I w płacz.

Przełożył

B.K. Mazkin

LITVINOV^x

Co wy moi ludzie, co żeście zrobili,
 że was tu w tak wielkim więzieniu zamknęli?
 Czyście ubogiego kogoś oszukali,
 że was do tych strasznych bunkrów powadzili?
 Nikomu na głowie włosyśmy nie tknęli.
 Ky ludzie poczciwi, ach, gdzieżbyśmy śmieli.
 Ky tutaj dla pracy, spokojnie żyć chcemy
 Za dach, odzież, strawę tutaj pracujemy.
 A czemu w tak szpetnych domostwach mieszkacie?
 Powietrzem zatrutym czemu' oddychacie?
 A co wieczorami, co razem robicie,
 Gdy już słońce zajdzie, dokąd to odchdzicie?
 Dokąd mamy chodzić? Po domach siedzimy,
 mamy telewizję, więc na nią patrzymy.
 Jak program się skończy wnet się spać kładziemy.
 Za dach, odzież, strawę tutaj pracujemy.
 Sądziłem, że drogi swoje pomyliłem -
 Do więzienia zamiast do miasta trafiłem,
 Obozu, gdzie cierpią kary długie lata
 Zbójce, co skrzywdzili człowieka - swego brata.
 A skąd on przyjechał, że tak głupio pyta,
 Jak się nie podoba, niech z powrotem zmyka!
 My całkiem to swoje miasteczko lubimy.
 Za dach, odzież, strawę tutaj pracujemy.
 Chcę tylko zapytać, proszę zszekajcie,
 Czy śni wam się miłość skoro tu mieszkacie?
 Czy o pięknie, bólu nachodzą was myśli,
 O szczęściu i o tym co będzie po śmierci?
 Wyrośliśmy z tego, po co wzniośle śmutki,
 Lepiej takie myśli zapić tykiem wódki.
 Niechże koł się trapi, my tam nic nie wiemy.
 Za dach, odzież, strawę tutaj pracujemy.
 Trudno mi was ludzie zrozumieć doprawdy,
 Kyślałem, że dusza jest skarbem nad skarby.
 Umieć znaleźć radość, znać święta urodę,
 Patrzeć na obłoki, kochać las i wodę.
 Dziwnie coś rozprawiasz, młody oratorze,
 Lecz kiedyś zmądrzejeśz, poznasz błąd swój może.
 Od nas starych uos się, my to lepiej wiemy,
 Za dach, odzież, strawę tutaj pracujemy.
 Smętnie się przechadzam jak po spacerniku,
 Niebo błękitnieje, już słyszę głos ptaków.
 W tej cichej godzinie choć spocząć człowieka,
 Śpi ich tu tysiące, na mnie nikt nie czeka.
 Dziwne nasze czasy, ludzi nie rozumiem,
 Jakoś strasznie smutno w mieście Litvinovie.
 Ludzie moi, bracia, za chwilę wstaniecie...

Tłum. Julitta Rój-Porubska

^x LITVINOV - miasteczko w pn. Czechach, ok. 30 tys. mieszkańców, ośrodek przemysłu chemicznego i górnictwa węgla brunatnego.

HAVLIČEK¹, HAVLU²

Trzymają cię w klatce, już nie masz odwrotu,
Anictowie z Briken/3/, oi wyznawcy gwałtu,
Teatr kukielkowy, bajeczka dla dzieci,

Ciągną za sznureczki wciąż w cieniu ukryci

A według litery - paragraf szabla,

Mysł teraz o prawie Havliozku, Havlu.

Oj, zbiteś ich z tropu kierując się prawem,
Które rządzi ludźmi, ale też i panem.

Co mi tam za prawa! - pan z urazą rzecze -

Kto ma być posłuszny już ja wiem najlepiej.

A według litery...

Co cię podkusiło by im w kaszę dmuchać,

Nieruchowcom ci była męzna pchta - nie rumak,

A pan Bach/4/ poetów otacza czcią wielką,

W państwowych komórkach przyjmis ich z ochotą.

A według litery...

Przecież to głupota prowokować władzę,

Z twoim wszak talentem dostałbyś posadę.

Żyć mogłeś jak hrabia, na wszystko jest rada,

Gdybys trochę myślał, to byłbyś w układach.

A według litery...

Przyszli w odwiedzin dyskrstnie, z oglądą.

Nie mogłeś odmówić tak uprzejmym panom.

Gościnnie pokoje, mistrzu, już czekają,

Nie bierz garnituru, ładniejsze tam dają.

A według litery...

Szepożą o Havliczku na rynku dziewczyny -

Pięknie umiał mówić, tak jak żaden inny,

Ludzie o tych sprawach ledwie myśleć śmieli,

Światnym był facetem, za to go zamknęli.

A według litery...

Trum. Julitta Rój-Porubská

1 Karel Havliček-Borovský /1821-56/ - czeski pisarz i działacz polityczny, wielokrotnie więziony przez władze austriackie za swoją działalność.

2 Václav Havel /ur. 1936/ - czeski dramaturg, poeta i działacz społeczny; jeden z pierwszych rzeczników Karty 77, więziony za swe przekonania. Autor m.in. wydanych u nas "Spiskowców i innych utworów dramatycznych" oraz "Esejów politycznych".

3 Brixen - więzienie /głównie dla politycznych/ z czasów monarchii austro-węgierskiej.

4 Alexander von Bach /1813-93/ - polityk austriacki, w latach 1852-59 - premier; rzecznik "twardego kursu": germanizacji i centralizacji.

NA PRASKIM ZAMKU

Znów na praskim zamku, panowie się kłóca
jak te tych kartystów/1/, jak te ich ukróca,
Żeby im co przedzej kota pogonili
Czestnika na radę sobie zaprosili.

A czetnik był stary, więc na rzeczy znał się,
Umiął jedną śpiewkę do rżnięcia na basie.
Tę zagrał, zaśpiewał, wszyscy się ocknęli,
Tominová/2/ zbili, a resztę zamknęli.

Siedzą we więzieniu Dienstbier/3/ i Sabata,
Lederer i Havel, Bednařova Ota,
Petr Uhl - ten inżynier i państwo Němcovic,
Bělikova, Malý, Benda i ... licho wie,

Znów na praskim zamku kłócą się panowie,
Czy zrobili dobrze, czy mylą się może.
Najwyższy wstał z miejsca, ramiona przeciągnął -
Też byłem zamknięty, a co żem osiągnął./4/
Właśnie, o to chodzi! - wpada mu ktoś w słowo -
Siedziates, a dzisiaj jesteś państwa głową.
Zważcie, czy przypadkiem z tego nie wynika,
Że to ryzykowne kiedy się zamyka.

Siedzą we więzieniu...
Znów na praskim zamku kłócą się panowie,
Trzymać tych kartystów czy puścić swobodnie,
Czy lepiej im kupić bilet do Mongolii,
Śpiwory, pierzyny i woreczki z folii.
I tak na tym zamku bez przerwy się droczą,
Leją rum do gardeł aż się nogi płaczą,
Každy słońcem wschodu, zachodu strwożony,
Jakież to kartyści przyniosą im plony.
Siedzą we więzieniu...

Tłum. Julitta Rójt-Porubska

- 1 Kartyści - ochodzi o sygnatariuszy Karty 77.
- 2 Zdena Tominová - działaczka Karty 77, organizatorka /wraz z mężem/ niezależnych seminariów filozoficznych, za co została pobita przez agentów tajnej policji.
- 3 Dienstbier... i dalej - nazwiska więzionych działaczy Karty 77, w większości członków Komitetu Obrony Więzionych na Przekonania.
- 4 Aluzja do Gustava Husaka, obecnego prezydenta i I sekretarza KC KPCz, w latach 50-tych więzionego za tzw. "odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne".

VLASTIVIL TRĚŠŇAK.

MISTRZ KONIASZ^x

Jestem czeladnikiem mistrza Koniasza
potrafię ogień rozpalać
potrafię światło gasić
w znaczkach na klapie mam olej skalny i płomień
- oba na czarnym polu
gdy będzie trzeba, zawołaj
przyjdziemy - mistrz i ja,
obaj z białymi łaskami
suchy chrust i krzesiwo
obaj na wpół ślepi ustalamy granice
wstrzymajcie oddech i obserwujcie mistrza
zbliżyć się do ogniska, jakby się bał

ukłaki, ukłaki na suchym wchu,
wtem wleciata iskra
a ogień zapłonął
panika na widowni, cicho!
nie ruszać się z miejsc
ogień każdego zmrozi, jeśli się tylko ruszy
a ogień coraz wyżej
i mistrz Koniasz w chmurach czarnej sadzy
spśród wielu wybrał mnie
wybrał mnie?
wybrał mnie!
zaczynaj, zaczynaj, żywo
ruszasz się jak mucha w smołę
rozsypanki, roztop czcionki
odlej z nich naboje
biegnij, aresztuj Gutenberga,
zbudź go ze snu
wyciągnij go z łóżka
zniszcz maszyny do pisania
rwij i pal, stronę po stronie
wszystko na jedną masę
niech będzie gładka i gładka
na kolana
na kolana i do boju w imię ciemności!
z niczym się nie liczę,
czcionki do pieca
odlej z nich naboje
cel... pal!
zdus płacz,
usiądź nad czystym papierem i pisz
już nie jesteś czeladnikiem,
jesteś mistrzem Koniaszem
nie jesteś czeladnikiem
- jesteś Mistrzem!

Tłum. Beata Rój-Forubska

X. Mistrz Koniasz - czeski jezuita, działający w okrasie Kontrreformacji. Wstawił się tym, że polecił spalić wszystkie czeskie książki "heretyckie".

BLANICKI RYCERZ^X

Jest ze mną tak, jak z wieżą w Pizie,
jest ze mną gorzej niż z pustą flaszką
na dnie dziurawy jak szpunt i samctny
pójdę zastukać do drzwi lombardu
pójdę zastukać do bram bazaru
bierzcie, jestem stary łachman
stary szmelt - podobno cenny
nie wystawiajcie mnie nawet w witrynie
starczy rzucić obok posortowanych gratów,
gdzieś w kącie magazynu
jeszcze raz spróbuję wygrać w mariasza
pogadam sobie i trochę zapomnę
że piję dla kurażu
że piję na zdrowie
a potem,
a potem zdmuchnę pianę

kiedy poczuję, że wszystko co robię jest daremne
że przywykłem do krat w tutejszym zaduchu
pójdę i zaczekam, jak bagaż, w przechowalni
a później cicho, by nie zbudzić Blanickich Rycerzy,
usnę
odwrócę się plecami
i będę spał jak tamci w grotach Blanika
obok mosiężnego lichtarza
jeszcze chwilę pobędę
a potem zdmuchnę świecę,
ja, jeden z oskarżycieli
czy może jeden z oskarżonych - sędzcie sami
usnę i już mnie nie będzie, i was nie będzie
a wy nie budźcie, nie budźcie...

Tłum. Beata Rój-Porubska

^x Legenda o Blanickich Rycerzach - czeski odpowiednik naszej
legendy o "Śpiących Rycerzach".

TRÓJKĄT BERMUDZKI

I

Rok za rokiem
jak partacz
wbijać w podeszwę fleki?
wsłaną i wyjdę
z tego zakłętego kręgu
czarny, nie chcę nawet fleka.
"To idź, ale zaraz wracaj!"
a ja obiecuję, pół nagi
tylko tak, w płaszczu
na dziobie okrętu, bez swetra
jak kto zasieje
takie zbierze plony
wyptywam
głową prosto w mur
wyptywam
leję prosto pod wiatr
czarna opaska na oku
wełniany sweter na szyi
wywieszę jak flagę na rufie
Będziecie na molo
trzymać wartę honorową
pomacham do was
przyjaciele
niewypełnioną ankietą personalną
odptywam
przemierzać wzdłuż i wszerz
Trójkąt Bermudzki...

II

... a może kiedyś
będę miał dosyć tułaczki
i stracę odwagę
zarzucę kotwicę
przy kopycie u szewca
sweter u szyi
zciągnę z masztu
położę pod głowę
przykryje się płaszczem
a po godzinie snu
podzeliuje buty
które noszę od lat
i sprzedam na bazarze...

III

... już was słyszę
"Pc co ten wariat się tam pchał?!"
skoro tak, to proszę
nadstawcie uszu
czy nie usłyszycie przypadkiem
mojego S.O.S.
czy nie potrzeba mi bardziej
podzeliwać duszy
niż czego innego
Z góry dziękuję
każdy ma pod oczami swoje
Bermudzkie kręgi
i trójkąty.

Źródło: Beata Rójs-Perubska,

SPOTKANIE

W przelotowym deszczu
na palcach
stawił się na miejsce spotkania,
tylko daty pomylił
o dobre czterdzieści lat.
Ostrożnie, lekko
jakby mu zależało na gałęziach i butach
ostrożnie, lekko
zatrzymał się i milczał on,
i milczał świat.

Ostrożnie, cicho,
że zauważyło to tylko drzewo
stawiła się na miejsce spotkania,
tylko daty pomyliła
jak wielokrotnie wcześniej.
Ostrożnie, cicho,
ukryła się w jego cieniu,
na dowód, że nikogo nie obarcza winą,
wskazała na deszcz.

milcząc pogłaskała go ręką zakończoną pętlą,
i tylko drzewo usłyszało
że zaszeptał jeszcze, jeszcze...
Milcząc głaskała go,
on próbował sobie przypomnieć
skąd zna to uczucie.

Ostrożnie, cicho
wstał z jej cienia
i z góry patrzył w jej oczy.
Rozłożył ręce na dowód,
że nikogo nie obarcza winą
świadom możliwości wyboru
zdecydował, że skoozy.

Nie ufał książkom, ale wierzył w drzewo,
odrobiną deszczu zmoczył policzki,
aby drzewo nie mogło powiedzieć,
że w ostatniej chwili nie płakał,
odrobiną deszczu zmoczył policzki,
aby drzewo na chwilę oderwało wzrok
od otarza,
odrobiną deszczu zmoczył policzki
i skoczył.
Ból i olśnienie.

Tłum. Beata Rój-Porubska

ŚWIT

Muszę iść
pada
chyba zmoknę

Powiedziałem:
Nie odchodź
Ona odparła:
Muszę

Więc idź
a gdybyś mi zmokła
znów mi wyschnij
Proszę.

Tłum. Beata Rój-Porubska

Rosja - Polska

Uwagi o Rożanowie.

Kiedy się mówi o stosunkach polsko-rosyjskich ostatnich dwóch stuleci, z reguły ogląda się je z polskiej perspektywy. Taka optyka jest oczywiście usprawiedliwiona, ale dla pełni obrazu warto czasami spojrzeć z drugiej, tamtej strony. Sprawa Polski dla Rosji w całym dziewiętnastym wieku, a ściślej od rozbiorów po rok 1918, była zagadnieniem nader istotnym, często podejmowanym przez historyków, publicystów, pisarzy. Bardzo często stosunek wobec "sprawy polskiej" /polskiego woprosa" - jak się to określało w Rosji/ dzielił opinię publiczną na dwa przeciwstawne obozy. Tak było zwłaszcza w okresie powstań 1830 i 1863 roku. Większość Rosjan, znaczących cokolwiek w życiu publicznym, musiała zająć jakąś postawę wobec tego problemu. Weźmy choćby kwestię rozbiorów Polski i jak ona była przedstawiana w dziewiętnastowiecznej Rosji. Wielu historyków i publicystów, zwłaszcza stojących blisko ośrodka władzy, usiłowało znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla tej zbrodni politycznej, wyszukać dla niej jakieś historiozoficzne alibi. Ofiojalni ideologowie o nastawieniu szowinistycznym traktowali je jako niemal naturalny epizod w procesie dziejowym, którego finałem miałyby być - jak to ujmował Puszkina - "zlanie się wszystkich strumyków słowiańskich w rosyjskim morzu". Dla innych, na pewno mniej licznych Rosjan, wyderzenia te stanowiły źródło poważnych rozterek moralnych.

Warto zatem poznać opinie Rosjan na temat Polski, zarówno tych, którzy pragnęli całkowitego unicestwienia polskości jak i tych, którzy współczuli Polakom i poczuli się wobec nich do winy. Wiedza o tym, jak ten "polskiej wopros" Rosjanie rozwiązywali, jak widzieli polską odrębność i polskie zrywy niepodległościowe, wskazanie źródeł resentymentów /po obu stronach/ pomoże w ich przewyżczeniu. Wychodząc z tego założenia, "Podpunkt" zamierza publikować w niniejszym dziale głosy Rosjan na temat Polski i Polaków. Mają one przedstawić możliwie szeroki wachlarz poglądów - od skrajnie nacjonalistycznych po liberalne, czy wręcz sympatyzujące z dążeniami Polaków.

Zaczynamy od Wasilija Rożanowa /1856 - 1919/, filozofa religijnego, pisarza, krytyka literackiego i publicysty. Postać to niezmiernie kontrowersyjna, pełna wewnętrznych sprzeczności. Jako krytyk literacki swoim studium "Legenda o wielkim inkwizytorze Fiodora Dostojewskiego" /1891/ zapoczątkował rozpatrywanie Dostojewskiego jako myśliczela religijnego. Był ciekawym pisarzem. Jego prozatorskie dzieło "Opadłe liście" /2 tomy 1913 - 1915/ w oczach wielu krytyków stanowi jedno z najważniejszych wydarzeń w historii dwudziestowiecznej powieści. W poglądach politycznych - konserwatysta, nie bez szowinistycznych akcentów. Sympatyzował z późnymi słowianofilami i teorią "gleby" Dostojewskiego. Był pesymistą pod względem historiozoficznym i katastrofistą. Drukowane fragmenty pochodzą z tomu "Litieraturnyje oczerki. Sb.statiej", Petersburg 1899.

Wasilij Rozanow.

Uwagi o Polsce

1. O historycznym wychowaniu Polski

Wsiągę Adam Czartoryski w swoich pamiętnikach wydanych w Paryżu /najpierw w 1865, a potem z uzupełnieniami w 1887 roku/ poświęć wielu znakomitych charakterystyk pozostawił i tę, dotyczącą hrabiego Branickiego, organizatora konfederacji Targowickiej:

"Bolewać należy, iż ten człowiek utracił wszelki poważanie, przykładając rękę do upadku swojej ojczyzny. Stał się dworakiem w złem pograżonym, ambitnym bez zasad, chciwym bogactw, a jednak czuł się Polakiem, pomimo spokrewnienia się z Rosyanami i byłby wolał zadawać sobie ambitne swe widoki w tej Polsce, którą zgubił; zatawał jej i cierpiął nad jej poniżeniem. Poznał Rosyan, więc ich znienawidził i mścił się za ich przewagę oichą pogardą i wyśmiewaniem błędów. Z drugiej strony zachował otwarte serce dla dawnych znajomych i chętnie się przed nimi wynętrzniał. Żywy umysł pełen dowcipu, czynił rozmowę z nim ciekawą i wesołą, bo przeplatają anegdotami i żartami narodowymi, przy których zrećźnie unikał zbliżania się do wspomnień o Targowicy. W małym kółku znanych był wielkim panem, a tracił tę cechę jako dworak, czujący swoją nicość w obecności Katarzyny /.../ niem jednak nie mógł być inaczej pomocnym jak radą, ograniczającą się na słowach: «Cierpliwości i powolności». /Czartoryski jeszcze młodzieńcem przyjechał z bratem do Petersburga prosić Carycę o zwrot skonfiskowanych rodowych majątków ojca - W.R./ Objaśniał nas co do wydarzeń dworskich i zapraszał do siebie w dniu rezydencji, na długie nieraz godziny oczekiwania. U niego więc także przebywaliśmy w Carskim Siole w dniu przedstawienia, pilnie słuchając wskazówek o etykiecie, przyklekaniu itd. Na zapytanie moje o to ucałowania ręki odrzekł: «Czujcie gdzie tylko zechce, byle wam skonfiskowany majątek oddała»."

W tej subtelnej i złożonej charakterystyce, choć odnosi się ona do pojedynczej osoby, w zadziwiający sposób połączone są również wszystkie zbiorowe, typowe cechy społeczeństwa polskiego z okresu upadku politycznego. We krwi tego społeczeństwa, "staro-szlacheckiej krwi", znikły wszystkie elementy twardości: jest złoto, wiele srebra, w ogóle szlachetnych części, ale zupełnie wyczerpało się życiotwórcze i wzmacniające żelazo. Dlatego można bez przesady powiedzieć, że gdyby Polska, chyląca się ku upadkowi, była pozostawiona samej sobie, swemu dalszemu wewnętrznemu, duchowemu i społecznemu rozkładowi - to znikłaby ona z powierzchni świata Bożego znacznie głębiej i straszniej, niż obserwujemy to teraz.

Wyobrażenie, że trzy sąsiednie mocarstwa "podzieliły" Polskę, że poćwiartowały żywy organizm i połączyły jego części, jest całkowicie nieistotne. To wyobrażenie jest wyobrażeniem naszego czasu, kiedy widzimy Polskę z jej kwitającymi miastami, ze wspaniałą literaturą, ze zdrową pracowitą ludnością, po stu latach odrodzeńczych wysiłków Rosji, jej wzmacniającej dyscypliny, jej porządku, obywatelskości. Przed końcem XVIII wieku, jeszcze przed rozbiarami Polska przestała istnieć moralnie, chociaż nadal istniała politycznie. Zatraciła ona wewnętrznie nie jakieś, ale wszelkie prawo życia: król nie znaczył w niej więcej niż ostatni szlachcic; nie mogli nic zrobić senat i sejm. "Macie szable - broncie się sami"

- na 100 lat przed rozbiorem odpowiedział król Władysław IV po-
stom kłosać, szukającym w Warszawie prawa i sprawiedliwości.

Dwie praktyczne umiejętności - s ł u c h a ć i r o z -
k a z y w a ć - były całkowicie zatracone przez Polaków tamtych
czasów; dwie zdolności psychiczne - t r o s z c z y ć s i ę
o kogokolwiek i b a ć s i ę kogokolwiek - były przez nich
całkowicie zagubione. Absolutnie nikt niczego nie mógł zrobić
w Polsce ówczesnej zgodnie z p r a w e m, dlatego że każdy mógł
wszystko zrobić w niej, mając s i ł ę. Stała się ona dzikim, za-
puszczonym lasem, jednocześnie chępiąc się i mając podstawy do
chępcenia się wszystkimi świecidełkami kultury. Była ona wykształ-
cona, wyrafinowana. Była ona egoistyczna w tym strasznym wewnętr-
znym sensie, że ponad j a każdego człowieka i każdej grupy lu-
dzi nie było absolutnie żadnej hamującej normy; to j a wyraźnie
nie miało żadnego moralnego ciężaru ku innym j a. W kraju po-
wstały miriady odśrodkowych sił; każde ja, każda rodzina, wieś,
miasto było taką siłą. I wcale nie było sił dośrodkowych.

Trzeba czytać w tych samych wspomnieniach Czartoryskiego o
tym, z jakim smutkiem i strachem po przybyciu do Petersburga prze-
jeżdżał on przez ulicę Litwieńską, gdzie w jednym z domów trzymano
oddzielnie pod kluczem Potockiego, Zakrzewskiego, Mostowskiego,
Sokolnickiego: "nasze serca /jechał on z bratem - W.R./ były moc-
no, kiedyśmy patrzyli w okna w nadziei zobaczenia choćby przez
ohwilę ludzi, cierpiących w okrutnym i nieprawdliwym zamknięciu"
- pisze on i dodaje: "było rzeczą niebezpieczną i trudną pytać o
ich położenie".

Są to zupełnie nowe uczucia: ks. Adam Czartoryski, sam nie
zauważając tego, staje się całkowicie nowym człowiekiem w swej hi-
storii; i wszystko to nowe, co znajdujemy w nim - ta t r w a -
ł o ś ć uczuć, n i e z ł o m n o ś ć w swoich zasadach, ten
ogrom wewnętrznej hamującej d y s c y p l i n y - są to produkty
nowej sytuacji, w jakiej się znajduje. Stale się on boi, umie
już r o z k a z y w a ć; jest u p o k o r z o n y - i już nau-
czył się w s p ó ł c z u ć. Jest już w nim masa sił dośrodkowych.

Dla Polski naetąpiła epoka reedukacji, trwająca oto już stułe-
cie. Wszyscy mówią i mówią ożesto o przemysłowym i handlowym roz-
kwicie Przywiślańskich guberni w XIX wieku; nikt nie chce zauważyć,
że sam Polak stał się lepszy, że wyprostował się jego duch, okrę-
pka krew i obudziły się w nim uczucia, których dawno już nie znał.
Trzeba czytać historię lokalnych polskich sejmików końca XVIII wie-
ku, żeby przerazić się na widok ruiny moralnej, jaką przedawiał
sobą Polak tamtych czasów: żadnych integrujących, jednoczących
uczuć; nie ma ogólnej idei ojczyzny, nie ma idei swej historii;
niczego on nie rozumie, oprócz dzisiejszego dnia; nikogo, prócz
siebie nie kocha; nikogo się nie boi, oprócz silniejszego sąsiada,
który może go jutro zniszczyć, zhańbić i nawet, przy okazji, zabić.
Polepszenie się stanu zdrowia rasy po upadku politycznym od razu
odbiło się w literaturze: wielki geniusz polski, Mickiewicz, to ge-
niusz nie wolnej Rzeczypospolitej, ale dobrze zarządzonych północno-
zachodnich guberni Rosji. Wspomnijmy również i Lslewela. Na wszyst-
kich drogach życia, we wszystkich dziedzinach twórczości rasa pol-
ska wypuściła świeże, sozyste, nieoczekiwane kietki. Jest to zu-
pełnie nowy naród: nic podobnego nie potrafiło się rodzić na brze-
gach Wisły, w lasach Litwy, stepach Ukrainy już w ciągu 3 - 4 wie-
ków przed "rozbiorem".

Ludzi wychowuje, kształtuje nie tylko jedna szkoła: najlepszą
szkołą zawsze pozostanie życie, najlepszym systemem wychowawczym
- konieczność p r a c y, w a l k i z nieszczęciami, z n o -
s z e n i a cierpienia, kiedy jest ono nieuchronne. T e j szko-
ły nie można było uzyskać w wewnętrznych warunkach polskiego bytu:

mogła ona stanąć jedynie na zewnątrz, obok ginącej nacji - jak groźba, która się spełnia, jak siła, która potrafi zmusić, jak kara, której się nie uniknie.

Widzieliśmy w osobie hrabiego Branickiego pierwszego ucznia tej nowej szkoły w momencie, gdy przekraczał jej prógi; spojrzemy i na pierwszego nauczyciela według tych samych wspomnień Czartoryskiego. Pozostawił on portret Katarzyny II w chwili, gdy przyklękawszy, całował jej rękę; patrzył na nią ze śmiertelną nienawiścią, jak na moderczynię swej ojczyzny; nie rozumiał, że przed nim stoi jego nauczycielka. Ale spojrzawszy na jego postać, przepełnioną lękiem i zarazem gotową do współczucia, spojrzawsze na jego postać, trwającą potem w jednej myśli w przeciagu pięćdziesięciu lat, domyślały się prawdy, mimo woli wołały: "Polaocy, czy poznajecie wy siebie i kto was takimi uczynił?"

"Cesarzowa była jeszcze w kaplicy, gdyśmy się zebraли wazycy w sąsiednim salonie. Waprzód przedstawiono nas hrabiemu Szwałowowi, wielkiemu szambelanowi, dawnemu faworytowi Elżbiety, wszechmocnemu za jej rządów i wstawionemu korespondencją z d'Alembertem, Diderotem i Wolterem /.../ Ustawil nas rzędem przy drzwiach, któremi wejść miała cesarzowa. Po skończonych modłach, wyruszył orszak parami; podkomorzowie, szambelani i więksi dygnitarze, a za nim Katarzyna w otoczeniu księżąt, księżniczek i dam dworu. Nie mieliśmy czasu spojrzeć na nią, bo trzeba było przyklęknąć do ucałowania ręki podczas gdy wymieniano nasze nazwiska, poczem stanęliśmy w koło i cesarzowa przybliżała się do każdego, przemawiając krócej lub dłużej. /.../ wszystko w niej było poważne i szlachetne, a jednak popedy jej zrywały wszystko. Twarz już pomarszczona, była wyrazistą i świadczyła o jej wyższości i uczuciu władzy. Na ustach spoczywał ciągły uśmiech, lecz uprzytamniał każdemu znającemu jej czyny, jak pozorny spokój ukrywał gwałtowne namiętności i nieprzebitą wolę".

Oto jakie elementy muszą tkwić w wychowującoy dla zadań tego wychowania.

2. O polskim katolicyzmie

Króld polski został znarkotyzowany katolicyzmem - oto jego największe nieszczęście i zarazem niebezpieczeństwo, wyobcowujące go z południowego i wschodniego świata słowiańskiego. Wspomniatem już o jego zewnętrznyu wychowsniu, które rozpoczęło się od upadku: o wypracowywaniu charakteru, pracowitości, współczucia, umiejętności podporządkowywania się i w związku z tym - rozkazywania.

Ala sa to jakości życiowe i polityczne, a tymczasem Polska potrzebuje jeszcze moralnego wyzdrowienia. Wszystko to, co mogłoby przywrócić jej spokój, ukojenie, jasną wesołość serca, twardość i jasność myślenia - cechy charakterystyczne dla świata słowiańskiego - wszystko to uratowałoby ją dla siebie samej i zarazem uratowałoby dla świata słowiańskiego. Wszystko, co ostabiłoby w niej katolicyzm - uzdrawiałoby ją i chroniło jako nację, język, duch, geniusz.

Przywiązanie do katolicyzmu nis jest wcale takie głębokie i namiętne u Polaków, jak to się przyjęło sądzić; przywiązanie to zostało im nieco narzucone, sztucznie zaszczeplone w historii. Ruch w stronę reformacji był w Polsce bardzo silny pr z e d u p a d k i e m, ale p o u p a d k u Polacy zaczynają wykazywać jakiś chorobliwy pociąg ku katolicyzmowi, nienormalną do niego l e p k o ś ć, u p a j a n i s s i e specyficznie katolickim światem idei i uczuć. Polska lgnie do tego, co przyniosło jej zgubę; kurczowo, w jakiejś konwulsji zacisnęła ona w ręce /i nie może jej się pozbyć/ czarę, z której do dna wypłynął trujący napój i zginęła.

Katolicyzm, który się rozwinął na gruncie walki - z upadającym Rzymem, nowymi barbarzyńskimi plemionami, władzą cesarską - zależnością narodów, reformacją, oświeceniem - zawiera w sobie masę żywotnych, podtrzymujących, pobudzających do walki emocji. Jest to prawdziwa narcoza cierpienia z jednej strony, z drugiej zaś - gniewu i przemocy. Wszyscy - i oi, co upadli i ci, co dopiero zwyciężyli - z tego powodu chciwie poohłaniają go, jednocząc się z nim głównym nerwem swojego bytu, albo się nim pocieszając, albo pobudzając się nim do Mściwych prześladowań. I odwrotnie, dla wszystkiego, co jest zrównoważone, spokojne na ład epicki - katolicyzm jest obcy i nawet jakoś ~~bez~~ odpychający.

Ten ogólny związek wiary i historycznej sytuacji w przypadku Polski jest wzmacniany jeszcze przez to, że widzi ona w katolicyzmie jedyną pozostającą jej ojczyznę - odłamek historii, którego nie można jej odebrać, właściwość, decydującą o jej indywidualności wśród przewostawnego świata słowiańskiego. Chwyta się ona niego jak najcenniejszej i niezniszczalnej resztki swego rozbitego ja. Nie mówimy już o wspomnieniach, o poezji, boicie, tradycjach rodzinnych, które związane są z kościołem i księdzem, przywiązane do dalekiego i tym bardziej pociągającego, majestatycznego tronu w Rzymie. Jest charakterystyczne zresztą, że dwa ultrakatolickie kraje nie przylegają do Rzymu, ale znajdują się w punktach największego oddalenia: jeat to Hiszpania i Polska. Tutaj, oczywiście, dużą rolę odgrywa wyobraźnia.

Walka z tym światem uczuć, którą musimy stoczyć w historii, oczywiście, nie jest trudna i nie niebezpieczna z uwagi na wielką naszą przewagę; ale będzie bezowocna, nie przyniesie nigdy pełnego zwycięstwa z powodu wiecznego życia i ciągnącego się nadal oporu zwyciężonego.

Cośmy zrobili na tym polu?

Rusyfikujemy ludność przy pomocy "państwowego" języka i szkoły i próbujemy odłączyć Kościół od tej skazanej, ścieranej nacji /język rosyjski w uzupełniającej liturgii/. Nie negujemy, że w ciągu półtora - dwóch wieków ~~bez przerywy, bez z m n i e j s z a n i a n a c i s k u~~ ten środek może złamać upór polskiego ludu. Samnicy byli jeszcze bardziej wrogo nastawieni wobec Rzymu, niż Polska wobec nas, byli bez porównania silniejsi w sensie etnograficznym od Polaków, byli potężnym plemieniem, a jednak, w epoce rzymskiego imperium nie było już żadnego wspomnienia o Samnitach, podobnie jak i o Etruskach. Nawet kamienie obtaczają się pod wpływem padających bez przerwy i w jednym kierunku wody kroplami: i tym bardziej obtaczają się ludzie, w s z y s c y ludzie... Już teraz można, choć i rzadko, spotkać ludzi, których dziadkowie i babki byli Polakami i katolikami, a którzy stali się typowymi Rosjanami, niechętnymi Rosjanami. Trzeba zauważyć, że narodowość rosyjska jest prostsza, prawdziwsza i mocniejsza od polskiej. Żyjąc pośród Rosjan, niedawny Polak, nawet obecny Polak, zaczyna jednak obserwować, cenić, i, wreszcie, milcząco zachwycać się nowymi dla niego cechami. U księcia Adama Czartoryskiego, tego ultra-Polaka /po przyjeździe do Petersburga/ wyrwało się takie wyznanie: "powoli ja i brat przekonaaliśmy się, że ci Rosyanie, których instynktywnie nienawidziliśmy i bez różnicy uważaliśmy za złych i żądnych krwi, od których stroniliśmy i z którymi samo spotkanie wzbudzało obrzydzenie, są takimi samymi ludźmi, jak i my ... i że można czasami żywić do nich przyjaźń i wdzięczność". Rozjątrzony wygnaniec Lelewel, gdy go w Brukseli odwiedził Pogodin, przedstawiając się jako "profesor Uniwersytetu Moskiewskiego, który miał okazję polemizować z Wami na temat pochodzenia Ruryka", chciał coś zaprzeczyć, ale słowa się urwały i "rzucił się obejmować go"

/Barsukow, "Żizn Pogodina", VII, 52/ - obejmować przybysza z kra-
ju, będącego przyozyną wszystkich jego nieszczęść, osobistych i
narodowych. Miałem sposobność spotkania Polaków, byłych powstań-
ców, a przedtem studentów Uniwersytetu Moskiewskiego, którzy sie-
dzeli w twierdzy. Wspominali oni, zawsze nazywając go po imieniu
i otczestwu, znanego Nachimowa, który był inspektorem studentów
w latach czterdziestych: pokpiwali z jego wyskoków i, widocznie,
jeszcze po 40 latach nadal lubili go.

Morze rosyjskiej dobroduszości, łagodności, cierpliwości za-
lewa, wciąga w siebie wszelki opór. Jak by rosyjskie imię nie było
nienawistne Polakom jako ogólna idea, to jednak wielkoduszność,
dobrotliwość konkretnego Iwana, konkretnego Piotra wreszcie za-
czyna wzruszać, pojawia się cicha sympatia, na zewnątrz skrywana
przed innymi, nawet negowana w sobie. Nie ulega jednak wątpliwo-
ści, że Polak, który dłuższy czas żył wśród Rosjan i który powró-
cił nad Wisłę, jest już nieco wyobcowany z miejscowej, czysto
polskiej ludności. Spotyka już serdecznie mieszkańca Tambowa, któ-
ry trafił tam przypadkiem: najważniejsza więź, więź czysto ludzka
już istnieje.

A jeśli jest tak, jeśli Polak nie jest pozbawiony cech ogólnoludzkich i rozumie piękno duszy rosyjskiej, to trzeba odstąpić
mu źródło tego naszego szczególnego piękna - Prawosławie. Trzeba
kontynuować czyn Cyryla i Metodego. Nam wcale nie jest potrzebny
katolicyzm w języku rosyjskim; nic a nic nie obawiając się go
/jak niektórzy/, nie chcemy rozumieć: co osiągniemy prócz pustej
zewnątrzności - przyswojenia przez Polaków paru nowych słów ze
słownika języka rosyjskiego, przy większym rozdrażnieniu serca?
Ale oto głęboki, ale oto wewnętrzny żywioł integracji: nabożeń-
stwa prawosławne w języku polskim i litewskim dla ludzi zjednoczo-
nych już z nami. Tutaj nie ciemnielibyśmy płemienia, nie przesła-
dowalibyśmy języka, nawet nie nawoływalibyśmy do wiary: po prostu
zapropomowalibyśmy jedynie spojrzeć i w n i k n a ć.
Bynajmniej nie spiritus "gentis polonicae" jest dla nas niebez-
pieczny, wrogi nam; ale spiritus "Ecclesiae Romanae", który został
mu zaszczerpiiony. Temu węzłowi gniewnych, wrogich uożuc powinniśmy
przeciwstawić z wiara i miłością - jako najwyższe ożłowieczeństwo
- pokój i zgodę, radość i ogrom Apostolskiego prawosławia. "Oto
czym zwyciężyliśmy was; oto czym zawsze będziecie zwyciężani; oto
z czym się zjednoczymy nie zginiecie jako plemię, jako język,
jako geniusz, ale podniesiecie się do najwyższych ideałów, napę-
tniwszy się zdrowszymi sckami" - powiedzielibyśmy im, powiedzieliby
im cała nasza historia i, wreszcie, cała otaozająca oczywistość.

Wszyscy zauważyli, zwłaszcza w okresie niedawnego powstania,
że nawet u polskiego duchowieństwa narodowy aspekt sprawy zawsze
przeestaniat rzymsko-kościelny; że nie wahali się oni wykraczać
przeciwko religii, kiedy trzeba było być hohaterami narodu. Kiedy
będzie dla nich jasne, że zachowanie narodowości polskiej nie tyko
jest związane z Rzymem /jak do tej pory/, ale że, wprost prze-
ciwnie, Rzym przeszkadza w zachowaniu tej narodowości - zawahają
się ich serca. Nie można wątpić, sądząc po całej historii, na ozym
zatrzyma się ich wybór. Szkoła, język niech będą rosyjskie wszę-
dzie tam, gdzie istnieje łaciński katolicyzm, ale tam, gdzie się
przyjęto Prawosławie - nie tylko prawosławna liturgia niech bę-
dzie w języku polskim i żmudzki, ale niech te języki pozostaną
w szkole niższej, średniej i nawet wyższej, i wreszcie sąd i ad-
ministracja, z catkowitym jednak wyłączeniem z tych narodowych
dóbr katolików. Żeby nie mówiono o tym c z a s o w o ś c i tych
środków, niech będą one ujęte w uroczystych pisanych aktach;
piech Polska i Litwa w swoich p r a w o ś ł a w n y c h czę-
ściach /na ile będą one kultywować Prawosławie/ otrzymają swoista

n a r o d o w ą konstytucję, gwarancję dla wolności języka, oby-
czaju, szkoły.

Mickiewicz mimo wszystko jest im bliższy niż Innocenty III; "Pan Tadeusz" bardziej swojski niż wszystkie bulle i encykliki, od Grzegorza VII do Leona XIII, które straciły wiele ze swej mocy i na Zachodzie. Powtórzmy, przywiązanie Polaków do katolicyzmu jest przejściową nerwicą, spowodowaną u p a d k i e m n a r o -
d o w o ś c i . Jak tylko zauważą, że tej narodowości nic nie za-
groża, uspokoją się i nie będą tak lgnąć do katolicyzmu. Tym bar-
dziej, że Polacy są rasą głęboko l o k a l n ą . Obce im są uni-
wersalne, s p e c y f i c z n i e rzymskie idee; wykazują do
nich niewielkie zdolności i pociąg. Jest to rasa przede wszystkim
s p o s o b u z y c i a , o b y c z a j u : "dzisiaj tak jak wczoraj -
jutro jak dzisiaj"; rasa, której najbardziej charakterystycz-
nym i najpiękniejszym tworem jest t a n i e c . Jest wysoce praw-
dopodobne, że sam katolicyzm został s z t u c z n i e im za-
szczepiony, że tę krew zmodyfikował zgodnie ze swoją naturą, ale
zmodyfikował niezbyt silnie; jest odwrotnie: tajemny związek tej
krwi właśnie z Prawostawiem.

ttum. A.Cz.

Seria czwarta

Splątania

Stefan Berski

Historie z narodem

1

Naród zapagnął dowiedzieć się, jak wygląda, zobaczyć swoją twarz. To okazało się nie takie proste. Naród, o którym tu mowa, nie należy do najmniejszych, więc w jaki sposób mógłby w jednej chwili ujrzeć swój całościowy obraz? - Lustra o takich rozmiarach nie ma na świecie. Spróbował więc inaczej i postanowił sporządzić swój wizerunek z tysięcy i milionów małych obrazków narodu, których całe sterty walały się po całym świecie. Ale nie był to szczęśliwy pomysł. Obrazkowa układanka nijak nie składała się w jakąkolwiek całość. Nawet nos, nawet ucho narodu nie wytoniło się z tych strzępów. - Jak to może być, zasępił się naród, jestem przecież jeden, a tu tyle sprzecznych obrazków. Stracił więc humor, usiadł smutny i nieszczęśliwy. Bo czy może być szczęśliwy naród, który nie wie, jak wygląda? - Taki naród, gdy już wie, że nie wie, dochodzi do wniosku, że jedynym dla niego zwycięstwem jest wojna.

2

Życie erotyczne narodu jest dużo bardziej skomplikowane, niż na przykład życie erotyczne słonia, bo naród jest jeszcze większy niż stół i w ogóle nie ma co porównywać. Fundamentalną bowiem kwestią dla narodu jest ustalenie jego płci. Jestem kobietą czy mężczyzną? - pyta się często ten lub ów naród, a że najczęściej czeka, aż inne narody udzielą mu odpowiedzi pośredniej gwałtując go lub mu się oddając. Wtedy już wie. Ale nie jest to wiedza absolutna. Z doświadczeń historii wynika wszak, że dziś gwałtując, za dwadzieścia lat jest się gwałconym. Płeć narodu jest więc funkcją jego siły, wojsko i pierwszorzędną, a polityka - drugorzędną cechą płciową, wojna zaś - swoistym rodzajem miłosnego zespolenia. Tak samo rzecz ma się z narodem, którego dotyczy ta historia. Kłół on przegdy miłosnych bez liku, a pewien romans trwa do dziś, przybrawszy formę usankcjonowanej wspólnoty majątkowej konkubinatów. Tyle tylko, że szczególność owego związku polega na ciągłej niejasności w określeniu płci partnerów. Tamten naród jest większy, zaś ma szeroki, także dusze, a jego pierwszorzędną cechą płciową, gdyby ją wznieść, to ho, ho. Coż jednak stąd, skoro tak w nim wszystko pomieszane, że pochwy od miecza nie odróżnisz. To chciałby wszystko, co rusza się, jak sam mówi, "wyjebać", to przebiera się w sukienki, korale na szyi wieszają, upiwszy się, tętno zawodzi, zalotników wabiąc. Bywało, że ten naród mniejszy mężczyzną w takich chwilach sławał się i naturalną rzeczą koleją, wykorzystując labeli otok sienie, zapuszczał się między takiego ułowa zwiedzone. Czy jednak siła pożądania nie była tak wielka, czy niesmiałość zbyt

duża, dość, że zawsze kończyło się to źle: bezperdonowym zaciśnięciem kolan. Wtedy obolały miłośnik wielkim głosem zwracał się do innych narodów, aby dopomogły w kategoriycznym zerwaniu tego związku. Ale tamte narody też nie są pewne swojej pćci, więc nie chcą ryzykować. Tak to już trwa i trwa, a miłość, jak wiadomo, jest wyczerpująca. Budzi się co rano naród z podkrążonymi oczami i usiłuje wypłatać się z tego bezpłodnego uścisku. Trzeba bowiem wiedzieć, że z każdym rokiem narasta tu problem macierzyństwa. Który z narodów ma zająć w ciężę, który którego ma zapłodnić? - Raz ten, raz tamten próbuje, ale efektem są oo nsjwyżej ciałe urojone, ideologiczne a nie faktyczne. Straszny to romans. Naród, o którym jest ta historia, pewnej zimowej nocy, spróbował zgwałcić się sam ze sobą, się zespolic, sam ze sobą powojować. Miało to być dla obserwatorów z zewnątrz świadectwem jego potencji i historycznych sił witalnych. Ale jak to w przyrodzie bywa, choćbyś miał i to, i to, sam sobie jednego w drugie nie włożysz. Obudzili się więc naród po tej nocy jeszcze bardziej nieswoj, rozdwójony głębiej niż przedtem, niezaspokojony i niewyspany. Zabrakło mu wyobraźni, by osiągnąć orgazm, a na dodatek jeszcze poważnym zaburzeniem uległ cały jego cykl owulacyjny. Cóż mógł sobie tamtej nocy wyobrazić? - że samego siebie bierze w posiadanie? - że jest silnym mężczyzną, który daje rozkosz sobie, pięknej kobiecie? Od tamtego czasu rozdwójenia naród zaczął drukować seksualne opowiadanka w gazetach i półpornograficzne kalendarze. Zastanawia się też, czy nie puścić sobie w telewizji pikantnych obozajowo filmów. Chciałby w ten sposób być po prostu konsekwentny. Skoro wstąpił już na drogę samogwałtu, chce aby jego instyunkt seksualny nabrał charakteru zwrotnego i nastąpiły czasy trwałej masturbacji. Liczy przy tym na to, że w chaosie, jaki powstał, w pomieszaniu świadomości gwałtociela i gwałtconsgo, naród nie prędko dojdzie do rozróżnienia swoich męsko- i żeńskooobowych form. Istotnie, rozszedł się naród w różne strony - trochę do wojska, trochę do więzienia, sporo do kościołów, trochę za granicę, trochę do podziemia i oiaęle nie wiedząc: chłopcem, jest, czy babą, toczy ze sobą schizofremiczną walkę pól.

3

Istnienie narodu to rzecz z pogranicza mitów i faktów. Naród to jest 'coś', co jest, a czego nie widać. Takie małżeństwo przeszłości z przyszłością, bez terażniejszości. Bo gdy jest terażniejszość, to nie ma narodu, tylko społeczeństwo.

4

Czy jestem śmiertelny? - zadaje sobie pytanie naród, na który historia urządziła polowanie. Czy mam duszę, czy ma duszę człowiek zbiorowy, którym jestem w sposób nader ato-mistyczny? Waha się. Różni różnie mu o tym powiadają. Tak jak w ogóle różnie się o życiu narodu mówi, a już w szczególności o jego diachronii. Bywa, że naród eksmitowany z mapy świata, chowa się w swoją kulturę, a eksmitowany z kultury, staje się kimś innym. W ogóle naród, aby zachować jaką taką ciągłość własnej tożsamości, musi być tradycjonalistą o skłonnościach konserwatywnych. Dlatego naród jest zawsze starszy od swojego społeczeństwa, ale i młodszys zarazem, bo projektuje siebie daleko w przyszłość, podczas gdy społeczeństwo zmaga się ze swoim dniem bieżącym. Nie ma czegoś takiego, jak naród postępowy, byłby on bowiem procesem nieustannej duchowej transformacji, pogubiłby się w tym i tylko jakaś siła z zewnątrz, mo-

głaby go odnaleźć. Ale wówczas kto wie, jak by ten znaleziony naród nazwano. A imię, jak wiadomo z filozofii, zawiera w sobie idee każdego istnienia.

Ech, nie wszystkie narody mają takie problemy, żyją sobie życiem roślinnym, to korzenie wypuszcza, to liście, to fotosyntezę sobie zafundują, to zjadzą muchę i ani im w głowie rozmyślać o swej śmiertelności.

Naród świadom swojego istnienia i świadom, że dybią nań inne narody, na taki luksus bezmyślności pozwolić sobie nie może. Porcież jednak historia traktuje go jak kurdupła, a on o sobie mniema nie ma daleko bardziej rasowe, popada często w stany urojeń i mistycznych odurzeń. Śni o zmartwychwstaniu, deklaruje, że w zamian za drobne poluzowanie w historii zbawi bezinteresownie cały świat. I jakąś rację w tym jednak ma. Powiada bowiem o narodzie pewien warszawski poeta, że jeśli zdeklarowane fikcje dopomagają temu, aby naród był faktem i istniał rzeczywiście, to chwała fikcjom. Któż zresztą tak, na dobrą sprawę, potrafi zdefiniować rzeczywistość narodu? Oddzielić mit od prawdy, historię od teraźniejszości, wiarę od faktu, nadzieję od tragedii, ducha od materii? - A uczynić to z narodem, który "jest jako lava", zda się zajęciem całkiem jałowym. On bowiem, jeśli nawet w chwili słabości zada sobie pytanie o własną śmiertelność, przezwycięży szybko poczucie klęski śpiąc, że "jeszcze nie zginęła, póki my żyjemy". - Ten fenomenalny hymn badaczy świadectwem permanentnej transgresji, permanentnego zmartwychwstania.

5

Na tle sprawy narodowej dochodzi co rusz do nieporozumień. Naród, jak to naród, skłonny jest do grubych myślowych uproszczeń i przez to co jakiś czas zdarza mu się zastygać w skorupie stereotypów. Niby zdaje sobie sprawę, jaki to on skomplikowany i złożony w czasie i przestrzeni, a mimo wszystko przynależna umysłowi słabość skłania go do myślenia o sobie, jakby był taki jednolity, jak organizm jedno- albo najwyższej dwukomórkowca. Jest to przypadłość charakterystyczna przede wszystkim dla narodu, którego dziejowa forma istnienia jest zagrożona. W ogóle zresztą jest tak, że przyczyną inicjującą proces myślowy narodu jest jakies zagrożenie jego bytu. Mówi się, że szczęśliwe narody nie mają historii. Przez grzechność nie dodaje się, że mglista jest ich samoświadomość. Nie można mieć przecież wszystkiego.

Nieszczęśliwi są mądrzejsi, chorzy lepiej potrafią docenić wartość życia. Czyż zresztą w ogóle nie jest tak, że prawdziwa świadomość to świadomość tragiczna? Wiemy od Pascala, że droga myśli jest drogą rozpaczki. Naród który potrafi umiejętnie łączyć myślenie z działaniem czyli istnieniem w historii, to naród, który godzi w sobie przeciwieństwa z pozoru nieprzezwyciężalne. Ale tylko w ten sposób uzyskuje prawo do istnienia. Bywa, że aby istnieć, naród spodła jakąś swoją część, przyzwoitość czyniąc przywilejem wybranych.

Granica między dobrem, a złem przebiega w takich chwilach przez naród jak linia skomplikowanego labiryntu. Gdy zaś naród w swoim istnieniu zagrożony szuka sojuszników, to chcąc skłonić ich do pomocy musi im uświadomić, że zagrożenie jest wspólne. Wtedy dopiero i tamte narody zaczynają myśleć.

Generalnie rzecz jednak biorąc, myślowymi formami istnienia narodów są stereotypy. Granice między narodami skutecznie uniemożliwiają tranzyt myśli przez świat. Narody dotykają się granicami i decydują to o tym, że zachowując swoistą odrębność, nie radzą sobie z własną uniwersalnością. Dialektyka wnętrza i zewnątrz, to jeden z podstawowych problemów współczesnych narodów.

Można powiedzieć: wszystko, co istnieje, jest dobre. Ale można też powiedzieć: wszystko, co istnieje, jest winne. I tak między Heglem a Hiebem spędzają wieki narody wybrane.

6

To było tak. Zasiadli przy okrągłym stole Bóg, historia i naród. Dyskutowano problem istnienia ze szczególnym uwzględnieniem kategorii tragizmu, biorąc również pod uwagę ewentualność zbawienia. Bóg podczas całej rozmowy nie odezwał się ani słowem, dawał jedynie różne tajemnicze znaki. Historia, pełna wewnętrznych sprzeczności, z natury swej konfliktowa i niespokojna, też unikata wypowiedzania się otwarcie. Jej specjalnością zresztą jest wystawianie świadectw i opinii ex post. Taki zaś ma charakter, że faworyzuje silnych i oni mają w niej najsolidniejszą pozycję. Jak z tego wynika, najwięcej mówił naród. Mówił o swoim rozdarciu między dziedziną faktów a dziedziną ducha, czyli między historią właśnie a Bogiem. /Choć wcale nie jest pewne, czy podziały te są wobec siebie analogiczne. Ale tak się wyraził/. Mówił, jaką to on wspólnotę wspaniałą stanowi i jakie poczucie zakorzenienia daje ludziom. Z dumą powoływał się na swą przeszłość i nadal wzbudzającą respekt siłę ducha. - Cóż jednak po tym, skoro odnosi wrażenie, że wszystkie moce się sprzysięgły, aby zatruć mu życie i w ogóle, kto wie, czy nie pozbawić obywatelstwa świata... Dostał się w zwyrodniałe tryby systemu będącego wyrafinowanym oprawcą. Nie prowadzi otwartej wojny z narodem, jeno wymienia go część po części materialnie i duchowo. Tu coś zredukuje, ów gdzie podwoi, tam zlikwiduje, ale najbardziej skupia się na tym, aby wszystko przemienić. I zarzucał naród historii, że dopomaga tym metamorficznym zabiegom, oskarżał ją o rakotwórczość społeczną i polityczną. Historia jest jednak nieodpowiedzialna i raczej chyba mają ją ci, którzy twierdzą, że brak jej rozumu. Zwrócił się więc naród do Boga prosząc, aby przywołał historię do porządku i zrezygnował wreszcie z dwuznacznej moralnie zasady nieingerencji w wewnętrzne sprawy świata. W imieniu Boga odpowiedział mu ksiądz-poeta, że cierpienie nigdy nie jest absurdalne. Może być niezasłużone, ale jest próbą. "Historia jest próbą narodów." Zaapelował do narodu o wiarę i zaproponował zakorzenienie się w transcendencji, co pozwoliłby znieść cierpienie fizyczne. Naród tak jednak jest zbudowany, że gdy biją go po plecach, bardziej od pleców boli go duch. Gdyby było inaczej, gdyby duch narodu nie był tak unerwiony, to nie byłoby go w ogóle i problem by zniknął - razem z narodem. W tym miejscu konferencja została przerwana, gdyż w imieniu historii przemówiły karabiny. Gdy się uciszyło i pogrzebano trupy, głos zabrakł jakiś facet, który ją dowodził, że gdy już mowa o zbawieniu, naród może być zbawiony, jedynie w historii. Choć sformułowanie to wydaje się pozornie bliskie wewnętrznej sprzeczności - przyznać - to jednak trudno o lepsze. Skończył wreszcie z tą antropomorfizacją narodu. Jest on bytsem wydanym, dwolistym, materialno-metafizycznym, w połowie podległym wpływowi czcisu, w połowie wiecznym. Gdy idzie, nie rzuca cienia, gdy się goli, nie odbija się w lustrze, sfotografowany przeświatła najczulszy film. Zbawieniem dla niego jest po prostu istnienie. Dokładniej rzecz biorąc - te momenty istnienia, w których może się pozbyć przynależącej go niewidzialności. Na zakończenie facet wytknął rzecznikom Boga, że ich pogląd na historię jest niespójny, uzależniony od dowolnie przesuwalnej w teorii daty Sądu Ostatecznego.

Do samej zaś historii odniósł się z osentacyjną pogardą, ośmieszając je przypomnieniem treści transparentu, jaki zawiął w Warszawie po wprowadzeniu stanu wojennego: "Generale, historia ci to może wybaczy, ale ja ci przypierdolę. Józek."

Po wystąpieniu tym na sali zapanował chaos. Ktoś mówił o anachroniczności narodów, ktoś inny, przeciwnie, o konieczności ich istnienia warunkującej utrzymanie równowagi między swojskością i uniwersalnością świata. Z lewej krzyczano o młode kles, z prawej o szacunku dla tradycji. Padły głosy o narodach zjednoczonych i narodach wybranych. W powietrzu krzyżowały się pieśni i pogróżki, argumenty i modlitwy, gwizdy i ulotki, gotąbki i pociiski. Historia była w swoim żywiole. Judziła jednych przeciwko drugim, podejmowała się roli tłumacza po to tylko, żeby wypaczyć sens każdej wypowiedzi i doprowadzić wreszcie do bójki, w której rację zamierzała oczywiście przyznać zwycięzcy.

W tej sytuacji głos narodu zginął w ogólnym hałasie i stał się monologiem wewnętrznym.

Jestem tak stary, jak mój język, będę żył tak długo, jak moja kultura. Mój kod genetyczny zapisany jest poezją. Znajdując się w takim położeniu, muszę się pseudonimować w mowie, piśmie i działaniu. Muszę zastyczać, aby nie dać się oderwać od ziemi. To wszystko źle na mnie wpływa. Widzę to patrząc na tych, którzy przywiązali do mnie, ledwo mogą się ruszać - taki to ciężar. Poczucie w tym, że i dla wrogów jestem równie ciężki, niemożliwy do lekceważenia. Tak długo żyję w zewnętrznym i wewnętrznym uwięzieniu, że zaczyna mi się męcić rozum. Straszliwa myśl, że może ja to już nie ja? że te wszystkie udane formy, w jakich trwam, to są tylko... udane formy, a mnie już imęgo nie ma? że mi zrelatywizowali i maski, i twarz? że nie myślę, nie mówię, nie działam, tylko jestem wysłony, mówiony, działany... Gdy zdarza mi się upić /ostatnio, niestety, coraz częściej/, widzę siebie jako coś pośredniego między kinem a teatrem, między światem wyświetlanym na płótnie, a światem skleconym z tanich dekoracji. Gram ten swój dramat do pustych foteli, przeklinając autora i reżysera. Mało kto przychodzi to oglądać, w kasie pustki. Gdy trzeźwieje, mam świadomość taniocy tej metafory. Wódka, którą się upijam, jest od niej droższa. Coście zrobili z moją rzeczywistością?!

-Mówiąc to naród podniecał się coraz bardziej, gestykulował gwałtownie, stroił miny. Gdy zamilkł, tu i ówdzie rozległy się oklaski. To podziatało na naród jak policzek. Zerwał się ze swojego miejsca i roztrącając ciągle awanturujących się między sobą ludzi, ruszył w kierunku wyjścia. Zobaczywszy co się święci, historia błyskawicznie skierowała się w jego stronę i zagroziła mu sobą drogę. Naród chwycił ją wówczas w pół i ze słowami: z drogi, dziwko! odepchnął, a ona potoczyła się pod nogi innego narodu, który usiłował przyjść jej z pomocą. Upadli oboje na ziemię, huk był jak sto piorunów, a futrzana papacha tamtego narodu potoczyła się aż do miejsca, gdzie siedział Bóg. Zgąsto światło. Gdy je ponownie zapalono, a oczy wszystkich przyzwyczaiły się znów do blasku, zobaczono leżących na ziemi ni to w uścisku, ni to w zaplątaniu: historię i jej potężnie zbudowanego pomocnika. Poruszali się niezadarnie, posapując i pojękując. Bóg jeden raczył wiedzieć, czy coś między nimi zaszło, gdy tak dłuższy czas leżeli spleceni w ciemności. Ale swoim zwyczajem nie powiedział ani słowa. Sprawca całego zajścia zdolał tymczasem dotrzeć już do wyjścia. I wszyscy odtąd żyli długo i szczęśliwie. |

Jakub Dantyszek

Synowie Luga

Gdybym powiedział panu, że od mojej prawej nogi zależy los świata, bez wątpienia dałby mi pan adres swojego psychiatry, albo zalecił wyjazd na wieś, w celu uspokojenia nerwów. Gdybym powiedział, że najbardziej eleganckie koszule można w Nowym Jorku kupić w sklepie Sergio Valente'go, mógłby pan wzruszyć ramionami, lub co najwyżej pomyśleć, że niekoniecznie, ponieważ nigdy nie był pan w Nowym Jorku i mój sąd może być podyktowany jakimś pierwiastkiem eubiektywnym, na przykład sympatią do Włochów. Naturalnie, gdybym powiedział, że w sklepie obok postoju taksówek sprzedają pomarańcze, zapytałby pan natychmiast po ile i czy sprzedają jeszcze, a może też zapytałby pan, czy te pomarańcze są kubańskie czy greckie, bo wiadomo że greckie lepsze. Tylko że w gruncie rzeczy pomiędzy tymi trzema zdaniem nie ma żadnej, proszę mi uwierzyć, różnicy. Nawet z logicznego punktu widzenia, co mógłbym udowodnić. Tyle tytułem niezbędnego wstępu do mojej historii, a właściwie nie mojej, tylko nas wszystkich, jak tu żyjemy, chodzimy i śpimy.

Dlaczego zdecydowałem się na desperackie przepłynięcie kanału? Dlaczego ryzykowałem życie? Oczywiście wasze łodzie patrolowe mogły rozwalić moją łupinkę jedną serią, albo co gorsza mogły - nie mając kompasu ani doświadczenia nawigacyjnego - popłynąć w złym kierunku i w rezultacie wylądować na tych cholernych mieliżnach, gdzie postawialiście swoje pułapki. Jeżeli jestem teraz w Warszawie i rozmawiam z panem tu, w tym gabinecie, to znaczy, że nie miałem innego wyjścia. I znaczy również, że mogę wam coś zaoferować. Tylko proszę mnie nie przynaglać i nie przerywać głupimi pytaniami, zanim nie skończę.

Właściwie powinienem zacząć od momentu, w którym wszyscy w naszym hanzeatyckim mieście biegali jak szaleni i wołali - Gdzie jest Watęga? Dawajcie tu Lecha, natychmiast! Przywódca nam w tej historycznej chwili potrzebny, a kto może być teraz przywódcą jak nie on? Tylko że w ohaosie jaki panował, jak pan zresztą pamięta - nie tylko w Gdańsku, nikt jakoś nie mógł znaleźć Waleśy. Podobno zaszył się wtedy w jakimś cichym kącie i czekał na rozwój wypadków. Tak mówią w każdym razie ludzie, mu niechętni. Dość, że po kilku dniach odnalazł się, ale sytuacja była już całkiem różna i zamiast do rządu trafił od razu do partii opozycyjnej, którą założył wspólnie ze studentami. Ale jeśli zacząć od tego właśnie momentu, niezgodnie z panem nie zrozumie. Nie pojmie pan charakteru mojej misji i tego, z jakimi żądaniem do was przybyłem.

Otóż, aby wytłumażyć panu szczególnie rodzaj więzów łączących mnie z ostatnimi wydarzeniami muszę cofnąć się do roku 1984, to jest dziesięć lat wstecz od chwili obecnej. Wycofałem się wówczas z życia czynnego, czy raczej prywatnych i półoficjalnych dyskusji politycznych, zarzuciłem słuchanie radia, oglądanie telewizji i pisywanie do pism o mniej lub bardziej otwartym charakterze opozycyjnym. Cały mój wolny czas poświęcałem studiom i badaniom historycznym. Interesowały mnie przede wszystkim mechanizmy historii - nie tyle same wydarzenia, co ich przyczyny sprawcze, sprężyny poru-

Od redakcji:

Prezentowany tekst jest pierwszym rozdziałem fantazji powieściowej "Synowie Luga". Autor dokonał kilku koniecznych skrótów, których nie zaznaczaliśmy w tekście. Przypisy pochodzą również od autora.

szające polityków, narody i społeczeństwa. Dzięki pomocy przyjaciół, którzy pracowali jako tłumacze, dostarczali często unikalne teksty, a także dopomogli w dwóch wyjazdach zagranicznych, miałem prawo osiągnięcia. Moja rozprawa o wojnie peloponeskiej, choć nie została nigdzie opublikowana, cieszyła się uznaniem kilku wybitnych autoritetów. Podobnie oceniono rozprawę o przyczynie klęski Spartańska, mimo iż jej podstawowe tezy przeczyły ustaleniom o sposobie i zbieg strategii samego kaprała. W kołach uniwersyteckich mogłem mieć przedstawiciela, czy też raczej twórcą nowej gromy w badaniach historycznych i w pewnym sensie słuszenie odczytywano moje prace przez analogie do nowej gromy w literaturze, przywołując jako przykład choćby Urszulę le Guin. Istotnie, moje zainteresowania skupiały się głównie na czynniku magicznym i jego roli w wydarzeniach historycznych.

Co to oznacza? Otóż przykładowo czyta pan opis bitwy między dwoma sukcesorami po Aleksandrze Macedońskim - Antygonem i Eumenesem. Wzrost Antygon, którą dowodził jego syn Demetriusz wygrała. W Euboea dowładuje się pan dlaczego - starzy żołnierze Aleksandra zaradzili Eumenesa i przeszli na stronę armii Antyгона. Co więcej - wyśleli swojego wodza, a później, korzystając z zamieszania idą do niego w namiocie wojskowym/1/. I wszystko jest niby jasne, nawet w kategoriach XX-wiecznej polityki, gdzie zdrada była zarządkiem nie tylko pojedynczych żołnierzy, ale wodzów i polityków. Jednakże wynik bitwy, oraz jej przebieg mógł być zależny od czasu i miejsca. Niech pan sobie wyobrazi, że zbrodny Demetriusz miał przy sobie kilku chaldejskich magów, a wśród nich słynnego Pedona Medycyjskiego/2/. I że to za jego sprawą szala zwycięstwa przechyliła się na korzyść wojsk Antyгона i jego syna Demetriusza. Tak, uśmiecha się pan wyrozumiale. Proszę jednak o cierpliwość. Nie czytał pan u Długosza o Litwinach, którzy ściągając wrota ruszali żółta trawy - i w zależności od wyniku wrożyby - kortynowali pościć i rzeź, lub dawali umknąć przeciwnikowi? Nie mogli tego zrozumieć Przyjaci, ani sam Długosz, ale to tylko dlatego, że ich rozumowanie w przedmiocie w a l k i , p o l i t y k i i b i t w y było już na wskroś ześwieczone, europejsko-racjonalistyczne. Mimo, iż jak możemy przypuszczać zarówno Przyjaci jak Długosz wierzyli w transcendencję i chrześcijańskie to dopy.

Na tym właśnie polega paradoks nowożytniej Europy i od tego momentu rozpoczynała się moja refleksja i badania, które prowadziłem. Nawet jeśli Europejczycy wierzyli w Boga, pewni byli nieśmiertelności duszy, zbawienia lub potępienia, ich rozumowanie dotyczące sfer pozostających opierało się wyłącznie na refleksji racjonalnej, która odziedziczyliśmy po hellenizmie i Rzymie. Jest to poniekąd paradoks współczesnego katolika - wierzy przecież w świat pozakrętowy, wieczny, idealny, ale jeśli opowie mu pan historie o duchu czy upiorze, który odwiedza pana w mieszkaniu - stuknie się palcem w czoło, lub w najlepszym wypadku weźmie pana za literata.

To, co widzimy, uznajemy za realne i prawdziwe. I nie możemy sobie wyobrazić, aby mogło być inaczej. Tak samo w przedmiocie historii - na swój sposób wszyscy jesteśmy podszyci fatalistycznym determinizmem. Nie mogło być inaczej, skoro jest właśnie tak. Otóż właśnie niekoniecznie.

Dzieje Europy wyglądałyby zupełnie inaczej, gdyby w starciu północny z południem zwyciężyli nie Rzymianie z ich racjonalizmem, idea państwa i cywilizacji, lecz Celtowie, dla których organizacja państwa była zupełnie zbędna, miasta nie były wcale warunkiem istnienia wysokiej kultury duchowej, a obrzędy i wierzenia uniemożliwiały wprost uczynienie z rolnictwa sfery czysto merkantylnej.

Celtowie nie wyrzucali ewoich zmarłych do Hadesu, gdzie odwiedzić ich mogli tylko nieliczni jak Odyseusz, czy Eneasz, ale żyli z nimi na co dzień, korzystając z ich rady, pomocy i interwencji. Dlatego ich magia miała tak nadzwyczajną siłę i podziw samego Cezara dla potęgi druidów jeet niekłamany/3/. Dlatego Rzymianie, którzy wyparli Celtów z Europy, nigdy nie pokonali ich na wyspach. Nie chodziło przecież, jak twierdzą historycy o względy strategiczne, czy techniczne - skutecznie przełamał je Klaudiusz lądując w Brytanii/4/. Siła magii, jaką dysponowali celtycy królowie była na wyspach znacznie większa, gdyż nigdy nie była tam poddana wpływom południowej miękkosci, i helleńskiemu racjonalizmowi w kapitoliańskim wydaniu. Rzymianie mieli tam przeciwko sobie nie tylko miecze, ale całą rzeszę duchów i czarowników, którym nie potrafili sprostać. Proszę pamiętać, że stopa legionisty nigdy nie stanęła na ziemi irlandzkiej. I nie był to - powtarzam raz jeszcze problem techniczny - gdyż jak wiemy technika desantu morskiego stała już wówczas na wystarczająco wysokim poziomie. Do czego te uwagi zacierają i o czym chcą pana przekonać? Musi pan wykazać jeszcze trochę cierpliwości. Jeśli pragniecie zrozumieć prawdziwą istotę i przyczyny wypadków z lata 1989 roku, nie możecie ich szukać, zresztą bezskutecznie, w przelocie komety Haley'a, czy teorii zachwiania pola grawitacyjnego, ani też ówczesnym osłabieniu sowieckiego państwa. Wszystko to, co się wówczas wydarzyło, miało inne źródła i przyczyny.

Otóż w moich badaniach dozedłem rok wcześniej, to jest w czerwcu 1987 roku do zaskakujących odkryć, które - jak to zazwyczaj bywa - miały swój początek w sprawie marginesowej, by nie powiedzieć przyczynkarskiej. W bibliotece PAN-u poszukiwałem materiałów z epoki napoleońskiej, pragnąc uzupełnić wspomnianą już rozprawę, przed przygotowaniem jej do druku. Pośród pozostłych rękopisów, zresztą nie w pełni ekatalogowanych/5/ znalazłem średniowieczny manuskrypt, a raczej fragment manuskryptu. Jakież było moje zdumienie, gdy okazało się, że tekst nie jest łaciński, ani niemiecki, lecz że mam do czynienia z iryjską odmianą języka gaelick, w jego wczesnej, średniowiecznej wersji. W jego odczytaniu pomógł mi naturalnie profesor Knickerboker z Dublina, który po miesiacu przysłał entuzjastyczny list, wraz z rozszyfrowanym tekstem. Zaskoczenie było rzeczywiście ogromne. Mielismy oto przed sobą opowieść z VI wieku o żeglarzu Mael-Duin, postaci znanej z pięknej historii Imram cursaig Maile-Duin, czyli Żegludze Mael-Duina. W wersji, którą dane mi było znaleźć Maile-Duin wyruszył ze swoją drużyną na południowy-wschód, w poszukiwaniu portu Truso, aby kupić tam bursztyn, którego zażądał od niego walijski bóg Math, władca Gwynneddu. Mael-Duin odnalazł Truso, ale jego mieszkańcy nie chcieli dać mu bursztynu. Z pomocą Lera, boga morza, Mael-Duin stoczył z niegościnnymi krajowcami walkę i zatopił ich miasto. W drodze powrotnej jednak zaskoczył żeglarzy nagły śnieg i mróz, który sprowadził na nich duch mściwego Connana, skłóconego z walijskim Mathem. Mael-Duin schronił się więc w ujściu ogromnej rzeki, czekając aż śnieg przestanie padać i puszcza zamarnięte lody. Ponieważ czekał długo, bo w walce z Connanem nie znał odpowiednich zaklęć i okniło mu się za ojczyznę, spłodził z córką miejscowego rybaka chłopca imieniem Gweddan. Gdy z pomocą boga Taranisa udało się wreszcie pokonać dzielnemu żeglarzowi lody i śniegi sprowadzone przez Connana, chłopiec miał już siedemnaście lat i nie chciał płynąć z ojcem do nieznanego kraju. Został ze swoją matką i u ujścia rzeki założył miasto zwane przez jego potomków Gweddannem. Tak, niech pan to porówna z nazwą Cyddanzyo, zapisaną po raz pierwszy w relacji o podróży sw. Wojciecha do Prus w wieku X, a więc

czterysta lat później. Oczywiście tekst o wyprawie Mael-Duina pochodzący z wieku VI, mówi o wydarzeniach znacznie wcześniejszych, bo sprzed chrystianizacji Irlandii, zanim wkroczył tam św. Patryk ze swoją łaską druida i dzwoniem przywołującym umarłych. Wielu wie przed oczami legendę o mitycznych początkach naszego koczowniczego miasta, wobec której żaden historyk nie powinien zostać obojętnym. Tylko że ja nie byłem historykiem i zrobiono wiele, by moje odkrycie dotyczące zarówno legendarnej Truso, jak Górska, nie ujrzało światła dziennego. A kiedy z pomocą profesora Knickerbokera opublikowałem te relacje w Anglii //7/, docent P. z naszego uniwersytetu ogłosił mnie pospolitym szalbierzem i co więcej autorem falsyfikatu. Kilka dni później oryginał manuskryptu zniknął z archiwum biblioteki i nie pomogło nawet oficjalne śledztwo w tej sprawie. Zostałem sam, z fotograficzną odbitką tekstu i poparciem Knickerbokera, który przez cały czas nie wątpił w autentyczność znaleziska. Ale - jak okazało się później - był to właśnie ten marines, który doprowadził mnie do sprawy zasadniczej, i o wiele większej niż celtycki początek naszego miasta, czy wzianka o zatopieniu Truso, którego do dzisiaj szukają cierpliwi archeolodzy.

Pod koniec 1987 roku, na zaproszenie Knickerbokera pojechaliśmy do Irlandii. Muszę wyjaśnić, że opowieść o wędrowce Mael-Duina interesowała go przede wszystkim jako jeszcze jeden wariant Inmram curraig i za sprawą Gweddara czy Truso nie wiązały profesora sentymenty tak silne jak moje. Tym niemniej poczyniłem spore postępy w nauce gaelickiej i z pomocą Knickerbokera mogłem zagłębiać się coraz bezpieczniej w ślad druidów i boskiego kowala Govannona. Domyśla się pan zapewne, że najbardziej interesowały mnie wątki, jakie toczyli Rzymianie o ujęzmienie Brytanii, oraz to, co powodowało ich nieuchronne klęski. Duchem byłem po drugiej stronie Wału Nadriana //8/, z dzielnymi plemionami Piktów, z pieśniami jakie śpiewali i naturalnie z bogami, którzy użyczali im swojej siły. W ten sposób natrafiałem na ślady, który najpierw teoretycznie, później zaś ze skutkami znacznie poważniejszymi potwierdził moje przypuszczenia i hipotezy na temat czynnika magii w biegu historii.

Dzieje podbojów rzymskich wspominają, że w krótki czas po inwazji Brytanii Gneus Iulius Agricola planował wysadzić desant na Irlandię i podbić ten kraj, jako ostatni bastion oporu Galów, na którym nie stanęła do tej pory noga rzymskiego żołnierza. Historycy - w tym również starożytni - nie są zgodni co do faktu, czemu zamiar ten nie został nigdy przeprowadzony. Herodot mówi o mgłach i sztormach, Tacyt pisze o zbyt szczupłych zapasach żywności co zresztą nie jest wiarygodne, wobec powszechnie znanego obyczaju najeźdźców, to jest nieskrępowanego korzystania z miejscowych spiżarni. Wersję Herodota, Tacyta, a także Swetoniusza i inne, których nie przytoczam, można przyjąć jako dobrze znany chwyt propagandowy w stylu - wycofywania się na "z góry upatrzone pozycje". Cóż innego może nam powiedzieć oficjalna historiografia najeźdźców? Inaczej jednak wygląda niedoszła do skutku inwazja widziana oczami Figola, iryjskiego druida, którego pieśń po kilku setkach lat zapisał irlandzki mnich z klasztoru w Ardan, znając ją zapewne z przekazów ustnych //9/. Kiedy Rzymianie przygotowywali się do wyprawy z brzegów Półwyspu Galloway //10/, na wybrzeżu irlandzkiego, po drugiej stronie kanału widzieli ich wieśniacy z Antrim. Bo wówczas odległość między dwoma wyspami - jak zaświadcza kronikarz - nie była większa niż sto rzutów oszczepem i zapalone ognie na brzegu brytyjskim można było dostrzec gołym okiem w górach Antrim, na irlandzkim brzegu. Zwolano wszystkich wojowników, ale nie było ich wielu, gdyż większość udała się do Ulster, na wezwanie króla. - Niedobrze. - powiedzieli wieśniacy i nie liczn

wojownicy - ich łodzie spychane są do wody, słyszymy ten zgrzyt i nic dobrego on nam nie wróży, za mało mamy bowiem ramion, i za mało grobów. Gdy wiośła rzymskich okrętów zaczęły bić wodę mężczyźni zakrzyknęli - Przybądź do nas Figola, przybądź do nas z ciemności druidzie i pomóż swoim zaklęciem, pomóż swoimi czarami, nam, którym dostaje dzielnosci, lecz których jest zbyt mało, by bronić zielonego Ulsteru i naszych stad i kobiet. Figola, syn Mamosa usłyszał to wezwanie; przybywając natychmiast. Ponieważ był największym druidem, potrafił nie tylko zmieniać przebieg bitwy, jak mało to ongiś miejsce pod Mag Tured, potrafił nie tylko uśmiercać wrogów wierszowanymi zaklęciami, ale potrafił też - bez pośrednictwa groźnego boga Dagda i pochurnego Taranisa - czynić rzecz najtrudniejszą, mógł za pomocą zaklęć zmusić ziemię do ruchu, by była mu posłuszną. - Wskażcie mi największe wzgórze w okolicy - powiedzieli Figola. Mężczyźni zaprowadzili go natychmiast na największe wzniesienie. I Figola wypowiedział swoje zaklęcia w słowach, które rozumiały duchy ziemi i duchy powietrza i duchy wód i duchy ognia. Zatrzęsły się góry i zadrżała ziemia po obu stronach kanatu. Morze wystąpiło z brzegów. Łodzie Rzymian huśtały się na falach jak łupiny. Nie wszystkie jednak zatoneły, gdyż najeżdźcy wezwali swojego boga Neptuna na pomoc, by upokoić morze i odwrócić zaklęcia Figola. Gdy Figola ujrzał to i zrozumiał ich podstęp, wezwał ziemię w imieniu kowala Gobniu, syna Luga i nowym zaklęciem, tupiąc prawą nogą odsunął wyspę od brzegów Brytanii jeszcze sto rzutów oszczepem, a kiedy to nie wystarczyło, jeszcze o tysiąc i jeszcze trzy razy po tysiąc. Żaden z rzymskich okrętów nie dopłynął do wybrzeża i wzgórz Antrium. I dlatego dzisiaj, gdy stoi się na wzgórzu Figola twarzą w kierunku Brytanii, nie widać lądu, tylko siwe morze.

Odtąd w każde święto Samhain/11/ mężczyźni i kobiety z Antrium palą ogień na wzgórzu Figola i śpiewają pieśń o jego bohaterskich czynach. A w głębi wyspy pokazywana jest najgroźniejsza szczelina, która powstała wtedy, gdy rozstąpiła się ziemia i przesuwały lądy. Tak, kiedy to przeczytacie, niech mi pan wierzy, byłem zachwycony poetycką stroną tego wydarzenia. W zapisie, co nie zdarza się nigdy w iryjskich kronikach - zanotowano zaklęcia Figola i rzeczywiście tam, gdzie dawały się zrozumieć, były rodzajem ekstatycznego poematu. Bo nie wszystkie słowa z tej literaturnej modlitwy są dzisiaj zrozumiałe, nawet dla takich znawców zagadnienia jak Knickerboker.

Kopię rękopisu przywiózłem do kraju i odłożyłem na pewien czas, gdyż miałem co innego do roboty. A jednak zastanawiałem się nad tym, dlaczego zaklęcia Figola poskutkowały wtedy, zabrakło go natomiast wówczas, gdy zamiast Rzymian na Irlandię najechali potomkowie germańskich Sasów i Angłów. Dlaczego nie uratowały Irlandii przed ekspansją brytyjską? Jest kilka możliwych odpowiedzi na to pytanie. Pan zastosowałby prawdopodobnie tezę Feuerbacha, o wypieraniu irracjonalnego przez rozumiałe. A opowieść o czynie Figola zgodnie z tą tezą, włożyłby pan w szufladę z napisem - folklor - jako coś, co przecie nigdy nie mogło się zdarzyć. Tylko - czy rzeczywiście ludzie nie mogą umierać od słów? A skoro mogą, to czy słowa nie mogą być kluczem do innych tajemnic? Przy lekturze Filona z Aleksandrii odnosi się wrażenie, że jego pojęcie Logosu jest w istocie czymś podobnym. Tylko że potudnie bardzo przedko zaniechało tej wiedzy. A jeśli ktoś, powiedzmy teologowie, metafizycyści czy profesorowie uniwersytetów, zajmował się tym zagadnieniem, robił to najczęściej bez wiary, jaką posiadali druidzi. Może dlatego, że słowo, to słowo, było zastrzeżone dla Boga? Nie mam teraz czasu na wywoły tego typu, myślę jednak, że to co chce panu powiedzieć jest kwestią zapomnianej wiedzy. Pewne wie

jętności mogą być jak z tego wynika zapomniane w obrębie cywilizacji, do tego stopnia, że ich wskrzeszenie, ich ponowne użycie jest równocześnie niemożliwe. Założmy na przykład, że po wojnie nuklearnej część ludzkiego gatunku przeżyje. I nawet niekoniecznie w skrajnie prymitywnych warunkach. I wszyscy będą pamiętali doskonale co to takiego komputer, ale nikt nie będzie potrafił czegoś takiego wyprodukować. Bo akurat żaden z tych co potrafiliby nie przeżyć. Zniszczy też książki, technologiczne sekrety, zniszczone są laboratoria. I pewien zakres zbiorowej wiedzy, bo przecież do produkcji komputera potrzebna jest wiedza zbiorowa, ten zakres ulegnie zapomnieniu. O tej odmęcie ludzkiej działalności istnieje pamięć, ale jest to pamięć kaleka. Niezdolna do reprodukcji. Do powtórzenia pewnego aktu twórczego. Może na zasadzie teorii prawdopodobieństwa dałoby się jedynie określić, że za lat trzysta, czy pięćset o ile zaistnieją sprzyjające warunki, akt taki zostanie ponowiony. Ale to tylko przypuszczenie.

Wzgardziłem się niepotrzebnie, tymczasem mamy oto początek roku 1978, w którym zacząłem pisać książkę o roli magii w historii politycznej ludów celtyckich. Materiałów miałem dużo, między innymi opowieść mnicha z klasztoru w Argdach z zaklęciami Figola. Pewnie napisałbym tę książkę w ciągu dwóch lat, gdyby nie złośliwa zawiść ludzi, którzy za podszeptem docenta P. najpierw ogłosiłi o mnie parę złośliwych artykułków w miejscowych szmatławcach rodzaju "Głosu Wybrzeża", a później doprowadzili do rozprawy sądowej. Tak, stanąłem przed sądem oskarżony o kradzież średniowiecznego manuskryptu z biblioteki PAN-u, wywiezienie go na Zachód i opublikowanie jego fragmentów w celu korzyści materialnych. Według ich zarzutów sprzedałem oczywiście ten bezcenny zabytek kultury i tak dalej. Absurd? Raczej logika, którą dobrze opisał pewien pisarz z Pragi. Odpowiadałem wprawdzie z wolnej stopy, profesor Knickerbocker, któremu odmówiono, oczywiście wizy wjazdowej napisał długi list; ale pomogło to tylko tyle, że sprawa ciągnęła się w kolejnych instancjach, a ja, w coraz większym poczuciu absurdu nie byłem zadowolony do jakiegokolwiek pracy. Nie wiem oczywiście komu na tym zależało. Dzisiaj myślę, że to nie docent P. ukradł tamten manuskrypt. Ci, którzy to zrobili musieli go zmusić do robienia hałasu w całej tej sprawie. Zresztą teraz nie ma to najmniejszego znaczenia i chociaż sugeruje pan, żebym podał jakieś nazwiska, nie zrobię tego.

Tak więc to, przed czym uciekałem w roku 1984 w świat moich badań i dociekań, dopadło mnie w najmniej spodziewanym momencie. Bo nie było złudzeń, że jest to proces o charakterze politycznym. Oczywiście nie wprost, bo nie sądzono mnie za druk czy kolportaż bibuły, ale cała otoczka towarzysząca sprawie pchnięta jednoznacznie. Nie muszę panu przypominać, jaka była wówczas atmosfera w kraju, a szczególnie w moim mieście. Jeruzelski chwycił neostalinowski wiatr w żagle i oruł na całego, był to chyba rok największego przykręcenia śruby od pamiętnego trzynastego grudnia. Niejako z musu wróciłem do starych kontaktów i nie było to pocieszające. Zawsze te same rozmowy i ta sama bezsilność. Wie pan, kiedy osiągnie się pewne doświadczenie, to świadomość, że jedyną odpowiedzią na zorganizowaną przemoc komunistycznej dyktatury może być podziemna prasa, czy działalność oświatowa, może okazać się w gruncie rzeczy przegąbiająca. Bo najchętniej w takich sytuacjach trzasnęło by się jednego chana z drugiego w zęby, a nie wymyślało nowe strategie, czy nauczało paru egzaltowanych licealistów, albo robotników, którzy i tak wiaździeć będą dalej biało-czarne schematy. Wiem coś o tym.

Byłem rozgoryczony i zły. W czasie jednej z rewizji skonfiskowali moje prace o wojnie polpopenskiej i Napoleonie. Napisałem wówczas do Knickerbockera żartobliwie, że proszę o pomoc. Odpowiedział - nie bez ironii - że przysłał mi Kael-Duina z jego drużyną i żebym przywitał ich godnie, jak tylko zobaczą długie łodzie na

wodach zatoki. Być może z perspektywy Dublina wyglądało to trochę zabawniej.

Na początku 1989, a więc - jak pan widzi dochodzimy wrzszcie do tej pamiętnej daty - zapadł wyrok skazujący. Miałem zapłacić czterysta dwadzieścia pięć tysięcy złotych, plus koszty sądowe. Wybrałem - jak pan się domyśla, albo już wie - areszt, czyli pięć miesięcy pułki. Bo tyle przyznali mi taskawie po apelacji. W lipcu wyszedłem, jak się to mówi na wolność. I nic właściwie nie zapowiadało wówczas jakichś zmian, czy zelżenia kursu. Powiedzieć, że byłem wściekły to mało. A jedyne co mogłem zrobić, to rzucić kamieniem, albo zelżyć jakiegoś funkcjonariusza. Nie miałem żadnego pomysłu na ciąg dalszy. Nie ukrywam - że dużo piłem. Wszyscy mądrale mówią, że to nie jest sposób, zwłaszcza na komunę, bo na tym zarabia państwo. Naturalnie że zarabia, ale w takich sytuacjach ludzie nie lepszego jeszcze nie wymyślili.

Więc jak się stało to co się stało? Takie rzeczy dzieją się zazwyczaj poza naszą świadomością i wszelkie dociekania są bzdurą pozbawioną sensu. Zresztą nakreśliłem już panu moją ówczesną sytuację psychiczną i może pan z tego wyciągnąć należyte wnioski. Któregoś razu wziąłem flaszkę i poszedłem wczesnym popołudniem za miasto. Z wyniesienia, na którym się znalazłem widać było dźwigi stoczni i daleki pasek morza. Przypomniałem sobie ironicznie obietnicę Knickerbokera, i może wówczas, aczkolwiek podświadomie zrodziło się we mnie przeczucie czegoś niezwykłego. Być może doznałem iluminacji. Wie pan, to było tak, jakbym nagle zobaczył w odległej perspektywie nienaturalne światło przez otwór w chmurach, chociaż nie było chmur tylko czyste niebo, a dalej spływających w moim kierunku jeźdźców i ludzi idących pieszo. Byli wszyscy, konfederaci z Baru, ci z wojny 1792, ci z szanów Pragi, ci z listopada, ci ze stycznia, byli też legionści, ułani i ci z ostatniego powstania, największego powstania Europy. I jakby schodzili prosto do morza, w absolutnej ciszy i doskonałym porządku. Nigdy nie miałem widzeń, proroczych snów, ani tak zwanych przeczuć, ale wtedy poczułem, że jakaś potężna fala dotyka mnie i unosi razem z nimi. Jeśli doznał pan kiedyś głębokiego wzruszenia religijnego, to było mniej więcej tak samo, bardzo podobnie. I domyśla się pan co wówczas zrobiłem. Tak, zupełnie nieświadomie, bez udziału woli użyłem modlitwy, czy jak pan chce zaklęć Figola. Znałem je na pamięć nie rozumiejąc zresztą wszystkich słów, a nawet poszczególnych wersów. Niech pan się nie uśmiecha. To było dokładnie dwunastego lipca. A wszyscy wiemy, co się zaożyło trzynastego lipca 1989 roku. Ja też zresztą nie przeczuję niczego. Jeźdźcy zniknęli i zostałem sam. Ziemia nie drżała, morze nie wystąpiło z brzegów. Pomyślałem, że tak właśnie powinno być - nigdy nie daliśmy wiary w możliwość ponownego użycia słów. Kręciło mi się w głowie i trochę przysnąłem na trawie. Kiedy się obudziłem był środek ciepłej, lipcowej nocy. Wróciłem do domu. Miasto spało swoim zwyczajem, wydłużonym oddechem

Ale następnego dnia ramp coś było już inaczej. Nie nadawano programu radiowego. Niektórzy mówili o trzęsieniu ziemi we wschodnich województwach. Podobno do Lublina ciągnęły rzesze przerażonych uchodźców. Tylko w dzienniku telewizyjnym tego dnia nic się nie zmieniło. Ten sam uśmiechnięty Bartnicki mówił o żniwach i zapotrzeniu rolników w napoje gazowane. Nie będę opowiadał dalszych wypadków. Pamięta pan, jakie nastąpiło zamieszanie, gdy okazało się, że to prawda. Tapnięcia kontynentalne było faktem. Wbrew niedowierzaniu geologów i przerażeniu polityków, od Rosji sowieckiej dzielił nas kanał morski szerokości pięćdziesięciu kilometrów. Tylko w okolicach Przemysła przemyk zwał się niebezpiecznie. Na południu mieliśmy Czechów, w ramach jednej wyspy. Ale oni cieszyli się tak samo szaleńczo jak my, a ich politycy bali się tak samo jak nasi politycy.

Przez kilka tygodni, właśnie wtedy jak Sowietci leczyli swoje rany po gigantycznych wstrząsach tektonicznych /zawsze chcieli mieć wszystko największe/ i kiedy u nas i u Czechów zmieniały się rządy, rozpisywano referenda i panował oaty ten zgiełk, ja bałem się wyjść z mieszkania i kontaktować z kimkolwiek. Mogłem oczywiście w tym czasie pisać artykuły nareszcie bez cenzury, mogłem kandydować do władz, albo szukać wątpliwej satysfakcji na osobie docenta F. lub jego mołodawców. Tylko że strach paraliżował wszystkie moje cząci, bo jeśli istniał jakiś związek między zakłębieniem Figla, a tym co się stało, ja sam mogłem znajdować się w najgorszej ze wszystkich sytuacji. Nie miałem przecież żadnej pewności.

W tym czasie, był to już wrzesień, wojna wisiała na włosku. Front NRD zachowywał się groteskowo. Mieli najwięcej szans, właśnie wtedy, by zjednoczyć Niemcy, ale Honecker wolał czekać na interwencję sowiecką, która i tak nie mogła wówczas nastąpić. Ta cwieczorna strzelanina wokół muru berlińskiego działała mi coraz bardziej na nerwy. Z jednej strony nie miałem nic przeciw zjednoczeniu Niemiec, gdyby nie to, że jednak nasza granica zachodnia, przecież czy później stałaby się solą w oku Niemiec i znów to samo. Zawsze, jeszcze w czasach politycznych dyskusji wyznawałem doktrynę Pilsudskiego o naszych dwóch śmiertelnych wrogach. Nie będę panu opisywał jak to zrobiłem za drugim razem i w którym miejscu. Po teraz już wiem, że miejsce jest również ważne. Drugie Tapnięcie Kontynentalne. Tak to nazwano. Nie wiem czy pomyliłem szyk wyrazów, albo źle rozłożyłem akcenty, w każdym razie, jak panu wiadomo kawałek ich budżetów został po naszej stronie. I tych kilka ślicznych wysepek. A w końcu głupia buta Honeckera przegrała - zjednoczyli się z mniejszymi trudnościami, niż można było przypuszczać. Teraz to kłopot Francuzów, z czego, powiem panu szczerze odczuwam rodzaj słodkiej satysfakcji. Niemcy tak bardzo zajęci zjednoczaniem zapomnieli nawet o Honeckerze. Czy to prawda, że przebywa na Kubie?

Fedność panowała powszechna. Nareszcie mogłem zająć się moimi badaniami. Od polityki miałem ludzi, na których głosowałem. Do dziesięćdziesiątego roku opublikowałem wszystkie moje rozprawy i książki o Celtach, którą widzę na pańskiej półce. Niech pan teraz nie sprawdza, o Figla nie napisałem ani słowa. W pewnym sensie byłam najmniejbezpieczniejszym człowiekiem dla każdego państwa. Gdybym tak na przykład upił się w przypiytywie złęgo humoru i postanowił spłatać figla flegmatycznym Szwedom? Ale wtedy zaczęła się moja choroba. Lewa noga, wbrew wszelkim zasadom biologii zaczęła się kurczyć. Po prostu zmniejszała się, bardzo powoli, ale wyraźnie. Lekarze nie potrafili określić tego fenomenu. Zapropnowano mi nawet wyjazd do Stanów, na obserwację. Ale to było to. Wiedziałem, że to było to. Po prostu zamiast prawej nogi, używałem lewej, a taka rzecz nie uchodzi bezkarnie, kiedy ma się do czynienia z magią. T 1991 musiałem chodzić już o lasce. Bardzo to było niepokojące, nie mogłem myśleć o czym innym, tylko o tym, co będzie, jeśli noga skurczy się do rozmiarów małego kikuta wyrastającego spod biodra. Mimo iż napięcie w kraju rosło, wszystkie wydarzenia docierały do mnie jak zza szyby. Noga stała się moją obsesją.

Tak. Gdybym był wówczas prezydentem postawiłbym wniosek, którego dotarła się opozycja. Skoro komuniści mogli rządzić nami przez czterdzieści kilka lat jak na swoim folwarku nie licząc się z nikim i z niczym, to dlaczego mieli teraz przystać z konstytucyjnych uprawnień? Wszystko było wiadomo, że jeżdżą do Moskwy i razem z tantymi narzą o jednym - powrócić do dawnych porządków. Tylko że teraz byliśmy wyspą i było tonieco trudniejsze niż w roku dwudziestym, albo czterdziestym czwartym. A kiedy rozpoczęły się zamachy terrorystyczne na dworce i lotniska, nie miałem wątpliwości, że nie pooba im się wolny rynek, konkurencja i liberalizm.

Rosja, jak spragniony kozak pragnęła naszego ciasta. Bez nas ciągle im było źle i niewyraźnie. To jest właśnie pojęcie miłości w czysto sowieckim stylu. Trudno. Trzeba było pozwolić wyjechać tym, którzy chcą wyjechać, a resztę zdelegalizować i powiedzieć po pół roku traktować jak przestępców. Oburzenie Francji? Posądzenie o dyktaturę? To były bzdury. Francuzi są zawsze gotowi oburzać się na cudze wady, nigdy na własną nikczemność. Skoro komuniści chcieli znów budować komunizm, trzeba im było to umożliwić, ale nie we własnym kraju. Kiedy rozsądni publicyści pisali o przygotowaniach do zamachu i rozbudowie sowieckiej floty desantowej - mówiono, że to przesada. Stare, zrozumiałe urazy, ale przesadzane. - Traktujmy wreszcie Rosję, jak równorzędnego partnera - tak pisali w odpowiedzi socjaldemokraci. Zupełnie jakby zapomnieli z kim mają do ożynienia. Pamięta pan aferę szpiegowską w zakładach "Ursus-Ferguson"? A licencje, które dostaliśmy od Japończyków? Nie się nie zmienilo, był tylko kanał, pięćdziesiąt kilometrów morza, w które wierzone jak w tarczę Achillea. Kiedy pomyśle, jak zawsze, niezależnie od sytuacji lekceważyliśmy jako naród Rosję - mam ochotę przeklinać. Wiele mówiono o tym, że nie powinniśmy wejść do NATO. Że to ich rozdrażni i doprowadzi do wściekłości. A ja stawiałem sobie pytanie - czemu nie? Gdybyśmy przystali od razu na propozycje amerykańskie, wtedy, po Drugim Tąpnięciu, Sowieci musieli się podnosić ze zniszczeń i nic poza jazgotliwą propagandą by nie zrobili. A w 1992 sytuacja była inna.

Początek inwazji po prostu przespałem. Była siódma rano, kiedy wpadł do mnie znajomy sąsiad z okrzykiem - leca! Spojrzałem za okno, ale nic nie leciało. Dopiero jak włączyłem telewizor zrozumiałem całą grozę naszego położenia. To był dostownie ciepły reportaż, bez montażu i prawie bez komentarza. Setki helikopterów, łodzi desantowych i myśliwców. Jak szarańcza. Te wybuchające bomby były zupełnie jak w dobrym, amerykańskim filmie, albo koszmarnym śnie. Z komunikatu sztabu, który podano w chwilę później wynikało, że ta wojna jest już przesądzona. Jedno mnie tylko zastanowiło. Sowieci, pewni sukcesu zaatakowali nas wzdłuż prawie całego Wschodniego Wybrzeża. Wylądowali na Roztoczu i Suwalszczyźnie, ale nie pomyśleli o flance północnej, to jest Starym Wybrzeżu, a dawniej po prostu Pomorzu. Nie czekałem ani chwili. W parę minut później byłem już w samochodzie i po zatłoczonej drodze jechałem na południe. Liczył się każdy kilometr przyszałej wolności. Uważnie słuchałem komunikatów radiowych i bałem się nie tyle Sowietów, co następnego tąpnięcia. Moja wiedza na ten temat była już znacznie większa i wolałbym tego nie robić. Ale nie miałem wyjścia. Kilka kilometrów za Kościerzyną musiałem się zatrzymać. Za horyzontem lasu ujrzałem kilkanaście ozogów z czerwoną gwiazdą. Nasze helikoptery nadleciały z zachodu i odpaliły rakiety. Dalej jechać nie mogłem.

To było, jak pan wie Trzecie Tąpnięcie. Bałtyk nie miał jeszcze takiej wyspy - sześćdziesiąt kilometrów długości, trzydzieści kilometrów szerokości. Największe miasto, stolica i port na północy. Tym razem uniknęliśmy kłopotów, jakie miał cały kraj po Pierwszym Tąpnięciu Kontynentalnym. Po prostu na odłączonym terenie, na całej wyspie nie było ani jednej bazy sowieckiej, i nie trzeba było specjalnych zabiegów dyplomatycznych, żeby się wynieśli, jak w 1989 i 1990. Bo teraz pewnie nie wynieśliby się wcale. Chętnie opisałbym panu szczegóły powstawania nowego państwa. Jak miało się nazywać, skoro to, na południu było Polska? Nowa Polska? Gedania? Ostatecznie zostało - Rzeczpospolita Polska, w odróżnieniu od restaurowanego PRL-u. Ale nie o tym chciałem mówić. Możemy liczyć tylko na siebie. Po inwazji i Trzecim Tąpnięciu i późniejszej normalizacji warszawskiej z przemówieniem Gorbaczowa w Pałacu Kultury, po tym wszystkim zrozumiałem, że nie mogę czekać

z założonymi rękami. Nie wszedłem co prawda do rządu i nie zasiadałem w Senacie, ale, jak pan wie jestem bliskim doradcą naszego prezydenta. Wiemy, że nie obroni nas tych kilka samolotów, które posiadamy. Wiemy też, że następne tapnięcie jest praktycznie niemożliwe. Tak, mówię wiemy. Tapnięcie stało się naszym, kilkuciosowym sekretem. Ale - proszę mi teraz nie przerywać - powiedziałem już, że praktycznie jest ono niemożliwe. Gdzie mielibyśmy się przesuwać? Chyba, żeby rozdrobnić cały PRL na małe archipelagi. Tylko że to niczego nie zmieni. Zajmą każdą wysepkę z osobna, tak jak poprzednio. A więc trzeba działać inaczej. W porozumieniu z tutejszym podziemiem.

Nasze informacje zostały sprawdzone. Jest pan człowiekiem, do którego komuniści mają absolutne zaufanie. Piastuje pan w ich nowym rządzie wysokie stanowisko. Wiemy też dlaczego tak się stało. Jutro, kiedy dostanie pan potwierdzenie wiarygodności mojej misji przedstawię panu plan działania i nasze propozycje. Jeśli nie wyda mnie pan, to oczywiście żart, chciałbym otrzymać również jutro nowy paszport. Ten, który zmoczył się okropnie w czasie przeprawy. Once pan wieciec jakie to będzie potwierdzenie. Dobrze powiem to. Jutro przed jedenastą zawali się cały Pałac Kultury. Specjalnie wybraliśmy niedzielę. Jak powiedziałem, jest nas teraz kilku...

- 1/ Plutarch - Żywoty /Lumenes/XVIII - 3,4-6,
- 2/ Machon Medejozyk. Jego prawdziwe imię według Filodemosa brzmiało Belail
- 3/ Por. C.J. Cezar: - Commentarii de bello Gallico
- 4/ Klaudziusz wylądował w Brytanii w 43 r. n.e.
- 5/ także do dzisiaj
- 6/ Osada rzemieślniczo-handlowa prusów ok. VIII - X w. nad Jez. Drużno. Wspomina o niej podróżnik Multstan.
- 7/ nakładem Oxford Press University
- 8/ Wał obronny zbudowany przez Rzymian w Brytanii w najważszym miejscu wyspy, dla odpięcia ataków Celtów między rzekami Holway i Tyne
- 9/ Jak większość tego rodzaju tekstów
- 10/ Galloway w Brytanii i Antrim w Irlandii - brzmienie nazw. współczesne.
- 11/ Samhain - /od celt. sam e fuin/ święto związane z kalendarzowym i rytualnym końcem lata. Gaszono wtedy stary i zapalono nowy ogień. Orgie, tańce, ogniska, w dawniejszym okresie także krwawe ofiary z ludzi.

Kazimierz Nowosielski

Ciemności Orfeusza

Tekst ukazuje się bez wiedzy autora

Wydaje się, że śpiewał tylko o urodzie świata i oudzie swej miłości, o potężde harmonii, która go wykonała i wiecznym ładzie, ku któremu dążył. Był zadziwiająco jednością wyplewanego jestestwa i z niej brał urzekającą potęgę uprawianej sztuki. W niej zacierała się granica między Bogiem a człowiekiem, niebiosami a ziemią, materią i duchem. Musiała to być bardzo przekonywająca jedność, skoro odnajdywały się w jej przestrzeni ptaki, ludzie i drzewa. Robert Graves w swej wspaniałej rekonstrukcji mitu powiada, iż do dzisiejszego dnia w trackiej Zone odnaleźć można potężne, starożytne dęby w tanecznej pozycji, w jakiej je pozostał.

Zdaje się, że był pierwszym poetą lirycznym, znakomicie orkiestrującym ciemne i jasne tony doświadczanego życia. Swe zawłaszczające piękno opierał widocznie na miarach, które koją serce i pobudzają wyobraźnię. Przed utratą surydyki nigdy rozpacz nie zerwała struny jego liry, trwała nie zmięta łagodnej harmonii tonów. Mit przynajmniej o tym nie wspomina.

"Pieśniarze greccy - pisze Adam Krokiewicz - wielbili zawsze Orfeusza jako najcenniejszego przedstawiciela swej sztuki. Dzięki nim Orfeusz uchodził często za wynalazcę pisma, heksametru i lutni. Cieszył się także szczególną łaską Apollina, który zazwyczaj srogo karał współzawodników, ale szczenił Orfeusza - może z wdzięczności za pomoc w walce z Dionizosem. Często słyszymy nawet o Orfeuszu, eynu nie Otagrosa, lecz Apollina i Kaliope. Związek Apollina z Orfeuszem zaznacza się jasno na zabytkach sztuki greckiej, gdzie ich wizerunki stają się z biegiem czasu coraz podobniejsze do siebie".

Opieka, jaką w późniejszych wersjach mitu miał nad nim roztaćcać Apollo, zdaje się już wskazywać na pewno oznaki zmęczenia czy nawet niepokoju, wkradającego się w ozywste tony Orfeuszowego chóru. Czyżby zwierznik Muz i okrutny zwycięzca Karykjasza w roli atroza orfickich porządków? Można i to domniemywać. Ale i to być może, iż ich bratanie się jest już oznaką ozsów, kiedy w świat ekstazy i uniesienia powoli wkracza potrzeba poznania, wola świadomości życia będąca matką wszelkiej filozofii.

Tak czy inaczej, u źródeł Orfeuszowego doświadczenia pozostaje o c z a r o w a n i e, które my, ufający praktycznej psychologii, skłonni jesteśmy określać jako bardziej powszechne z d z i e n i e. Na nie powokuje się prawie cała sztuka nowożytnych czasów; z niego wyprowadzany bywa pierwszy akt misterium odnajdywanego przez nas piękna. Dalej pragnęlibyśmy widzieć wszystko tak, jakby się nic nie stało; jakby rzeka, nad którą pochyłał się tracki pasterz, wniknąwszy pod ziemię, wypłynąć miała gdzieś obok naszych stóp, przywracając niewinność odbijającym się w niej twarzom. To samo cc i wtedy pragnienie zdaje się zachęcać nas do podania sobie rąk, do włączenia się w korowód rozwirowanych gwiazd, strumieni i drzew.

Naszą wyobraźnię ciągle porusza tamten obraz. Widzimy, jak tańczą jasni i wolni. Jedność jest ich czystością, a odzyskana

w sobie harmonia - powietrzem ich wólności. Jaki zeń czynili użytek w swoim zwyczajnym dniu, jak ją czytali w pochyleniu wygnanców, jak widzieli w gasnących oczach skazanych na śmierć, jak przyjmowali w godzinę ostatnich pożegnań? Te pytania są już z naszego czasu, z jakiegoś peknicia, którego nie da się przebyć roztańczonym krokiem ani ując ekstatycznym śpiewem wspólnoty. Ta wersja mitu, która nas teraz zajmuje, nie odpowiada na nie wyraźnie. Nie słyszemy tych pytań tak długo, dopóki nie przemówią do nas ży Orfeusz. Można by powiedzieć, że dopiero od jego bólu zaczyna się ten nasz wspólny z nim los.

Do tego czasu Orfeusz oddychający jasnością stworzenia, przeniknięty energią z każdym gestem odzyskiwanej harmonii, zdaje się oddać skargi zniewolonego, nie widzieć wdowej zgrzyoty, nie doświadczać rozpaczy osamotnionych; tych miejsc wydziedziczenia, w których jedyną siłą człowieka może być tylko dramatyczna świadomość wygnania, trućna do udawania Edypowa wola rozpoznania swego losu.

W świecie konsekwentnie orfickim dobra i zła nie obowiązują, gdyż być w Całości i być - Całością, to roztopić się w niej, oddać potęgę cudu wiecznej przemiany, która nieważnym czyni jednostkowy ból i przypadłość śmierci. W nim wszystkie oprowione jest w niepowtarzalność, w wirowanie czasu, który nie zna początku ani końca i w którym, w związku z tym, nie może być nic stałego, do czego można by odnieść zarówno rzeczy, jak czyny i zarządzenia. Tak też i przedstawiamy go sobie; jako upersonifikowaną radość bytu, uwodzieleński cud jedności, któremu na imię Piękno.

Orfeusz wstępuje do królestwa Hadesa z przekonaniem, iż obowiązują tam te same zasady, co i na ziemi. Idąc, wnosi z sobą to, co tak sprawdziło się w przestrzeni ziemskiego istnienia: podmiotowe jedność swej muzyki. Początkowo wszystko zdaje mu się sprządzec. Przejmująca pieśń przetamuje bezwzględny charakter boga umarłych, który pozwala wyprowadzić Eurydykę pod jednym jednakże warunkiem: Orfeusz zdążający z powrotem na czele skromnej grupy /obok Eurydyki szedł także Hermes/, nie może się za siebie obejrzeć.

A więc raz jeszcze potężna wiara w twórcze słowo wypowiedziące cudowność wszelkiego istnienia potwierdziła swą skuteczność. Wystarczyło położyć palce na lutni i zagrać. Zdawato się, iż stanawszy przed najważniejszą i zarszem najdramatyczniejszą próbą swego talentu, Orfeusz zdał egzamin celujący. Lecz ciemność zastała i tu nań swoją pułapkę. Nieprzypadkowo starożytni zwykli przedstawiać jej rzeczywistość w postaci labiryntu. Jeśli mit o Minotaurze, jak sądzi niektórzy, wypowiedzi najgłębszą zagadkę ludzkiej natury, to zapewne powstać musiał później niż interesująca nas opowieść, gdyż zdeje się już nosić w sobie pamięć i doświadczenie Orfeusza opuszczającego świat Tartaru. Otóż, co dla nas najważniejsze, Hades w czasie tego egzaminu w istocie sprawdzał nie tylko stwórczą potęgę Orfeuszowego słowa, lecz również jego moralną siłę; tę, która apeluje nie tyle do piękna w nas i poza nami, ile do przytomności naszego zmiennia. Próbie poddany został zarówno artystyczny talent Otagosowego syna, jak i, a może przede wszystkim, jego charakter. A ponieważ nie nawykł przydawać słowu moralnego znaczenia, wychodząc - począł wątpić w jego skuteczność. To była sztuka, w której nie zwykł się być ćwiczyć. W osłabłości - niepewny danego sobie słowa, odwraca się i gubi ukocheń.

On, poświęcający się całkowicie swojemu śpiewowi, nie wie, że nadszedł czas zupełnie innej gotowości: moment wyboru siebie innego, niż ofiara, która trzeba było złożyć władcy podziemi, składać si musiela z części tego, do czego przyzwyczaił się przyswajając najwłaściwą wagę: z wszechogarniającego, zawłaszczającego piękna. Teraz, nad nie, w drodze przez ciemność trzeba było przedłożyć de-

terminację wolnego sumienia, które rodzi się wtedy, gdy człowiek, ogłocoony, pozostając sam z sobą, szuka siły wytrwania w prawdzie swego kruchego istnienia. A czymże jak nie doświadczeniem owej znikliwości form życia było nagłe uprowadzenie Eurydyki?

Orfeusz, w próbie zgotowanej mu przez Hadesa, co warto mieć stale w świadomości, miał iść - nie oglądając się na innych. Nie oni mu byli przewodnikiem. Ocalenie umiłowanej kobiety uwarunkowane było tym, iż zdążać miał ku światłu poniekąd sam, jakby sochodząc w głąb siebie. Tam miał szukać siły umacniającej go na przedsięwziętej drodze. Na niej nie musiał się całkowicie wyrzeknąć swej sztuki. Była mu nawet pomocna. Idąc przodem, gra na lirze wskazywał ścieżkę swojej żonie. Jednakże sztuka w tym momencie nie była wszystkim. Nie mogła wystarczyć za wszystko.

Ktoś może powiedzieć, iż wszystkiemu winien okrutny Hades, lecz przecież niepodobna odmówić mu wrażliwości na piękno i świętejszej czułości wobec dramatu zakochanego Orfeusza. Daje mu przecież szansę, w której przewodnikiem, powtórzmy to jeszcze raz, miało być słowo, które tracki śpiewak miał uczynić własnym nie tyle potęgą swego poetyckiego talentu, ile mocą sumienia i charakteru. Orfeusz przystępujący przed oblicze Hadesa winien przecież wiedzieć, iż domeną, dziś powiedzielibyśmy raczej: epejalnością tego, który rządzi królestwem dusz, jest etyka, obszar nakazów i zakazów, sfera wyboru między dobrem a złem. To była ta nowa rzeczywistość, wśród której zabłądził nasz bohater. Nagle na owej podziemnej drodze kazano mu być artystą, któremu zabroniono jakby dobywać pewnych tonów; malarzem, któremu wydrapano kilka barw w paletcie, a który, mimo to, ma walczyć o swoje najprawdziwsze zaistnienie.

Ktoś inny powie, że to przecież bardzo ludzkie; Orfeusz tak kochał Eurydykę, że nie mógł wytrzymać, by nie sprawdzić, czy aby nie został oszukany. Może ona od początku nie szła za nim i rzeczywiście Hades dał fałszywe przyrzeczenie? Wydaje się, że raczej nie. Akcent winy wyraźnie położony jest na samym Orfeuszu. Światło mającej w oddali ziemskiej szczeliny pada przede wszystkim na niego. Odpowiedzialność jest tu najgłębiej indywidualna. Na tej drodze miłość nie może być jak dotychczas tylko ekstatyczna, ale i czujna. Jak cały człowiek. Jak każdy odtąd zdążający do wyzwolenia.

Orfeusz dotąd był wolny ładem ustanawianej przez siebie harmonii; teraz - miał być wolny ze względu na coś. Jego wolność została uzależniona od kogoś stojącego poza nim. Nikt mu dotąd nie stawiał jakiegokolwiek warunków. Jego piękno, tak jak i miłość, były bezinteresowne. Bezinteresowne było też jego istnienie, a tu - nakazano mu zrezygnować z części samego siebie, by odzyskać drugiego człowieka. W tej nowej dla siebie przestrzeni doświadczyć musiał niepewności, lęku, niewystarczalności samego siebie, by przejrzał się w nim zwyczajny ludzki los.

Zbliżając się ku powierzchni, jakby znów zagarnięty przez złudne światło wolności bez granic, odwraca się. Nie wiadomo, czy w tym momencie usłyszał krzyk przerażonej Eurydyki. W każdym bądź razie ciemność porwała ją bezpowrotnie. Powiada się, że nadaremnie Orfeusz dobijał się jeszcze do bram podziemi. Nikt po raz wtóry już go tam nie wpuścił. On, żyjący dotychczas w wiecznym teraz, poznał straszliwą nieuchronność śmierci i nieubłaganą jednokierunkowość upływającego czasu. Nie na darmo w końcowej partii mitu tak rozstrzygającą rolę odgrywa obraz rzeki, która unosi martwą, choć jeszcze śpiewającą głowę Orfeusza.

Odtąd cpowieść, jakby na grzbieciech rozedrganych fal, tylko raz po raz dzwięczy światłem tak boleśnie utraconej harmonii. Jednakże nie jest to już rzeka, za którą, jak sądzą niektórzy poeci, na powrót odzyskać będzie można zagubioną mowę gwiazd, ptaków i

kamieni. Bywa jednakże, iż utajona w niej pamięć niepostrzeżenie zagarnia nas, wyprowadza na stadiony, ulice i place pełne kolorowych karuzel imitujących roztańczony krąg uczestników orfickiego misterium, podczas gdy tuż obok płonie getto, słychać strzały lub trzask stoczniowych bram wyłazywanych przez czołgi. Coraz trudniej rozróżnić, czy to krzyk, czy ekstatyczny śpiew głoszący, iż znów "wszystko jest poezją" zaś to co naturalne - na powrót stało się zdobywcze i piękne. Żło roztopia się, zatracając swoje kontury w zawłaszczających obrotach rozwirowanych słów. Lecz gdzieś tam, z głębi ludzkiej wrażliwości dobiega głos. Przychodzi moment, kiedy poeta musi wskazać nieszczęściu kierunek, spojrzeć w twarz konkretnej nadziei, boleści czy poniżenia. I biała wówczas, jeśli nie wytrzymuje próby, posyłając Eurydykę z powrotem w ciemności. Jeśli gubi drogę do siebie. I wtedy najczęściej kończy tym, czym skończył syn króla Otagrosa i muzy Kaliope: rozszarpaniem przez menady. Szaletstwem i śmiercią.

1985

JERZY SEMEN

Jeźdźcy i twierdza

Wychylili się nagle, unosząc obłok kurzu.
 To był ich sztandar, wrocznia, święta księga obłędu.
 Zwycięstwo i cywilizacja.
 Łozce strachu wobec kamiennych twarzy.
 Drzenie jurt targanych wschodnim wiatrem.
 Swawolny śmiech dzieci historii zwiastujący erę lodowca.
 Ci, którym naznaczono obronę zamieniają się
 w piasek a potem w różę pustyni. Jak Twierdza.
 Wszyscy,
 przekonani o swojej chytrności.

"Moja mama, mój dom, moja Ojczyzna"

Poezja patriotyczna w wykonaniu dzieci

W sobotę do południa
 sala widowiskowa gdańskie-
 go Domu Harcerskiego

wieczorów - Między-
 Słonecznik

W ciągu półrocznej godziny

Maltretowanie dzieci w RFN

temat z uporem od
 Hrabę tę trzeba pomnożyć
 co najmniej przez 10, gdyż
 tylko skromny oświadczenie

g
k
h
C
k
h
d

Renegat i ci, co pozostali wierni.

Uwagi o książce Teresy Torafińskiej "Oni"

DWUGŁOWI

Książka Teresy Torafińskiej cieszy się niezwykłym zainteresowaniem czytelnika polskiego. Jego miarą jest przerwanie milczenia przez oficjalną prasę. W stosunku do wydawnictw niezależnych. Książka ta jest bowiem bardzo embarrasująca dla władz komunistycznych. Nie tylko dlatego, że byli promineanci odsłaniają wstydlive prawdy, które do dziś nazywa się oszczerstwami wrogów /np. wyznania Jakuba Bermana dotyczące wyborów/. Pokazuje także, że dzisiejsi przywódcy PRL muszą kneblować usta nawet własnym poprzędnikom, że nie pozwalają im na własną ocenę przeszłości i że tylko w piśmiennictwie niezależnym znajdują oni możliwość swobodnej wypowiedzi. Nie zamierzam formułować tutaj całościowej oceny. Spróbuję jedynie podzielić się swoimi refleksjami z lektury książki.

Myszę, że to wielkie zainteresowanie nie jest spowodowane jedynie względami aktualno-politycznymi. I nie tylko tym, że ukazuje ludzi, którzy w swoim czasie mieli znaczny wpływ na losy naszego narodu. Jest ona o czymś węższym niż ważnym dokumentem historycznym. Jest prawdą o ludziach uwikłanych w historię i politykę.

Wbrew tytułowi, zresztą znakomitemu, książka Teresy Torafińskiej nie jest prezentacją ludzi jednego gatunku, to znaczy komunistów. Tytuł "Oni" jest bowiem dwuznaczny i ścisły tylko w pierwszym swoim znaczeniu. "Oni" to ludzie, którzy trzydzieści parę lat temu zajmowali kluczowe miejsca w elicie władzy PRL. Ale na szczęście drugie znaczenie tytułu nie jest zgodne z jej zawartością. W tym drugim znaczeniu "Oni" to ludzie o poglądach komunistycznych i dlatego nie może być odniesione do być może najbardziej interesującego jej bohatera, a mianowicie do Stefana Staszewskiego. Krzywdzimy Stefana Staszewskiego jeżeli zaliczamy go do "Nich". Odnosi się do niego sens pierwszy, ale nie drugi.

To właśnie odmiennosc dróg bohaterów nadała książce Teresy Torafińskiej dramatyczny wymiar i wielostronność. Stefan Staszewski i Jakub Berman to niewątpliwie dwie główne jej postaci. Ci dwaj ludzie tak bliscy niedługo sobie swoją komunistyczną przeszłością i pozycją w elicie władzy prezentują oceną tych samych spraw jako ludzie całkowiec sobie obcy i na te same pytania dają przeciwstawne odpowiedzi. Ten fakt jest krzepiącym serce, jeszcze jednym dowodem na to, że fałszywe są wszystkie determinizmy głoszące, że to sytuacja jednoznacznie kształtuje osobowość jednostki. Jak zachować się wobec przemocy? Odmiennosc losów dwóch polskich komunistów pokazuje, że dopóki człowiek żyje - wszystko jest możliwe. Stefan Staszewski zerwał z komunizmem jako jedyny z bohaterów. Deklaruje to otwarcie. Prezentowane przez niego fakty i komentarze demaskują nieszczerosc i niespójność argumentacji osób pozostałych. Ta konfrontacja dwóch sposobów myślenia, dwóch jakże odmiennych rozrachunków, jest dla mnie najcenniejszym walorem intelektualnym tej książki.

Obydwaj główni bohaterowie ponoszą klęskę polityczną i muszą przejść na pozycje kibiców niemal w tym samym czasie. Przegrywają obydwaj, choć byli w swej ostatniej grze adwersarzami. Ale te dwie klęski są bardzo od siebie różne. Różne są ich przyczyny, różne też są ich skutki dla każdego z nich. Stefana Staszewskiego zgubiła radykalna herezja wobec przyjętej ideologii. Jakub Berman musiał zapłacić za oalkowite posłuszeństwo wobec każdej linii politycznej wielkiego suwerena. Niełatwo znaleźć bezpieczną drogę w komunistycznym labiryncie. Stefan Staszewski odrzucił podstawowy dogmat komunisty - dogmat wierności absolutnej i to otworilo mu drogę do prawdy o sobie, i prawdy o czasie historycznym. I można dostrzec u niego ten wysiłek poszukiwania. Trzeba powiedzieć, że to co mówi, ma największą wartość informacyjną. Jego anegdoty odsłaniają prawdę o systemie i ludziach tego systemu. Są to fakty demaskujące, przeważnie ostre i bezlitosne, ale wiarygodne. Oczywiście i taką postawę można

uważać za nieszczęsą grę. I takie podejrzenie przebija, tak mi się wydaje, z niektórych pytań Teresy Torzańskiej. Podstawą wątpliwości jest prawdopodobnie następujące pytanie: Jak człowiek, który był na Kozymie, mógł nadal wierzyć w prawdę komunizmu i robić w Polsce to, co temu czyniono tam? Jeżeli był zakłopotany, budując nowy ustrój po powrocie stamtąd, to nie powinniśmy mu wierzyć i teraz. Ten właśnie wniosek wydaje mi się fałszywy. Uważam za wiarygodne oświadczenie Staszewskiego, kiedy stwierdza, że jeszcze na początku lat 50-tych wierzył, że da się zbudować nowy, lepszy model socjalizmu i że stosowanie przemocy jest w tym dziele niezbędne. I dopiero doświadczenie polityczne lat powojennych spowodowało zakłamanie się tej wiary. Choć nowy porządek w Polsce po 45 roku był niewątpliwie bardziej znosny niż okupacja hitlerowska, to jednak stawalo się coraz bardziej jasne, że jak sam mówi: .."ta możliwość jest fatalna i nie może ewoluować w pozytywnym kierunku" /s.79/. Cytuję to zdanie, bo jest ono według mnie, trafny opis sposobu myślenia wielu ludzi zaangażowanych w ruch komunistyczny, choć wśród starych komunistów o takiej jak Stefan Staszewski przeszłości postawa taka po wojnie była stosunkowo rzadka. Jest jeszcze jedna postać, co do której też można sądzić, że to co mówi, mówi szczerze. Myślę tu o Julii Mincowej. W przeciwieństwie do Staszewskiego zachowała ona wiarę w komunizm i nie jest niemożliwe, że jej groteskowe opinie wygłaszane są w dobrej wierze.

Trudno natomiast uwierzyć w szczerość wyznań Jakuba Bermana. Mimo ciężkiego osobistego doświadczenia deklaruje się jako komunista wierny do końca swojej idei, a mając zastrzeżenia tylko do niektórych sposobów jej realizacji. Nie dostarcza on nam zbyt wielu nowych interesujących faktów, a jego opinie o ludziach cechuje łagodność i wyrozumiałość. A jednak opinie i oskarżenia Staszewskiego brzmią szczerze, a łagodność i wyrozumiałość Bermana nie budzi zaufania. Zilustrujmy tę różnicę przytaczając ich wypowiedzi zawierające charakterystykę rywala.

Berman o Staszewskim:

"Człowiek pęknięty, próżny, gorliwie wykonujący wszystkie zlecenia, produkt wielkiego kryzysu. Staszewski przeszedł swoje, podobno w obozie /były takie wersje/ nie zawsze zachowywał się na poziomie, ale nie mam powodów kwestionować jego uczciwości. W 1956 r. wybuchł na pierwszej linii frontu i potem miał z tego powodu przeróżne perypetie" /s.202/.

Staszewski o Bermanie:

"/Berman/ Zapytał, dlaczego w tak ostry i kategoryczny sposób wystąpiłem przeciwko niemu. Powiedziałem: no, trudno, wiecie, że całym swoim postępowaniem zaskrzydziliście na potępienie. Tym bardziej, że wiedzieliście, że zarzuty, które formułowaliście w stosunku do wielu ludzi są zarzutami nieprawdziwymi... wydałiście swoich przyjaciół i znajomych; no to trzeba za to odpowiedzieć. Berman płacząc zrasztą, po raz pierwszy widziałem go w takim stanie, powiedział łkając: ja sam chodziłem ze stryczkiem na szyi, wiedziałem, że przedęć czy później pójdę na szafot... powiedziałem...nikogo nie może usprawiedliwić fakt, że sam był zagrożony" /s.98/.

Charakterystyka podana przez Bermana jest gołoszowna, niejasna /wybuchł na pierwszej linii??/, szkalująca, przy pozorach obiektywności i wyrozumiałości. Jeżeli gorliwość w wykonywaniu rozkazów jest zarzutem /Berman jest tu dwuznaczny/, to zarzut ten o wiele lepiej pasuje do Bermana. Staszewski miał przecież odwagę powiedzieć "nie" i w tej postawie wyróżniać. Sam Berman potwierdza swoimi wypowiedziami zarzut gorliwości własnej i co gorsza, próbuje nas przekonać, że postępowanie to było słuszne.

W porównaniu z Jakubem Bermanem Edward Ochab może wydawać się naiwnym prostaczkiem, ale nawet on potrafił podejmować decyzje, które wymagały odwagi. Berman nie może powołać się na żaden taki fakt. Tłumaczy się zawsze tak samo. Posłuszeństwo całkowite zapobiegało większemu znu. Łatwo przewidzieć, że nasi dzisiejsi butni wielkorządcy będą powtarzać te właśnie frazesy gdy utracą władzę.

Posłuchajmy wywodów Jakuba Bermana w sprawie najważniejszej dla Polaków, w sprawie niepodległości Polski.

"Prawdą jest, że jeszcze w 1942 i na początku 1943 lansowano koncepcję 17-tej republiki /t.zn. wcielenia Polski do ZSRR/. Wyznawczynią jej była m.in. Zofia Dzierżyńska. Naturalnie, ja się z nią nie zgadzałem. Mogłem jednak - nie chcąc być posądzonym o nacjonalizm - swoje stanowisko argumentować względami międzynarodowymi. Zabrałem głos dopiero na początku 1943, kiedy ta sprawa zaczęła dojrzewać" /s.190/.

Widzimy zatem, że komuniści polscy do 1943 nie wysuwali w ogóle postulatu niepodległości Polski. Nie przeszkodziło im to zresztą założyć wkrótce Związek Patriotów Polskich. Towarzysz Berman zaczął więc nie zgadzać się z Zofią Dzierżyńską dopiero wtedy, gdy sprawa z a c z e ł a d o j r z e w a ć, to znaczy mówiąc jasno i brutalnie, kiedy Stalin postanowił takie hasło wysunąć ze względu na sytuację międzynarodową i postawę walczącego narodu.

Wypowiedzianym wyżej słowom towarzyszą na tej samej stronie opinie jaskrawo z nimi sprzeczne. Oto jacy byli towarzysze radzieccy:

"Oni chcieli nam pomagać, radzić, a nie ingerować w wewnętrzne sprawy. Polska miała być przecież samodzielna. I chcieliśmy tego nie tylko my, ale także Stalin. Jeszcze w maju 1943 r. odpowiadając na pytanie dziennikarzy New York Times'a, czy życzy sobie istnienia silnej, niepodległej Polski, odpowiedział, że życzy sobie bezwarunkowo" /s.190/.

To sformułowanie wybitnego komunisty, o którego intelektualnych walorach tyle pisano, zasługuje z pewnością na uwiecznienie. Dowodem woli Stalina zbudowania Polski niepodległej jest to, że tak powiedział do dziennikarzy amerykańskich. I to mówi z całą powagą człowiek, który uważa się za polityka i który miał okazję poznać trochę charakter towarzysza Stalina. A swoją drogą dość zabawnie brzmi wyznanie, że obawiał się mówić o niepodległości Polski aby nie być posądzonym o nacjonalizm. Na stwierdzenie Teresy Torañskiej, że w Manifestie Lipcowym PKWN deklaruje uroczystie przywrócenie wszystkim swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli bez różnicy rasy, wyznania i narodowości, wolności organizacji politycznych, zawodowych, pracy i sumienia, Berman odpowiada:

"Fani nie uwzględnia czynnika czasu, w którym dokument ten był powoływany... Tak trzeba to było zapowiedzieć z uwagi na sojuszników alianckich i interesy koalicji. Potem założenia nacjonalizacji zmodyfikowaliśmy... myśmy mówili różnie o wielu sprawach, ale w różnych okresach" /s.210/.

Tę argumentację, tak dobrze nam znaną i dziś z wystąpień Jerzego Urbana, podawaną z wyniosłą miną wyższego wtajemniczenia i pobłażliwością wobec naiwnych prostaczków, Staszewski kwituje jednym krótkim zdaniem:

"Wcześniej władza rozdała ziemię i powiedziała: gospodarujcie spokojnie, spółdzielni nie będzie. Ale Stalin w pewnym momencie postanowił, że dobrze, dobrze, wcześniej tak trzeba było mówić, ale już czas, by mówić i robić inaczej" /s.91/.

I po słowach potwierdzających fakt cynicznego oszustwa wobec narodu Berman oświadcza, że terror rządów komunistycznych spowodowany

był nierealnymi i niestusznymi marzeniami o Polsce mocarstwowej, a nie pragnieniem życia w wolnej Polsce i że niestety są to marzenia większości Polaków. Taki to zepsuty naród. Przedstawiła rządzący komunistyczne jako rodzaj terapii przeciw megalomani narodowej, z której Polacy muszą zostać wyleczeni nawet przemocą. W sposób prosty odwraca porządek przyczyn i skutków. To terror i łamanie podstawowych praw zrodziło opór. I jest rzeczą zadziwiającą, że Jakub Berman rzuca w ką własne doświadczenie. Sam mówi, że terror dotykał również takich jak on, którzy nie tylko nigdy nie stawiali oporu, ale wiernie i gorliwie realizowali najwyższą wolę. Przeciwnie własne doświadczenie dawało mu pewność, że nawet absolutna wierność nie gwarantuje bezpieczeństwa. I nigdy zapewne nie przyszło mu do głowy, że własne ocalenie zawdzięcza, być może, oporowi tego narodu, którego naturę tak pragnął zmienić, zgodnie z wolą tego, który zamierzał być jego oprawcą.

Ale nawet nie to, co zostało do tej pory powiedziane, budzi największe zdumienie. W ostatnich słowach swoich wyznań Berman stwierdza:

"Jestem jednak przekonany, że suma konsekwentnie i umiejętnie prowadzonych przez nas działań przyniesie w końcu efekty i stworzy nową świadomość Polaków... nastąpi wreszcie przełom w ich mentalności, który da zupełnie inną treść i jakość. A wtedy my komuniści będziemy mogli zastosować wszystkie demokratyczne zasady, które chcielibyśmy stosować, a których stosować teraz nie możemy, bo skończą się naszą przegraną /s. 256-257/.

Jeden tylko moment tej wypowiedzi zasługuje na uznanie. My komuniści nie mamy nic wspólnego z demokracją, bo naród jest przeciwko nam. Tym razem Jakub Berman wykroczył poza normalną obłudę obowiązującą komunistę.

Słuchając tych słów człowiek zachodzi w głowę jak to jest możliwe, że jednocześnie można tłumaczyć się, że żaden protest wobec zbrodni nie miał szans i twierdzić, że jest się aktywnym współtwórcą najbardziej ambitnej przebudowy własnego narodu i całego świata. Jak można jednocześnie głosić i praktykować najędźniejszy "realizm polityczny" i jednocześnie uważać się za rewolucjonistę. To o takich ludziach pisze Aleksander Sołżenicyn:

"Nie pojmując nic od samego początku, nie rozumiejąc co znaczy to aresztowanie, śledztwo, te wszystkie wypadki dziejące się wokół, będą teraz - przez upór, z obowiązku wierności /albo z poczucia zagubienia/ na całym tym szlaku uważać się za Prometeusza, będą twierdzić - że tylko oni wiedzą o co chodzi" /Arch. T. II, s. 290/.

Na trop właściwego wyjaśnienia tej zagadki wprowadza nas sam Berman, nie pojmując wszakże jak kompromitujące dla komunisty jest takie wyjaśnienie. Nie jestem jednak pewny czy pasuje ono do samego autora:

"Rzeczywiście trzeba było wtedy /w czasie czystek stalinowskich/ wykazać dużo hartu i oddania sprawie, żeby polubić, mimo wszystkich wypaczeń, krzywd i udręk" /s. 165/.

Kto wszedł na taką drogę, ten mógł już tym mocniej wierzyć, im więcej faktów tę wiarę podważało. Jest to świecka wersja zasady "credo quia absurdum" i oznacza wyrzeczenie się rozumu i osądzie świata przyrodzonego, bo porządek społeczny jest z tego świata. Jest to postawa Abrahama, ale nie w stosunku do Boga, ale Lewiatana. Zdumiewającą cechą naszych czasów jest to, że tę bałwochwalczą degenerację uczuć religijnych nazywa się teorią naukową i kluczem do zrozumienia całej rzeczywistości.

Mówiąc o książce Teresy Torzańkiej, nie sposób przemilczeć niektóre stwierdzenia zawarte w słowie wstępnym Jana Bujnowskiego. Zdumiały mnie one, bo są świadectwem całkowitego niezrozumienia głównego przesłania myślowego książki. Jan Bujnowski pisze, że prezentowani bohaterowie zachowują się w sposób godny. Niestety ocena ta jest całkowicie gołosłowna, a faktów, które jej przeczą, czytelnik znajdzie bez liku. Na określenie takie zgodziłbym się może tylko w jednym przypadku - Stefana Staszewskiego. Nie można nazwać godnym zachowania ludzi, którzy jak powiedział Solżeniczyn:

"tak dobrze widzą swoją krzywdę - a nie widzą wcale swojej winy" /Arch.T.II, s.285/.

O ludziach tych można powiedzieć raczej to, co Gustav Herling - Grudziński pisze o Rubaszowie /z książki Koestlera/:

"Nie jest postacia naprawdę tragiczna, prędzej zgranym graczem rewolucyjnej władzy, dość nikczemną figurą zagnaną w potrzask własnej filozofii, wyzwolonego z wszelkich ludzkich i boskich więzów rozumu" /"Dziennik pisany nocą", 1980-83, s.256/.

Nie wiem doprawdy na jakiej podstawie autor słowa wstępnego heroizuje bohaterów. Ani ich zachowanie w przeszłości, ani ich wypowiedzi dzisiejsze nie potwierdzają jego opinii. Ale to nie wszystko. Autor wstępu ryzykuje tezę jeszcze bardziej śmiałą. Mówiąc o katastrofie politycznej i społecznej Polski po 1945 stwierdza, że stało się tak, chociaż na pewno: "Bierutowi nie brakło patriotyzmu, a Mikołajczykowi realizmu". Cóż można powiedzieć o takiej opinii? Jeżeli Bierut był patriotą, to chyba każdy człowiek może być patriotą. A każdy może być patriotą tylko przy takim sensie tego słowa, że patriotą to ten co sam się za patriotę uważa. Wtedy patriotą jest każdy lub prawie każdy, bo jak pisze Kożakowski "niewiele jest ludzi, którzy mają pełną świadomość że są ładakami. Typowi, nie zaś wyjątkowi, są ludzie, którzy mają poczucie, że działają w imię szlachetnych celów" /Aneks nr 37, s.48/. Takie poczucie mieli zapewne członkowie Związku Patriotów Polskich w ZSRR, Bermbana nie wyłączając.

Myślę, że te uwagi wystarczą i nie ma już potrzeby analizowania realizmu Stanisława Mikołajczyka, chociaż i w tej materii byłoby co nieco do powiedzenia.

Samousprawiedliwienie było głównym celem bohaterów książki Teresy Torzańkiej. Sądzę, że tylko jednemu z nich udało się odnieść tu pewien sukces. Pozostali dopisali dodatkowe negatywne rozdziały do własnej biografii.

A.T.

Spotwarzony?

z historii pisarzy [...]

W 1967 r. Kazimierz Dejmek, jak sam mówił "po wielu lekturach i przemyśleniach", wyszedł ze śmiałości i ryzykowną, "delikatną" propozycją uczczenia 50 rocznicy rewolucji październikowej wystawieniem "Dziadów". Propozycję ministerstwo zaakceptowało i w drugiej połowie czerwca Teatr Narodowy w Warszawie przystąpił do prób.

"W czasie trwania prób - dalej Dejmek - zaczęło koło nas trochę szumieć od ploteczek i sensacyjek. Kiedy na próbie dla cenzury zjawił się tylko jeden trzeciorderny cenzor, już wiedziałem, że coś jest naprawdę źle, do premiery jednak deszło. Przedstawienie było jednym wielkim triumfem Holoubka i publiczności. Holoubek grał tę rolę tak, jak się czytuje o granii Eleonory Duse, Jermolowej czy Salvinię. Publiczność też była na najwyższym światowym poziomie, natchnął ją Holoubek, Stopka, aktorzy, czas i chwila osobliwa, jej znakiem widomym była Praska Wiosna, a u nas beznaciejzyna stagnacja, obumarcie społeczne, na tle którego zwawo uwijali się moczarowcy czy partyzanci" / "Marzec 68. Sesja na UW 1981", Nowa, s.10/.

Atmosfera była ciężkawa już wcześniej, gdy zaczęła się "Sprawa" Państwowego Wydawnictwa Neukowego i "Wielkiej Encyklopedii Powszechnej", a z początkiem wojny izraelsko-arabskiej /czerwiec/ zaczął krystalizować się wyraźniej nurt "oczyszczania szeregów z elementów syjonistycznych" i np. dostrzeżono w WEP Jerolimie jako stolicę Izraela, skasowane z planu wznowienie w Czytelniku "Wojny żydowskiej" Henryka Grynberga etc. Ale były to tylko pomruki przed burzą.

Premiera "Dziadów" odbyła się 25 listopada - przyjęta entuzjastycznie przez publiczność i nawet część krytyki, ale nie przez czynniki partyjne. Obecni na premierze Kliszko i Spychalski - prawdopodobnie oni - uznali sztukę za antyrosyjską i antyradziecką - zarazem, polecone ograniczyć przedstawienia. Tęga nie doko się ukryć. Wokół "Dziadów" narastała atmosfera ekscytacji. Mimo, że delegacja radzieckich pisarzy uznała za służbne wystawienie tychże "Dziadów" w Moskwie, powszechna opinia głosiła, że ich zajęcie z afisza zostało spowodowane interwencją ambasady moskiewskiej. W dniu 30 stycznia 1968 odbyło się ostateczne przedstawienie. To był poszukiwany od miesiący detonator nastrojów.

Helena Zatorska, jedną z figur w ówczesnym ministerstwie kultury, pisze we wspomnieniach:

"Nie wiem po dziś dzień, kto nacisnął guziczek, dając hasło do marcowych niepokojów. Wydaje mi się, że działały tu jakieś dwie siły. Zdjęcie z afisza "Dziadów" było prowokacyjne /podkr. AT/, a przeciw resort nasz miał dostateczną uprawę w wygaszaniu niedogodnych spektakli /zmiana programu, choroba aktorów itd./, aby nie powodować takiej sensacji..." / "Specja smugi cienia", Wyd.Lit., 1985, s.453/.

Zatorska może i nie wie, jednak wiele wskazuje na to, że sam Gomulka. "Sądzę, że Gomulce - nie tylko w związku z Praską Wiosną - był na przełomie lat 1967-1968 potrzebny detonator, który by mu pozwolił bezkarnie i bezpiecznie rozprawić się z liberalnie nastawioną inteligencją, z opozycjonistami wewnątrz aparatu władzy, awsytko jedno czy spod znaku rewizjonizmu, czy konserwy. Chodziło mu o wywołanie ekscytacji społecznej dla spolarzowania sił, o wywołanie poczucia zagrożenia interesów Polski i Polaków, i w efekcie - o dokonanie przegrupowań" /Dejmek, jw., s.20/.

W dniu 29 lutego na pisemny wniosek 233 pisarzy odbyło się nadzwyczajne walne zebranie Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich. Przygotowane były dwa projekty rezolucji. Projekt partyjny i projekt opracowany przez Andrzeja Kijowskiego.

Po długotrwałej dyskusji odbyło się tajne /na wniosek Pawła Jasienicy/ głosowanie nad obu projektami. Zdecydowaną większością głosów przeszła rezolucja Kijowskiego. Wskazywała ona na mnożące się ingerencje i represje cenzuralne; czego m.in. przykładem było zdjęcie "Dziadów", i domagała się ich przywrócenia. We wcześniejszej dyskusji za tę rezolucję wypowiadał się m.in. Paweł Jasienica, dodając, że jest hańbą rozrzucanie na terenie uniwersytetu ulotek antysemitycznych /pokazywał ich egzemplarze/. W trakcie zebrania przed siedzibą literatów pojawili się "aktywiści klasy robotniczej" z niewyznaczonymi zamiarami. Dzięki interwencji Jerzego Putramenta nie doszło do wtargnięcia ich na salę obrad. Zebranie jednak zostało zawieszane.

Nazajutrz rozpętała się nagonka na pisarzy. M.in. POF Oddziału Warszawskiego uchwaliła wydalenie z ZLP Pawła Jasienicy, Stefana Kisielewskiego i Jentarego Grzędzińskiego i ogłosiła je w prasie. W Dniu Kobiet doszło do manifestacji studentów na terenie Uniwersytetu Warszawskiego, wypędzonych - znów przez "aktyw robotniczy" - poza teren uniwersytetu, na ulice. Tam już zajęła się nimi milicja. Fala demonstracji studenckich przetoczyła się przez wszystkie większe ośrodki akademickie kraju. Ruszyła lawina "spontanicznych" protestów klasy robotniczej przeciw nim, piarcom, naukowcom. Rozkręciła się machina, jak powiada Jerzy Jedlicki, "organizowania zbiorowej nienawiści", szczucia jednych przeciw drugim. Rozpoczęły się czystki.

Wreszcie na zebraniu "aktywu partyjnego" w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki sam zdaje się "architekt" całej akcji odsłonił jej dotąd ukryte, wrogie oblicze. Nas tu interesuje zaledwie jeden passus tej żłobkowej mowy /nawiasem: passus wycenzurowany w książkowych wydaniach przemówień Gomułki/, mianowicie dotyczący Pawła Jasienicy. Gomułka perswadował:

"Zarówno w przygotowaniu zebrania warszawskich pisarzy i jego przebiegu, jak i w inspirowaniu i organizowaniu młodzieży akademickiej do wystąpień rzekomo w obronie "Dziadów" i twórczości Mickiewicza, jedną z czołowych ról odegrał Paweł Jasienica. Jego prawdziwe nazwisko brzmi inaczej. Nazywa się on Leon Lech Beynar. Co to za osobnik?

W lipcu 1948 roku Paweł Jasienica został aresztowany w Krakowie. W toku śledztwa udowodniono mu przynależność do bandy "Lupaszki", do której wstąpił po zdezerterowaniu z Wojska Polskiego i w której pozostawał do sierpnia 1945 roku, pełniąc początkowo funkcję adiutanta, a następnie zastępcy dowódcy bandy. Banda ta grasowała na terenie woj. białostockiego, dokonywała z bronią w ręku napadów na posterunki Milicji Obywatelskiej i na ludność cywilną podejrzaną o sympatyzowanie z Polską Partią Robotniczą.

W szczególności w śledztwie zebrano dowody wskazujące na to, że Jasienica w kwietniu 1945 roku, kierując grupą, dokonał napadu na miejscowość Narewkę, podczas której /sic./ rozbrojono kilku milicjantów i zrabowano broń z posterunku Milicji Obywatelskiej, zamordowano czterech członków Polskiej Partii Robotniczej i obrabowano spółdzielnię. W tym samym miesiącu kierowana przez Jasienicę banda wykonała wyrok śmierci na mieszkańcu wsi w okolicy Puszczy Białowieskiej oraz dokonała napadu na 20-osobową grupę Związku Walki Młodych, których rozebrano do naga i dotkliwie pobito. Również w kwietniu 1945 roku Jasienica i jego grupa dokonała napadu na posterunek Milicji Obywatelskiej w Bołkach, powiat Bielsk Podlaski, podczas którego zamordowano kilku funkcjonariuszy.

Ponadto w rejonie Puszczy Białowieskiej Jasienica uczeatniczył w spaleniu wioski, zamieszkałej przez ludność białoruską, a nieco później w napadzie na spółdzielnię w Siemistyczach oraz w dwóch napadach na oddziały Wojska Polskiego i Armii Radzieckiej. W wyniku tych napałów zabito kilkunastu żołnierzy.

W toku śledztwa Jasienica przyznał się, że działał w bandzie "Łupaszki" i że dopuścił się zarzuconych mu zbrodni. W dniu 3 maja 1949 roku śledztwo przeciwko Jasienicy zostało umorzone, z powodów, które są mu znane. Został on zwolniony z więzienia. Należy dodać, że "Łupaszko" i wielu członków jego bandy zostało aresztowanych i skazanych przez sąd na kary śmierci" /"Trybuna Ludu", 20 III 1968/.

Poziom tej smutnej mowy politycznej - według Dejmka - "jest to poziomy raport Makrota do Wielkiego Księcia Konstantego, w których to Makrot między innymi donosił, ile i jakiej treści napisy w publicznych wychodkach się pojawiały. Tak by można określić przynajmniej ten fragment, który odnosił się do Jasienicy" /"Marzec 68", jw., s.21/. Trudno tej opinii przeczyć.

To był więcej niż sygnał do bezprzykładnej nagonki na Jasienicę, to - przyzwolenie na samosąd publiczny. Oczywiście, znaleźli się chętni.

I tak niejaki Gomulski rozpracował "sprawę Jasienicy" w aż czterech numerach "W Służbie Narodu" /było to wówczas pismo do użytku wewnętrznego MO i SB, dziś leży po kioskach/, udostępniając w ten sposób cywilnym harcomownikom ubeckie materiały śledcze. Czy prawdziwe - okaże się. Ruszył czekający na takie okazje Ryszard Gontarz /"Trybuna Mazowiecka" i "Walka Włodych"/. Najwięcej jednak złego zrobił Klaudiusz Hrabek, którego artykuł za "Żołnierzem Wolności" akwapliwie przedrukowało szereg gazet partyjnych, roznosząc potwarze na cały kraj. Hrabek zupełnie trafnie wypunktował gomulzkowską insynuację: oto Beynar, aresztowany w Krakowie razem z "Łupaszka" /co jest nieprawdą/, wyszedł na wolność, podczas gdy inni zostali osadzeni i straceni: "został wypuszczony na wolność, o których Władysław Gomulka powiedział krótko: =z powodów, które są mu /Jasienicy/ znane-. Musiały to być powody chyba zupełnie szczególnego rodzaju". Czytaj: poszedł na współpracę z UB, a pewnie i zasypał wszystkich. Cóż, uderzenie celne, nie do obrony, bo sprawdzić się nie da, a wiadomo powszechnie, że współpraca z bezpieką to najnikczemniejszy z nikczemnych uczynków, jakich może dopuścić się Polak. /Nawiasem: władza, która bezustannie podkreśla, jak wielkim szacunkiem społecznym cieszą się te organa, nie waha się w chwilach nagłej potrzeby odwołać do powszechnych społecznie odczuw w tej mierze, do kładnie przeciwnych/.

Skarcony ostro m.in. przez Radio Wolna Europa Hrabek replikował: jeśli ja kłamię, niech mnie Jasienica pozwie do sądu o zniesławienie. Tak, o to właśnie chodziło. O sprowokowanie Jasienicy do wstąpienia na drogę sądową, do odgrzebywania przedawnionych akt, szukania dowodów niewinności tam, gdzie ich oczywista być nie mogło. W tych bowiem latach, a i w późniejszych, do dziś właściwie, UB nie bawilo się w udowadnianie komukolwiek winy. Wina była z góry wiadoma, a dowody - fabrykowane. /Podobnie prowokowany był ostatnio Lech Wałęsa - do skarżenia wiadomych organów w sprawie słynnej taśmy z rzekomej rozmowy z bratem/. Jasienica nie dał się sprowokować i nie skorzystał z zakłamej oferty zamknięcia ust oszczercy /a tym samym Gomulce/ wyrokowi sądu o

najwyższej bodaj w świecie /poza ZSRR/ niezawisłości. Przesłał jedynie do Zarządu Głównego ZLP i PEN-Clubu a także najbliższemu przyjacielom list, w którym odpowiadał na stawiane mu zarzuty. List ten, nie skłamany ani w jednym słowie, przytaczam dalej in extenso. Sądzę, że wystarczająco objaśnia "działalność leśna" Jasienicy.

Pozostaje do wyjaśnienia pomówienie o współpracę z UB. Otóż pod datą 26 lutego Leopold Tyrmand zapisał w "Dzienniku 1954" m.in. pewnego rodzaju skołowacenia własne związane z Jasienicą /którego znał osobiście/. Odnosił w "Trybunie Ludu" pochlebny recenzję z "Białego frontu", co wg niego wróżyło nagrodę państwową, Skołowacenie Tyrmanda wzięło się stąd, że przecież przed paru laty, pamięta, Jasienica ledwie wykręcił się od "krawata". A teraz takie fory?

Tyrmand:

"Okolo 1954 Jasienica został aresztowany i jego prawdziwe nazwisko Lech Beynar pojawiło się w sprawozdaniu z procesu sądowego. Była to impreza klasyczna: w komunistycznym żargonie oskarżycielskim, który -oni- uważają za język potępienia i pogardy, zaś reszta Polski używa do ostrożnych, jadowitych dowcipów, Jasienica został krwawym zbirer reakcji, mordercą, podpalaczem, kims jeszcze z tego repertuaru. Był to proces pozostałych przy życiu członków komendy wileńskiego A.K., którzy po zalewie Polski przez Bolszewików nie złożyli broni, lecz kierowali oddziałami na północy kraju. Podsądni z takich procesów są później oglądani już tylko w formie pamiątkowej fotografii, lecz Jasienica zjawił się po jakimś czasie w Warszawie. Nikt się więc za bardzo nie zdziwił, że nazwisko jego ukazało się od razu w łamach "Dziś i Jutro", organu Bolesława Piaseckiego. Fakt, że Jasienica należał do tego co komunisti zwą "leśnymi bandami", a co jest sprawą nieodwołalnie gardkową, wykluczał jego powrót do "Tygodnika" /Powieźnego- przyp. AT/. Że zaś u Piaseckiego jest mnóstwo takich co głośno przyznają się, że mordowali radzieckich partyzantów, a dziś siedzą na dobrych posadach w centrum Warszawy, o tym się wie, bez pudła" /s.233-234/.

Tyrmandowe domniemanie /"Czyżby Jasienica przeżył przełom? Szczerze i głęboko poznał nową prawdę? Olsniło go i uwierzył"?/ okazały się jednak zupełnym pudłem. Na dodatek - opartym na przeinaczonych faktach. Jasienica nie został aresztowany w 1950, a w 1948 roku i w tym samym zwolniony /śledztwo umorzono później/. Nie był sądzony w procesie Mobilizacyjnego Ośrodka Wileńskiego Okręgu Armii Krajowej; ani jego nazwisko, ani pseudonim literacki nie pojawiły się w sprawozdaniach prasowych z tego procesu. Skąd zatem te informacje wziął Tyrmand w roku 1954? Być może po aresztowaniu Jasienicy "poszły dymy" po środowisku, może jednak cytowany passus został przez Tyrmanda dopisany po roku 1968? Wątpliwości jest więcej, pozostaje wazelako faktem, że Tyrmand po swojemu "dokończył" Jasienicy, mianowicie wysługiwanem się u Piaseckiego. Tu jednak, pomijając niepotrzebne jadowitości, trafił. To Piasecki bowiem wyłęgnał Lecha Leona Reynara spod szubienicy. Ale - trzeba dodać - nic by Piasecki nie zdziwił, gdyby przeciw Beynarowi bezpieka miała poważne dowody, gdyby jej był do czegoś potrzebny. /Oczywista, wystarczyłyby cienie dowodów lub dowody sfingowane by go skazać, gdyby się nikt oń wpływowo nie upomniał/.

Proces Mobilizacyjnego Ośrodka Wileńskiego Okręgu AK został doprowadzony w innym kierunku niż ewentualne "winy" Jasienicy /zresztą nie miał on z ośrodkiem nic do czynienia/. Ludzie ci od-

powiadali nie tylko za zorganizowanie po wojnie owego ośrodka, co... za działalność, kiedy ten jeszcze nie istniał, za przynależność do Armii Krajowej na wileńszczyźnie, która jakoby nie robiła nic innego, jak tylko na polecenie gestapo i za pieniądze Londynu morowała "polskich patriotów" i "radzieckich partyzantów" /jak widać Tyrmand dobrze zapamiętał "ton" sprawozdań procesowych/w Białostocczyznę, owe Narewki, Boćki, Siemiatyże - w ogóle pominięto w procesie. Przy takim rozkładzie akcentów "Nowina" - pseudonim okupacyjny Jasienicy - był mało ważny, prawie że niepotrzebny i stąd zapewne sukces zabiegów Piaseckiego, i takie byłyby powody wypuszczenia Jasienicy na wolność w 1948 roku.

Paweł Jasienica zmarł, nie zrehabilitowany publicznie, 19 sierpnia 1970 r. Do grobu odprowadzały go nieprzebrane tłumy. Mało komu zdarza się tak dokładnie dzielić losy narodu, "jego walki, twórczej chwały i niestety również jego krzywdy i poniżenia" - mówił nad grobem Jerzy Andrzejewski. Zabierać do grobu nie - okrom milczenia. Milczenia człowieka znikczemionego w publicznej opinii. Można by pisać o godności milczenia, wysokości milczenia. Po co? Nie napisany tekst znały tłumy, które przyszyły go pożegnać.

I dlatego też nie można zgodzić się z opinią Andrzeja Brauna: "Tym, co najbardziej mną wstrząsnęło po dokonaniu w Jasienicy publicznym, a przeciwieństwowym, moralnym samosądzie, była świadomość, że oto wszyscy, niemal wszyscy w tym kraju żyją na zasadzie wyroku z zawieszaniem. I że każdemu z nas można to zawieszenie cofnąć. Że nasze dobre imię nie jest wynikiem naszych zasług, ale faworów władzy. Że ta władza, która ci daje nagrody i ordery, może cię w każdej chwili, dla doraźnego interesu - publicznego zadunucjować, pohańbić oszczerstwem, bez możliwości i prawa jakiegokolwiek obrony" /"Przemówienia do pisarzy i o pisarzach", Nowa, s. 21/.

Tak by można było widzieć sprawę, gdyby przyjąć, że w pełni wiarygodnym i jedynym włodarzem zaszczytów i pohańbień jest władza. Tak przecież nie było nigdy, nie jest i być nie może, dopóki żyjemy. Oszczerstwa władzy, bywa, przysparzają sławy. I to jest optymistyczny akcent tej ogólnie smutnej historii.

Paweł Jasienica, Lech Leon Beynar, "Nowina" - żołnierz i pisarz - nie potrzebuje rehabilitacji. Jego potwarca, Władysław Gomułka - tak. Toteż jesteśmy świadkami wielu prób zrehabilitowania w oczach społeczeństwa polityka, który w niesławie i nienawiści ludzkiej zszedł ze sceny politycznej.

Paweł Jasienica
FRAGMENT ŻYCIORYSU

18 kwietnia 1968 r.

W chwili wkroczenia wojsk radzieckich na Wileńszczyznę, tzn. w lipcu 1944 r., służyłem w sztabie Wileńskiego Okręgu Armii Krajowej. W bitwie o Wilno uczestniczyłem na ochotnika, jako szeregowiec w stopniu oficerskim.

15 lipca 1944 r. nasze dowództwo zawarło, jak wiadomo umowę o dalszej wspólnej walce z Niemcami. Pod względem wojskowym mieliśmy podlegać dowództwu radzieckiemu i rozwinąć się w dwie dywizje piechoty oraz brygadę zmotoryzowaną.

Tego samego dnia /15 lipca/ mój przełożony, szef sztabu AK, powiedział mi służbowo: "Pan zostanie mianowany oficerem łącznikowym przy sztabie wojsk radzieckich".

17 lipca 1944 r. przebieg wypadków był następujący: rano przeglądy naszych brygad przez generałów radzieckich, pod wieczór

aresztowanie wyższego dowództwa podczas z góry zaplanowanej odprawy, i początek rozbrajania oddziałów.

Tak oto ominęła mnie godność oficera łącznikowego przy Sztabie Armii Czerwonej, rozpoczęła się natomiast moja działalność lesna, dosyć obecnie głośna. Należałem do tych, którzy pozostali w lesie, unikając w ten sposób uwięzienia i wywiezienia na wschód. Z Puszczy Rudnickiej przemknęliśmy nocami do Ruskiej /Grodzieńsko-Bersztańskiej/. 19 sierpnia zostaliśmy zaatakowani o świcie przez wojska radzieckie, w której to akcji poległo wielu ludzi, wśród nich sławny pułkownik Kotwicz, bohater walki z Niemcami, od niedawna inwalida. Należałem do drobnego oddziału /17 ludzi z VI Brygady AK; w tym 4 oficerów/, który wyrwał się z oblawy "pod włos". Posłuszni znanemu już nam rozkazowi gen. Bora pomaszserowaliśmy na pomoc walczącej Warszawie, nie podejmując absolutnie żadnych działań przeciwko Armii Czerwonej.

Przejść nie można było, u schyłku sierpnia zostaliśmy zatrzymani przez Rosjan na zachód od Grodna. Przesłuchiwani w Białymstoku przez płk. NKWD /podałem się za dowódcę/ prosiłem o jedno tylko: odstawić nas na sam front, byle z naszą bronią, i po-zostawcie własnemu losowi; chcemy się bić z Niemcami jako żołnierze AK.

Zostaliśmy odstawieni pod zbrojnym konwojem do jednostki W.P., stacjonującej w Dojlidach. Broni nam nie wydano.

Pamiętam dokładnie ówczesne nastroje: nie uważałem się w Dojlidach za żołnierza. Uważałem się za uczestnika walki z Niemcami, podstępnie wywiezionego w pole przez tych, z którymi wileńska AK postanowiła współdziałać. Za więźnia po prostu. Jedyne przysięgi wojskowe, jakie w życiu składałem, to były: przysięga żołnierza służby czynnej w r. 1932, przysięga w sierpniu 1939 r. przed wymarszem na front, i przysięga w późniejszej AK w roku 1940. Tym przysięgom chciałem być wierny, wymykając się na początku września 1944 r. z Dojlid, by niezwłocznie powrócić w szeregi Armii Krajowej. Powstanie Warszawskie jeszcze trwało.

W rejonie Puszczy Białowieskiej natrafiłem na resztki V Brygady Wileńskiej AK. Dowodził nią oficer zawodowy mjr Zygmunt Szendzielarz /"Lupaszka"/, którego poprzednio w ogóle nie znałem osobiście. Dołączyłem do jego oddziału AK.

Nie będę się wdawał w opisywanie tragicznych losów wojny domowej. Muszę jednak podkreślić, że fakt aresztowania "szesnastu" w Pruszkowie /marzec 1945/ utwierdził nas w przekonaniu, iż nie ma dla nas innego miejsca na ziemi niż w lesie.

Prasa dość dowolnie traktuje obecnie moją osobistą rolę: nie dowodziłem akcją w Narewce, w Boćkach i Siemiatyczach nie byłem nigdy w życiu, nie spaliłem żadnej wioski białoruskiej, ani innej. Szkolenia ideologicznego oddział wcale nie potrzebowałem. Zastępowały je... wspomnienia. Każda wojna domowa ma to do siebie, że z biegiem czasu staje się coraz bardziej okrutna. Historia nie zna wyjątku od tej reguły.

Nie wierzyłem ani przez chwilę w wybuch wojny amerykańsko-rosyjskiej. Do wiary w absurdy nie jestem skłonny. Sądziłem, że stanowimy atut polityczny w ręku "polskiego Londynu", który za cenę rozwiązania naszych oddziałów wytarguje lepsze warunki w nieuchronnym kompromisie. W lipcu 1945 r. dowiedzieliśmy się, że mocarstwa przestały uznawać "polski Londyn". Coś w rodzaju kompromisu osiągnięto zatem, a my pozostawaliśmy w lesie... bez żadnych wskazówek.

W dniu otrzymania tej wiadomości "Łupasza" mianował mnie swoim zastępcą. Poprzednio pełnił tę funkcję por. "Zygmunt", wybitnie zdolny dowódca liniowy.

W nocy z 8 na 9 sierpnia zostałem ranny, oddałem kolegom broń i tak skończyła się moja służba u "Łupaszk", który na przełomie sierpnia i września tegoż roku rozwiązał oddział. Odwiedził mnie w wiosce, gdzie leczyłem się, dał mi dokument repatriacyjny i nieco pieniędzy na pierwsze potrzeby /ubranie i przeżycie/. Sumy, jakimi rozporządzał, otrzymał jeszcze w r. 1944 z Okręgu Białostockiego AK.

Odprawę tę dostałem w złotych, nie w dolarach.

Z działalnością "Łupaszk", wznowioną w roku 1946, nie miałem absolutnie nic wspólnego.

W roku 1946 zacząłem pisać. Po pewnym czasie zostałem członkiem redakcji krakowskiego "Tygodnika Powszechnego", występując oczywiście pod własnym nazwiskiem. Pseudonim literacki musiałem jednak przybrać ze szczególnego powodu. Wiedziałem, że moja żona pozostaje w Wilnie, zarejestrowana jako wdowa. Moi bliscy w tym mieście byli przekonani, że zginąłem tam gdzie płk. Kotwicz. Obawiałem się, że moje nagłe "zmartwychwstanie" w Krakowie może łatwo skierować uwagę w ślady moich rodziców i siostry, wywiezionych w początkach roku 1940 do Kazachstanu.

Moje późniejsze spotkania z Z. Szendzielarzem, który w końcu 1947 roku osiedlił się w Zakopanem, potem gdzieś w Gorcach, nosiły charakter wyłącznie towarzyski. O żadnych sprawach konspiracyjnych nie było mowy, nie powracaliśmy też do wspomnień.

U schyłku czerwca 1948 r. Z. Szendzielarz został aresztowany w miejscu swego zamieszkania. Urząd Bezpieczeństwa wykrył je i szedł "na upatrzonego", o czym dowiedziałem się później. Nastąpiła wtedy generalna dekonspiracja organizacji "wileńskiej", do której nie należałem, o której niczego nie wiedziałem. 30 czerwca czy też 1 lipca 1948 r. został uwięziony w Krakowie podkomendny Z. Szendzielarz pseudonimem "Wiktor". Usiłowano go złapać w Wrocławiu. Zdołał wyjechać do Krakowa i tu został aresztowany.

2 lipca 1948 r. poszedłem do mieszkania siostry "Wiktora", mojej koleżanki uniwersyteckiej, osoby najdalej od wszelkiej w ogóle konspiracji. Tu wpadłem w tzw. "kocioł", zostałem aresztowany.

Same chronologia wypadków świadczy niezbicie, że moje uwięzienie nie mogło wywrzeć żadnego wpływu na losy "Łupaszk" i "Wiktora", których zatrzymano.

27 sierpnia 1948 r. zostałem uwolniony przez Dyrektora Dep. Politycznego Min. Bezp. Publicznego. Nie spodziewałem się tego wcale. Powiedziano mi: "Wyjdzie pan na wolność, zobaczymy, czy się to Ojczyźnie opłaci". Nie podpisywałem żadnych zobowiązań. Nawet zobowiązania co do milczenia. Usłyszałem tylko: "Jest pan człowiekiem inteligentnym i sam wie, że nie wolno zdradzać tajemnic śledztwa".

Nigdzie nie musiałem się meldować, nie ograniczono mej swobody ruchów zastrzegając jedno tylko: "Mała prośba do pana: żeby pan był łaskaw za granicę nie wyjeżdżać".

O moje uwolnienie starał się ze wszystkich sił Bolesław Piasecki. Dowiedziałem się o tym zaraz po wyjściu z więzienia od mojej ś.p. żony, z którą Bolesław Piasecki rozmawiał i którą poinformował o swoich zabiegach. Zaręczył on władzom, że nie należą do żadnej konspiracji.

Do Krakowa powróciłem niezwłocznie i zaraz poprosiłem o audiencję u Księdza Kardynała Adama Sapiehy. Odniosł się do mnie bardzo życzliwie, nic nie miał przeciwko mojemu powrotowi do "Tygodnika Powszechnego". Kardynał Sapieha nie należał do ludzi skłonnych do tolerowania sytuacji moralnie dwuznacznych. O staraniach Bolesława Piaseckiego poinformowałem Go, jak również - nieco później - Księdza Kardynała Hlonda.

U schyłku 1945 r. spisałem swoje wspomnienia partyzanckie. Były szczegółowe, zajęły coś 10 grubych brulionów. Po uwolnieniu z więzienia spaliłem je i starannie wymieszałem popiół. Miałbym więc czym wkupić się w łaski UB... gdybym chciał. Żyje człowiek, który zna szczegóły: wie, kiedy ten pamiętnik powstał, i jak długo istniał.

W grudniu 1949 roku stawałem przed Oficerską Komisją Weryfikacyjną, potwierdzając w pełni swoją przeszłość. Znały więc ją dokładnie zarówno władze cywilne, jak wojskowe.

22 lipca 1956 roku zostałem odznaczony Kawalerskim Krzyżem Orderu Polski Odrodzonej. W roku 1967 Ministerstwo Obrony Narodowej, bez żadnych zastrzeżeń z mojej strony, zatwierdziło mój Krzyż Walcznych otrzymany w roku 1944 od Wileńskiego Okręgu Armii Krajowej.

Jak już wspomniałem, w Ministerstwie Bezpieczeństwa powieszono mi na pożegnanie: "Wydzie pan na wolność, zobaczymy, czy to się Ojczyźnie opłaca". Na ten temat głos powinni zabrać czytelnicy moich książek, zgłaszający zapotrzebowania na statystyczne ich nakłady.

WŁADZA SŁOWA

Jan Nierem,

Wolność czytania

Zwykle, gdy mówi się o "wolności słowa", cała uwaga skupia się na nieusuwalnym konflikcie między piszącymi a cenzurą, która strzeże ustanowionych przez władzę granic tego, co możliwe do powiedzenia, napisania, wydrukowania. A przecież to dopiero początek długich i pełnych napięć dziejów słowa przedzierającego się do zbiorowości, to zaledwie pierwsza pozycja ze znacznie szerszego repertuaru praktykowanych przez władzę sposobów panowania w przestrzeni mowy. Oczywiście - uderzenia cenzury są najdotkliwsze, nic zatem dziwnego, że poświęca się im tyle uwagi. Spustoszenia w sferze myśli politycznej i w kulturze, bezwzględność orzeczeń i egzekucji, chęć uprzedzenia i poskramiania samowoli w mówieniu i pisanii, przewencyjność działań - cechy te czynią z cenzury przeciwnik, istotnie, najgroźniejszego, instytucjonalnie określonego i "widzialnego" na tle czarnej tradycji dziejów kultury pisania. Ten zinstytucjonalizowany, choć najchętniej trzymający się w cieniu, przeciwnik ma również swą mroczną stronę - niejawną, wykraczającą poza ramy instytucji. Analiza poczynił GUKPiW nie wystarcza. Chcąc uzmysłowić sobie zasięg cenzury, nie można poprzestać na analizie tego tylko, co mniej lub bardziej jawne, co zinstytucjonalizowane. Trzeba również brać pod uwagę mnogie formy cenzury przed cenzurą: ograniczenia narzucane przez redakcje a także samoo ograniczenia - te przede wszystkim - dobrowolnie przyjmowane na siebie przez piszących, którzy, wypowiadając się publicznie, uprzedzają i czynią zbędną instytucjonalną interwencję. Rzeczy te są powszechnie znane. Piszę o nich tylko po to, aby jak najwyraźniej zaznaczyła się różnica między dwiema dopełniającymi się figurami wolności słowa - między wolnością pisania i wolnością czytania.

Mój tekst ma charakter wstępny i prowizoryczny. Z czysto osobistych powodów nie mogę mu poświęcić zbyt wiele czasu. Dlatego krótko zaznaczę jedynie główne kierunki analizy, która pozwoliłaby - tak sądzę - odstąpić wewnętrzne zróżnicowania i granice wolności dostępnej piszącym i czytającym.

Analiza taka powinna przede wszystkim krytycznie rozważyć fundamentalną odmienną dwu stawianych zwykle obok siebie typów cenzury: "prewencyjnej" i "represyjnej". Terminologiczna symetria sugeruje bowiem ich jakąś rozłączność czy wymienność. Tymczasem przecież moment wejścia, moment, w którym władza reaguje z pomocą cenzury na samowolne słowo, ma decydujące znaczenie zarówno dla piszących jak czytających. Trudno więc utrzymywać, że mamy tu do czynienia z jakimiś działaniami represyjnymi "do wyboru", z których jedno mogłoby zastąpić drugie. Nie ma między nimi punktów zbieżnych, nie istnieje możliwość prostej zamiany czy podstawienia.

Cenzura prewencyjna, w formie zinstytucjonalizowanej czy zwłaszcza uwewnętrznionej przez piszących, uniemożliwia przemianę bytu słowa. Staje pomiędzy słowem wewnętrznym a słowem wypowiedzianym.

/w przypadku autocenzury/, pomiędzy tym, co już wypowiedziane /lecz "dla siebie"/ a słowem wspólnym, które jest własnością zbiorowości. Działania cenzury, paralizującej możliwości pisania i drukowania, zmierzają do tego, by uniemożliwić materializację ulotnej substancji myśli. Bo zapisane przez kogoś kartki, wydrukowane książki etc - prócz tego czym są i mogą być - to także rzeczy, byty materialne. O cenzurze powiedzieć więc można najkrócej, że odbiera niepowołanym prawo przejęcia bytu słowa, że broni dostępu do materialnej sfery komunikacji.

Cenzura represyjna natomiast wkracza dopiero wówczas, gdy ta przemiana bytu jest już faktem, gdy słowo - wydrukowane, zwielokrotnione - zostało zmaterializowane i dlatego może wiesć niezależny żywot. Rozpoczyna się gra, w której stawką jest unicestwienie materialnego bytu słowa uznanego przez władzę za "niecenzuralne" w takich czy innych względów. Poprzednio - w akcie prewencji - szło o niedopuszczenie do istnienia, teraz o przywołanie kreu, o uśmiercenie słów już istniejących.

W Polsce działa, jak wiadomo, cenzura prewencyjna. Stan ten określają odpowiednie rozporządzenia władzy. Lecz obok ustawowego systemu kontroli istnieje też drugi - rozproszony i często ukryty - nowa forma dawnej, instytucjonalizowanej cenzury represyjnej. W jaki sposób ona działa? W jakim stopniu ogranicza wolność czytania? Czy rzeczywiście istnieje jako system?

Pytania te wydają się uzasadnione. Na ogół nie rekwiruje się dzisiaj nakładu wydrukowanej już książki /choć i to się niekiedy zdarza; przykład pierwszy z brzegu: 14 numer "Punktu", wydrukowany na jesieni 1981 roku, został po 13 grudnia zatrzymany, nim zdążył trafić do sprzedaży, czarne plamy nie przystają do niecenzuralnych słów /chyba po to, by unieważnić zbyt nisko skalkulowaną cenę książki; się w tym przypadku ukrywa się niewspółmierność powolnego tempa druku i szybkiego tempa inflacji/. Te klasyzacyjne represje zostały zastąpione przez nowe, co nie znaczy, że nie znaleźliśmy pośród nich form reliktowych. Pędzą one jednak peryferyjny żywot - niekiedy groteskowy. (Właśnie groteskową stały się dalsze dzieje wspomnianego zeszytu "Punktu". Zarekwirowany pierwotnie nakład był następnie stopniowo rozsprzedawany przez Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki bez strony 86, którą wyrwano. Znajdował się na niej wiersz Antoniego Pawliaka pt. "Feliks Dzierżyński chce wyjechać na wieś". Przeciwdziałając represji, wiersz cytuję poniżej:

zostać za sobą Moskwy
choć na chwilę z dala od
głodu akt komisarzy
i poających się ze strachu wrogów
zaprzycić się w ciszy
położyć dłoń na głowie syna
wyciągnąć się na mchu
powiedzieć: spójrz Jaśku
jak tu pięknie
jak tu oicho
ilu tu drzew
do wieszania.)

Działania cenzury represyjnej, tak w dawnej jak i nowej postaci, wymierzone są raczej w czytających niż w piszących, których bezpośrednio i najważniejszym przeciwnikiem pozostaje cenzor wewnętrzny lub zewnętrzny - w obydwu przypadkach prewencyjny, uprzedzający moment materializacji słowa. Wolność czytania jest oczywiście pochodną wolności pisania. Czytać można przecież to tylko, co

zostało wcześniej napisane /wydrukowane/. Każdy opublikowany wiersz, artykuł czy książka powiększają obszar wolności słowa, lecz zarazem nie wszystkie napisane i wydrukowane wiersze, artykuły czy książki mogą być czytane. Nie tylko pisarz, również czytelnik ma swojego cenzora. Niekiedy bywa to cenzor wewnętrzny, który nie zezwala sięgać po publikacje "nielegalne", "nieprawomysłne", "śle widziane" - słowem: bez stempla cenzury, zwykle jednak granice wolności czytania nie są wytworem nieokreślonego lęku wewnętrzznego, lecz zupełnie konkretnych posunięć administracyjnych.

Tych posunięć jest wiele, przybierają one różnorodne, mniej lub bardziej jawne formy. Ich obecność jest z punktu widzenia władzy niezbędna. Tak się bowiem składa - i nie ma w tym żadnego przypadku - że tego, co znajduje się do czytania, jest zawsze więcej niż tego, co czytane być powinno, co spełnia aktualnie obowiązujące kryteria cenzuralności. Istnieje tu różnica, jakiś uparcie odmawiający się obszar wolności czytania, "występna część" wydawniczej produkcji, część, która narusza monopol komunikacyjny władzy słowa i - dlatego - stwarza bezpośrednie zagrożenie jej stabilności. Działania cenzury prewencyjnej są w tym względzie niewystarczające. Cenzura - kontrolująca oficjalne drogi przeistaczania się słowa prywatnego w słowo publiczne - nie potrafi zapanować nad siłami stwarzającymi i odradzającymi ową "występną część". Co więcej: niekiedy sama ją mimowolnie powiększa.

Akt prewencji jest jednorazowy. Gdy słowo zyska prawo materialnego bytu, gdy - jako wiersz, artykuł czy książka - rozpoczyna swój społeczny żywot, zyskuje wówczas pewien etapień wolności. Może uczestniczyć w zdarzeniach społecznych, może je prowokować. Dlatego cenzor, jak artysta malujący freski, powinien mieć niezawodną rękę. Każdy błąd pozostawia ślady, mnogie ślady. Tysiące, dziesiątki, niekiedy setki tysięcy wydrukowanych i rozproszonych w społeczeństwie książek, które cenzura przepuściła przez niewagę, powiększają obszar wolności czytania. Nie znaczy to jednak, że błąd cenzury jest nieodwracalny. Jej cień, jej skrywana forma - właśnie ów drugi system kontroli i "publikacji i widowisk" - zaciera ślady cenzorskich katastrof. Pełni więc funkcje korekcyjne, ale nie tylko. Korygując i dopełniając mechanizmy kontroli "pierwszego" systemu, tropi i usiłuje unicestwić to, co - już wydrukowane - tworzy stanowi "występną część" produkcji wydawniczej, co rozszerza ponad wyznaczoną miarę granice wolności czytania.

W jaki sposób ta "występna część" powstaje? Udział błędów cenzury jest niewątpliwie marginesowy, (najczęściej są to błędy nadgorliwości, tych zaś poprawiać nie ma potrzeby). Źródła słów niecenzuralnych bieżą w przeszłości i w przyszłości. Otamowując je, cenzura broni teraźniejszości, która powołała ją do istnienia. Te niezbyt może jasne zdania mają prostą wykładnię:

Po pierwsze: Historia jest niecenzuralna. /Dużej części "druków z przeszłości niepodobna uzgodnić z obowiązującymi kryteriami i normami ideologicznymi, które na dodatek zmieniają się zgodnie z rytmem koniunktury politycznych. To, co jest cenzuralne dzisiaj, stanie się niecenzuralne jutro./

Po drugie: niecenzuralna jest Przyszłość. /Wydawnictwa niezależne w kraju, wydawnictwa emigracyjne publikują teksty, które przekraczają utwierdzoną przez cenzurę teraźniejszość ideologii i bytu społecznego. Pisanie, które jest oporem, niezgodą, krytyką, należy do przyszłości rozciągającej się poza horyzontem afirmacji społecznej i ideologicznego teraz./

Historia i Przyszłość niełatwo podporządkowują się władzy słowa. Wymykają się teraźniejszej cenzurze prewencyjnej. Czyżes

słowa, które materialnie już istnieją /mogą być zatem przez innych czytane/, są przez władzę uznane za zagrożenie jej bytu i dlatego podejmuje ona szereg działań represyjnych, ograniczających wolność czytania. Okazuje się w efekcie, że stworzona przez Historię i przez Przyszłość pole możliwości lektury jest miejscem walki równie bezwzględnej, co walka będąca udziałem piszących.

Chciałbym tu jedynie wskazać na kilka takich działań represyjnych władzy a przede wszystkim przedstawić odpowiednie dokumenty, które - mam nadzieję - pozwolą wstępnie zlokalizować ogniska rozproszonego i ukrytego systemu drugiej, represyjnej kontroli "publikacji i' widowisk". Sądzę, że dokumenty te powiedzą więcej niż analizy i roztrząsania. Przywołują one bowiem doświadczenia, które są (a przynajmniej mogą być) udziałem każdego, kto czyta i nie zamierza poprzestawać na tym, co dozwolone, co miłośnicy się w granicach określonego przez władzę pola lektury.

Działania represyjne mają charakter techniczny w tym sensie, że zmierzają do unicestwienia materialnego bytu słowa. Najdawniejszą, odnotowaną przez historię formą działania cenzury było palenie ksiąg rękopiśmiennych. Wiadomo na przykład, że już w V wieku p.n.e. spalono w Atenach dzieła Protagorasa. Rejestr późniejszych wniecanych stosów jest długi i sięga aż do naszego wieku. Prawda, że stęsy dziś już nie płoną - są zbyt jasne, zbyt widowiskowe, co narusza podstawową zasadę ekrytykości. Mimo to, właśnie płomień spopielający rękopisy uznać trzeba za symboliczną prefigurację współczesnych sposobów unicestwienia materialnego bytu słowa niecenzuralnego.

Przedstawioną poniżej serię dokumentów otwierają fragmenty "Tymczasowej instrukcji o komisowym obrębie książkami" ogłoszonej w "Kronice wydarzeń bieżących" /nr 61, 16 III 1981/. Ta radziecka instrukcja ma prawdopodobnie polski odpowiednik /jeśli nie, to wprowadzenie jej u nas jest chyba kwestią czasu, wzór już istnieje/. Szczegółowe przepisy i zalecenia, jakie w niej znajdujemy, mają na celu kontrolę wymiany między przeszłością i teraźniejszym obiegiem czytelnictwa. Druki dawne, sprzed 1946 roku, poddane są szczegółowej kategoryzacji i tylko nieliczne - te, które spełniają bardzo ściśle określone warunki - mogą ponownie wejść do obiegu czytelnictwa. Cała reszta zdegradowana zostaje do poziomu makulatury - materii pozbawionej ducha litery. Już nie płomień, lecz prozaiczne maszyny do przeróbki surowców wtórnych unicestwiają piśma uznane przez władzę za nieprawomyślnie czy choćby tylko zbędne. Operacje tego rodzaju kruszą fundamenty zbiorowej, pamięci, manipulują tradycją.

Nawet te książki, które nie zostały spalone ani "zmakulaturyzowane", nie mogą być pewne swego losu. Drugi system kontroli reglamentuje również swobodę dostępu czytelników do tekstów, które zyskały prawo obecności w obiegu. Na jedne rzuca ostre światło aprobaty, inne usuwa na margines, zaledwie tolsruje. Stosunkowo łagodną, choć za to powszechną, postać reglamentacja ta przybiera w szkole. Notatka ministra oświaty i wychowania "w sprawie zmian w zestawie lektur szkolnych" /z 17 VIII 1983 roku/ określa jedynie aktualne preferencje i antypreferencje lekturowe władzy, natomiast zarządzenie wewnętrzne Biblioteki Głównej Uniwersytetu Gdańskiego /podobne obowiązują w innych bibliotekach/ idzie znacznie dalej: wydziela z księgozbioru publikacje, które można czytać wyłącznie po uzyskaniu specjalnego zezwolenia. Inna jeszcze metoda reglamentacji polega na manipulowaniu wysokością nakładu książek

i czasopism. Przykład z ostatnich miesięcy: anons "Dialogu", który "z powodu przejściowych trudności z papierem /.../ dostępny będzie tylko w prenumeracie". Podobne oświadczenie zmuszona była ogłosić w 1985 roku redakcja "Twórczości".

Główne uderzenie władzy kieruje się jednak w inną stronę. Drugi system kontroli stwarza zapory powstrzymujące dopływ książek i czasopism wydawanych poza oficjalnym obiegiem, poza zasięgiem cenzury prewencyjnej. W przypadku publikacji zagranicznych funkcje te pełniła urzędy celne, które rekwirują tytuły uznane za "szkodliwe dla dobra i interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludwej". Decyzja Głównego Urzędu Cei orzekająca przepadek "Dzienników" Lechonia jest świadectwem jednego z wielu rutynowych działań tego rodzaju. Argumentacja, jakiej w niej użyto, powtarza się w innych znanych ni pismach. Urzędy celne powołują się oczywiście na odpowiednie ustawy i zarządzenia. Wszystko dokonuje się zatem w majestacie prawa - to prawo zaś nie musi się uzasadniać w jakiś szczególny sposób. Po to, by na przykład pozabawić debitu komunikacyjnego kilka czasopisz wydawanych w Paryżu, Londynie czy Monachium /"Zarządzenie prezesa SOKPiP" z 4 czerwca 1985 roku/ wystarczy wskazać na - ciśnie ten sam - argument: "szkodliwe dla dobra i interesów". W przypadku publikacji wydawanych w Polsce, lecz poza zasięgiem cenzury, zamknięcie granic jest ze zrozumiałych względów nieskuteczne. Książki i czasopisma "podziemne" powstają przecież w samym sercu systemu, pod bokiem władzy. Ścigając je "na własnym terenie", władza słowo przede wszystkim do wykrycia i unicestwienia niezależnych drukarni - osiągnięte sukcesy chętnie rozgłasza w kontrolowanych przez siebie gazetach. Próbuje ponadto wykryć sieć niezależnego kolportażu, wreszcie: delegalizuje akt lektury. Posiadanie i czytanie publikacji bez stempla cenzury okazuje się wykroczeniem przeciw obowiązującemu prawu.

Przytoczona poniżej seria dokumentów i świadectw nie przedstawia zapome wszystkich mechanizmów drugiego systemu kontroli. Są one jednak, że pozwala uświadomić sobie różnorodność i zasięg działań wymierzonych w wolność czytania. A także fakt, że stopniowo nasila się rewersja /niektóre zarządzenia są świeżej daty/, że jest coraz skuteczniejsza.

Z dnia na dzień czytanie staje się coraz trudniejsze.

Z a r z ą d z e n i e

Przewodniczącego Państwowego Komitetu Rady Ministrów
d/s Wydawnictw, Poligrafii i Księgarstwa
I nr 346/d.u.s.

Moskwa

6 VI 1975

O zatwierdzeniu tymczasowej instrukcji o komisowym obrocie książkami

W celu mobilizacji dodatkowych rezerw przy tworzeniu księgozbiorów, powtórnego wykorzystania cieszących się zapotrzebowaniem książek znajdujących się w posiadaniu ludności, rozszerzenia handlu książkami przyjętymi od ludności w komis, ustalenia jednolitej procedury załatwiania tych transakcji i ich księgowania -
ZARZĄDZAM:

1. Zatwierdzić tymczasową instrukcję o antykwarycznym obrocie książkami.

/.../

B.I.Stukalin

Tymczasowa instrukcja o komisowym obrocie książkami

1. Zasady ogólne

/.../

3. W komis przyjmuje się produkcję wydawniczą /książki, albumy, broszury, reprodukcje, oryginały rękopisów i in./, przede wszystkim trudną dostępną i rzadkie wydania, których cenę sprzedażną trudno ustalić. Można przyjmować wydawnictwa periodyczne /w pełnych kompletach, zarówno z okresu radzieckiego jak i przedrewolucyjnego/.

Uwaga. Kające wartość antykwaryczną książki, periodyki i inne wydawnictwa sprzed 1946 r. przyjmowane są w komis tylko przez antykwiariaty /oddziały/, którym w ustalony sposób zezwolono na handel publikacjami komisowymi.

Wydawnictwa obce przyjmowane są przez antykwiariaty /oddziały/ zajmujące się publikacjami w językach obcych za zgodą Goskomizdatu ZSRR.

/.../

5. Nie podlegają przyjęciu w komis i sprzedaży:

a/ książki objęte "Zbiorcą listą książek podlegających wycofaniu z bibliotek i sieci księgarskiej" /cz. 1 i 2, wyd. przez Gławlit ZSRR w r. 1960 i 1973/, odpowiednimi listami gławlitów republik związkowych oraz książki podlegające wycofaniu na podstawie zarządzeń i innych dokumentów organów cenzury, cyrkularzy i pisemnych decyzji nadrzędnych instytucji księgarskich; publikacje zagraniczne ze znakiem cenzorskim "sześciąt";

b/ wydawnictwa radzieckie z wszelkimi ograniczającymi nadrukami, pieczętkami czy oznaczeniami: "Tajne", "Nie do publikacji", "Do użytku służbowego", "Tylko dla członków KPZR", "Tylko dla członków Komsomółu", "Z rozdzielnika", "Egzemplarz sygnałny", "Na prawach rękopisu", "Do zaopiniowania", "Do recenzji", "Egzemplarz obowiązkowy", "Zezwala się na opublikowanie", "Egzemplarz kontrolny"; publikacje do użytku wewnętrznego wydane bez podanej ceny; publikacje z pieczętkami cenzury zezwalającymi na skierowanie do druku;

c/ uchwały i rozporządzenia rządu ZSRR nie ogłoszone w prasie, wydawnictwa wąsko specjalistyczne przeznaczone do użytku służbowego;

d/ szkodliwe politycznie wydawnictwa rodzime we wszystkich językach; wydawnictwa z tekstami i wizerunkami osób, których wszystkie utwory podlegają wycofaniu, z cytatai z ich utworów lub wy-

stąpięć oraz z tekstami, w których gloryfikuje się owe osoby; książki propagujące poglądy dawnych nurtów opozycyjnych w partiach komunistycznych i przywódców owych nurtów; wydawnictwa skierowane przeciw KPZR i twórcom marksizmu-leninizmu; publikacje czarnoseciąskie-monarchistyczne, białogwardyjskie, antyradzieckie, antysocjalistyczne; wroga wobec komunizmu literatura wydawana przez partie walczące z RSDPR-KPZR /eserowska, mieśszewicka, kadecka i in./;

e/ zagraniczne wydawnictwa zawierające materiały antyradzieckie i antysocjalistyczne; książki propagujące ideologię reakcyjną; wydawnictwa pornograficzne, brukowe, religijne i religijno-propagandowe oraz wszelka literatura wydawana przez antyradzieckie organizacje emigracyjne;

f/ wszelkie druki urzędowo-religijne; wydawnictwa zawierające propagandę religijną literaturą religijno-mistyczną; książki o chiromacji, magii i in.;

Uwaga. Wydawnictwa o charakterze religijnym mające wartość artystyczną-histeryczną, pierwodruki, manuskrypty itp. zezwala się kupować w Moskwie i Leningradzie głównym antykwariatom, a w innych miastach - za zgodą kierujących /kierowników, dyrektorów/ siecią księgarską i ich zastępców;

g/ utwory brukowo-pornograficzne;

h/ radzieckie wydawnictwa nieperiodyczne o charakterze wojskowym i naukowo-technicznym, nie objęte jawnymi katalogami "Sojuzpieczati";

i/ książki z napisami, podkreśleniami i wklejkami noszącymi niepożądaną charakter polityczny oraz utrudniającymi lekturę lub zniekształcającymi tekst;

j/ wydane w ZSRR książki bez strony tytułowej;

k/ książki z tekstem nie odpowiadającym tytułowi;

l/ książki z usterkami drukarskimi.

Uwagi.

1. Zezwala się na sprzedawanie jedynie bibliotekom, instytucjom partyjnym i państwowym na podstawie ich zapotrzebowania następujących wydawnictw: zapisów stenograficznych zjazdów i konferencji KPZR, Komsomoku, zjazdów i sesji rad, związków zawodowych /opublikowanych do lipca 1953 r./ kongresów i plenów Kominternu oraz kompletów encyklopedii: "Katej encyklopedii radzieckiej", wyd. I i II, "Tielkiej Encyklopedii Radzieckiej", wyd. I, "Słownika encyklopedycznego Rosyjskiego Instytutu Bibliograficznego Granet", "Encyklopedii literatury". Pojedyncze tomy nie mające defektów o charakterze politycznym można sprzedawać bez zapotrzebowania.

2. Zezwala się na sprzedawanie bibliotekom czasopism społeczno-politycznych i literacko-artystycznych /w kompletach/ z okresu przedrewolucyjnego i radzieckiego do r. 1954 jedynie na podstawie zapotrzebowania instytucji radzieckich. Pojedyncze numery takich czasopism, nie budzące wątpliwości natury politycznej oraz czasopisma wydane po r. 1951 i objęte jawnymi katalogami "Sojuzpieczati" kierowane są do wolnej sprzedaży bez zapotrzebowania. Bez zapotrzebowania można sprzedawać także przedrewolucyjne i radzieckie czasopisma naukowo-techniczne, niezależnie od roku wydania, a także postępowe czasopisma literacko-artystyczne wydane przed X'w.

3. Wydawnictwa przeznaczone do sprzedaży bibliotekom i instytucjom radzieckim przechowywane się na zapleczu księgarni i do sali, gdzie odbywa się sprzedaż, nie kieruje się ich;

z/ w komis nie przyjmuje się również reprodukcji:
- o szkodliwym charakterze politycznym; reprodukcji o charakterze monarchistycznym, czarnosecinnym i szowinistycznym;
- reprodukcji o charakterze religijnym, o ile nie są to reprodukcje klasycznych dzieł na wysokim poziomie artystycznym;
- reprodukcji gloryfikujących obyczajowość burżuazyjno-mieszczańską; reprodukcji o treściach brukowo-pornograficznej natury;
- reprodukcji bez danych wydawniczych;
- opublikowanych w okresie radzieckim widokówek bez danych wydawniczych; widokówek wykorzystanych do korespondencji oraz pocztówek reklamowych wydanych przez instytucje handlowe;
- widokówek wydanych za granicą nie mających wartości artystyczno-poznawczej.

Uwaga. Zezwala się na kupowanie i sprzedawanie widokówek wydanych zagranicą, przedstawiających klasyczne dzieła malarstwa, grafiki, rzeźby, architektury; widoki miast i innych miejsc; wizerunki wybitnych postępczych działaczy politycznych, uożonych, pisarzy, artystów.

6. Odpowiedzialny za przyjmowanie książek pracownik antykwariatu dokładnie przegląda każdą publikację oddaną w komis, pod względem jej treści politycznych, przydatności, wartości historycznej itp.

W poszczególnych przypadkach, gdy pracownik ma wątpliwości o celowości zakupu tego lub innego wydawnictwa rodzimego, kierownik księgarńi zwraca się do miejscowego organu Gławlitu ZSRR o zapińowanie danej publikacji.

Gdy są wątpliwości co do celowości zakupu tego lub innego wydawnictwa zagranicznego, miejscowy zarząd księgarńi zwraca się po wyjaśnienia do wszechzwiązkowego zjednoczenia księgarskiego Goskomizdatu ZSRR, które w razie wątpliwości zasięga opinii w Gławlicie ZSRR.

/.../

14. Odpowiedzialność za jakość przyjętych książek i ich sprzedaż ponoszą przyjmujący, kierownicy oddziałów, kierownicy i dyrektorzy księgarń.

Administracja antykwariatu systematycznie prowadzi szkolenie pracowników zajmujących się przyjmowaniem książek w komis i ich upłygniowaniem.

Z niniejszą instrukcją zapoznawani są za pokwitowaniem wszyscy pracownicy antykwariatu /oddziału/.

/.../

MINISTERSTWO
OŚWIATY i WYCHOWANIA
Podsekretarz Stanu
Nr OP 23-0770-75/83

Warszawa 17 sierpnia 1983

O d p i s

Obywatel
Kurator Oświaty i Wychowania
w

Przesyłam w załączeniu notatkę w sprawie zmian dokonanych w kanonie lektur szkolnych w szkołach ponadpodstawowych od roku szkolnego 1983/84 - do wykorzystania i stocwsnia.

/-/ Wacław Kupper

INSTYTUT PROGRAMÓW SZKOLNYCH

NOTATKA w sprawie zmian w zestawie lektur szkolnych

I. Liceum ogólnokształcące i technikum

W stosunku do instrukcji z 1981 r. w doborze lektur ze współczesnej literatury polskiej wprowadzono następujące zmiany:

W e z y ś c i a

- z wyboru wierszy następujących poetów: S. Barańczak, E. Lipska
J. Twardowski,

w zakresie prozy - z a n i a s i

- trzech utworów J. Andrzejewskiego pozostawiono jeden: "Epióń i diament",
- trzech utworów K. Brandysa wprowadzono dwa nowe teksty: "Jak być kochaną" i "Wywiad z Ballmeyerem",
- trzech utworów T. Konwickiego pozostawiono jedynie "Sennik współczesny",
- czterech tekstów S. Lema wprowadzono jeden nowy tekst: "Powrót z gwiazd",
- dwóch tekstów J. Strykowskiego pozostawiono jeden: "Głosy z ciemności",
- trzech tekstów J.J. Szczepańskiego pozostawiono tylko "Polską jesień";
- w zakresie dramatu zamiast dwóch tekstów S. Mrożka pozostawiono jeden: "Tango";

W p r o c w a d z o n o następujące utwory z zakresu prozy:

- H. Auderekiej - "Ptasi gościniec"
- B. Czeszki - "Pokolenie" /obok "Trenu"/
- K. Dobrowskiej - "Na wsi wesele" /obok "Tu zaszła zmiana"/
- T. Hołuj - "Koniec naszego świata"
- I. Newerlego - "Pamiętka z Celulozy"

a także tom Z. Załuskiego - "Przepustka do historii" oraz cykl rozpraw z dziedziny filozofii i socjologii

- A. Boczeńskiego - "Rzecz o psychice narodu polskiego"
- H. Grzybowskiego - "Ojczyzna - naród - państwo"
- E. Ingardena - "Księżeczka o człowieku"
- T. Kotarbińskiego - "medytacje o życiu godziwym"
- T. Krońskiego - "Faszyzm a tradycja europejska"
- K. Ossowskiej - "Korny moralne"
- S. Ossowskiego - "Analiza socjologiczna pojęcia ojczyzny"
- W. Tatariewiczza - "O szczęściu"

Poszerzono zestaw przedstawicieli współczesnego reportażu polskiego o E. Gumańczyka, O. Budrewicza i K. Kąkollewskiego.

Dokonano także pewnych zmian w doborze lektur przeznaczonych dla klas niższych:

z m i e n i o n o hasło programowe dotyczące Biblii, umieszczając ją w wykazie lektur antycznych i zalecając wybór konkretnych fragmentów,

p r z e w r ó c o n o "Opowieści biblijne". Z. Kosidowskiego, Usunięte z zestawu lektur w roku 1981,

z r e z y k t o w a n o z następujących utworów:

- I. Babel - "Armia konna"
- A. Strug - "Odznaka za wierna służbę",

wprowadzono: tom pt. "Świat porzeczny" - zachwałę rzemiosło". Antologia poezji polskiego oświecenia

M. Konopnickiej - "Mendel Gdański",
E. Orzeszkowej - "Meir Zozofowicz"

Do lektur o tematyce filozoficznej dołączono nurt myśli racjonalistycznej i pozytywistycznej, tj. informacje o doktrynach filozoficznych Heraklita, Demokryta i in. filozofów antyku, fragmenty z "Rozprawy o metodzie" Kartezjusza, fragmenty z "Czym jest filozofia pozytywna" A. Comte'a.

Zmieniono także przydział godzin na realizację tematów z poszczególnych okresów literackich, przedstawiając się lekceważeniu odrodzenia, oświecenia i pozytywizmu.

II. Zasadnicza szkoła zawodowa

Z r e z y g n o w a n o z następujących tekstów:

S. Wrozek - "Wesele w Atomicach"
C. Kłoss - "Stońce", "Obłoki", "Wetęp do Psalmów"
M. Jańczewska-Pawlikowska - "Starość"
W. Szymborska - "Chwila w Troi"
K. Pruszyński - "Podrzucona książka"
T. Różewicz - "Chaskiel"
"Boże coś Polskę"
J. Słowacki - "Pieśń konfederatów z "Księdza Marka"
" - fragmenty z "Kordiana"
F. Kowalski - "Utan na wedecie"
poezje E. Lipskiej
M. Wańkiewicz - "W zdobytym klasztorze"
S. Bratkowski - "Skąd przychodzim" /fragmenty/
A. Czechow - wybór opowiadań
I. Babel wybór opowiadań
"My pierwsza brygada"
J. Mączka - "Szare roty"
S. Długosz - "List"
E. Słonki - "Kiedy zginę", "Ta, co nie zginęła"
C. Chlebowski - "Pakiet"
H. Krall - "Zdążyć przed Panem Bogiem" /wybór/
" - "Sześć odmian bieli"
J. Zawiejski - "Krzyk w próżni świata"
J. J. Szczepański - "Przed nieznanym trybunałem"
A. Fournier - "Mój przyjaciel Maulnes"
poezje S. Barańczaka, A. Zagajewskiego, S. Grochowiaka

W p r o w a d z o n o

W. Broniewski - "O sobie samym"
K. Wierzyński - "Wista i wyspa"
A. Słonki - "Bełkot i magia"
Antologia współczesnej noweli radzieckiej
Wybrane powieści współczesne zaproponowane przez młodzież;
G. Ehrenburg - "Gdy naród do boju"
L. Waryński - "Mazur kajdaniarski"
A. Mickiewicz - "Do przyjaciół Moskali"
J. Słowacki - "Grób Agamemnona"
W. Broniewski - "Twarde ręce"
A. Asnyk - "Do młodych"
J. Szaniawski - "Żeglarz"
A. Fredro - "Śluby panienskie" zamiast "Damy i huzary"
lub "Pan Jowialski"
Marsz M. Okotowa
J. Parandowski - "Niebo w płomieniach"

III. Licea i technika na podbudowie ZSZ

Zmiany wynikają głównie z konieczności dostosowania instrukcji do zmienionych instrukcji w liceach i ZSZ.

Z r e z y g n o w a n o z H. Roztworowskiego - "Niespodzianka", wierszy R. Krynickiego, J. Twardowskiego, esejów krytycznoliterackich J. Błóńskiego i S. Barańczaka jako zbyt trudnych dla młodzieży tego typu szkoły.

Przeprowadzono zmiany proporcji przydziału godzin na realizację poszczególnych epok, zmniejszając na okres literatury staropolskiej i romantyzm, a zwiększając na literaturę pozytywizmu i okres współczesny.

X X X

Przeprowadzone zmiany mają istotny charakter wychowawczy. Zrezygnowano z tekstów zbyt trudnych, mniej wartościowych lub takich, których wymowa polityczna może być wątpliwej wartości.

Do końca 1983 r. zostanie przeprowadzona dyskusja, w wyniku której będą przygotowane nowe programy i kanon lektur we wszystkich szkołach ponadpodstawowych. Będą one obowiązywać od 1985 r. wraz z nowymi podręcznikami.

Notatka przygotowana na podstawie instrukcji programowych do nauczania języka polskiego w liceum ogólnokształcącym, technikum i liceum zawodowym, w ZSZ oraz w technikum na podbudowie ZSZ i SPR aprobowanych przez Ministra Oświaty i Wychowania dnia 18 lipca br. i przeznaczonych do nowego zastosowania od 1. września 1983.

z Olsztyna

[-----] [Ustawa z dn. 31 VII 81 r., O kontroli publikacji i widowisk art. 2 pkt 1 (Dz. U. nr 20 poz. 99, zm. 1983 Dz. U. nr 44, poz. 204)].

z Torunia

[-----] [Ustawa z dn. 31 VII 81 r., O kontroli publikacji i widowisk art. 2 pkt 1 (Dz. U. nr 20 poz. 99, zm. 1983 Dz. U. nr 44, poz. 204)].

Otoż to! Jest to problem kapitalny! W moim głębokim przekonaniu najważniejszym, ale oczywiście nie jedynym, kryterium kultury politycznej jest wiedza i orientacja polityczna jako przeciwstawienie głupocie, ignorancji czy wręcz ciemności w tej dziedzinie życia. [-----] [Ustawa z dn. 31 VII 81 r., O kontroli publikacji i widowisk art. 2 pkt. 1, 2 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz. U. nr 44, poz. 204)]. Te właśnie zjawiska, klasyczne wprost dla systemów totaliternych.

[Rzecz jasna,

żadna analogia nie zastąpi jednak rzetelnej analizy stanu obecnego.

[-----] [Ustawa z dn. 31 VII 81 r., O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt. 1, 2 (Dz. U. nr 20 poz. 99, zm.: 1983 Dz. U. nr 44, por. 204)].

Czeski poeta Jaroslav Seifert otrzymał literacką Nagrodę Nobla za rok 1984. [-----] [Ustawa z dn. 31 VII 81 r., O kontroli publikacji i widowisk art. 2 pkt. 1 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz. U. nr 44, poz. 204)].

Oddano do składu: 15 października 1984 r.

Dalsze rozwinięcie tej myśli okazało się w zmienionej sytuacji politycznej niemożliwe. [-----] [Ustawa z dn. 31 VII 81 r., O kontroli publikacji i widowisk art. 2 pkt. 1 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz. U. nr 44, poz. 204)]. To jednak już inny etap w dziejach rozważanego problemu.

Żaden chyba z aktów ustawodawczych czterdziestolecia nie powstał tak długo i żaden nie wywoływał tylu kontrowersji. Próby uregulowania problemu tzw. pasożytnictwa społecznoego podejmowano kilkakrotnie. Zespoły kodyfikatorów pracowały nad kolejnymi projektami ustawy. Zespoły ekspertów, reprezentujących różne dyscypliny naukowe, odrzucały proponowane warianty. Ustawa rodziła się czterema lat. Weszła w życie 1 stycznia 1983 roku, [-----] [Ustawa z dn. 31 VII 81 r., O kontroli publikacji i widowisk, art. 2 pkt. 1, 2, 3 (Dz. U. nr 20 poz. 99, zm.: 1983 Dz. U. nr 44, poz. 204)].

Zarządzenie wewnętrzne Nr 31/84

W związku z Zarządzeniem Ministrów: Kultury i Sztuki, Nauki i Szkolnictwa Wyższego i Techniki oraz Sekretariatu Naukowego PAN z dnia 30 IV 1984 w sprawie przechowywania i udostępniania publikacji zagranicznych objętych zakazem rozpowszechniania ustala się następujące zasady udostępniania tych zbiorów w Bibliotece Głównej Uniwersytetu Gdańskiego:

- publikacje objęte zakazem rozpowszechniania udostępnia się wyłącznie na miejscu w Czytelni Ogólnej i Czytelni zbiorów specjalnych Biblioteki Głównej UG w Sopocie na podstawie pisemnego wniosku czytelnika - /wzór w załączeniu/

- wniiski przechowywane będą przez Bibliotekę do 5 lat, następnie ulegają zniszczeniu,

- zgodę na udostępnianie wyżej wymienionych publikacji wyraża każdorazowo Dyrektor Biblioteki lub jego zastępca,

- nie wykonuje się kopii reprograficznych materiałów objętych zakazem rozpowszechniania.

Sopot 8 VIII 1984

Z a ł ą c z n i k

Proszę o udostępnienie mi na miejscu w Czytelni publikacji objętej zakazem rozpowszechniania:

- autor, tytuł, miejsce i rok wydania, tom, rocznik, sygnatura
c e l e m
- imię i nazwisko, adres zamieszkania, nazwa uczelni, kierunek i rok studiów
- podpis Dyr. Biblioteki Podpis data

**Z przykrością powiadamy naszych Czytelników,
że z powodu przejściowych trudności z papierem
„DIALOG”**

**poczynając od niniejszego numeru do końca roku 1985
dostępny będzie tylko w prenumeracie.
Sprzedaż pisma w kioskach zostaje zawieszona.**

PRENUMERUJCIE „DIALOG”!

**Jest to obecnie
JEDYNY SPOSÓB
na otrzymanie pisma.**

D E C Y Z J A

Na podstawie art. 127 § 2 i art. 138 ust. 1 pkt 1 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. - Kodeks postępowania administracyjnego /jednolity tekst Dz. U. Nr 9 poz. 26 z 1980 r./ i art. 13 ust. 1 i 3 ustawy z dnia 28 marca 1975 r. - Prawo celne /Dz. U. Nr 57, poz. 290/, po rozpatrzeniu wniezionej w terminie odwołania Ob. Józefa K. od decyzji Urzędu Celnego Poczтового w Warszawie z dnia 1985.02.02 Nr 12-345/85 o orzeczeniu przypadku 1 egz. publikacji pt. "Dzienniki" - J. Lechoń, Główny Urząd Ceł -

- utrzymuje w mocy zaskarżoną decyzję.

U z a s a d n i e n i e

W dniu 1985.02.01 Urząd Celnny Pocztowy w Warszawie dokonał kontroli celnej przesyłki nr A 123 przeznaczony dla Ob. Józefa K. i w jej wyniku zatrzymał wyżej wymienioną publikację.

W trakcie dalszego postępowania ustalono, że zawiera ona treści szkodliwe dla dobra i interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a ponieważ przywóz takich publikacji jest zakazany Urząd Celnny Pocztowy w Warszawie decyzją z dnia 1985.02.02 orzekł przepadek zatrzymanej publikacji.

Od tej decyzji Ob. Józef K. złożył odwołanie, w którym poinformował, iż przedmiotowa publikacja jest mu niezbędna dla celów naukowych.

Rozpatrując odwołanie Główny Urząd Ceł zważył co następuje:

Poddając ocenie treść w/w publikacji stwierdzono, iż zawiera ona zarzuty polityczne i insynuacje, które poniżają władzę Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, godzi w konstytucyjny ustroj PRL zasady naszej polityki zagranicznej oraz nasze sojusze.

Wymowa tej książki w odniesieniu do ustroju socjalistycznego jest zdecydowanie negatywna.

Kośniki informacji zawierające takie treści, zgodnie z art. 13 ust. 1 i 3 ustawy - Prawo celne - są zakazane do przywozu i ulegają przepadkowi.

Decyzja niniejsza jest ostateczna w postępowaniu administracyjnym.

Na niniejszą decyzję służy skarga do Naczelnego Sądu Administracyjnego.

Decyzja może być zaskarżona o ile jest ona niezgodna z prawem /art. 196 § 1 Kpa/.

Skargę na piśmie można złożyć osobiście lub przesać listem poleconym do Głównego Urzędu Ceł w Warszawie, ul. Świętokrzyska 12, nr kodu 00-916, w terminie 30 dni licząc od dnia następnego po dniu otrzymania decyzji.

Przy wnoszeniu skargi do Naczelnego Sądu Administracyjnego uiszczą się opłatę sądową w wysokości uzależnionej od wartości przedmiotu sporu /§ 1 rozp. Rady Ministrów z dnia 30 VIII 1980 r. Dz. U. Nr 20, poz. 73/.

Opłatę sądową wnosi się bezpośrednio do Naczelnego Sądu Administracyjnego, ul. Jasna 1, nr kodu 00-950 Warszawa.

Otrzymują:

1. Ob. Józef K.
2. Urząd Celnny Pocztowy
w Warszawie
akta sprawy

Z upoważnienia Prezesa
Głównego Urzędu Ceł
NACZELNIK WYDZIAŁU
mgr J. Marcinkowski

/-/

Zarządzenie prezesa Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk
z dnia 4 czerwca 1985 roku
w sprawie pozbawienia debitu komunikacyjnego

Na podstawie art. 16 ust. 2 ustawy z dnia 31 lipca 1981 roku
o kontroli publikacji i widowisk /Dz. U. Nr 20, poz. 99, z 1983 r.
Nr 44, poz. 204 z 1984 r. Nr 5, poz. 24/ zarządza się co następuje:

§ 1. Pozbawia się debitu na obszarze Polskiej Rzeczypospolitej
Ludowej:

1. kwartalnik "Zeszyty Literackie", wydawany w Paryżu
2. miesięcznik "Kontakt", wydawany przez NSZZ "Solidarność"
w Paryżu.

3. nieregularny kwartalnik literacki "Puls", wydawany w Lon-
dynie.

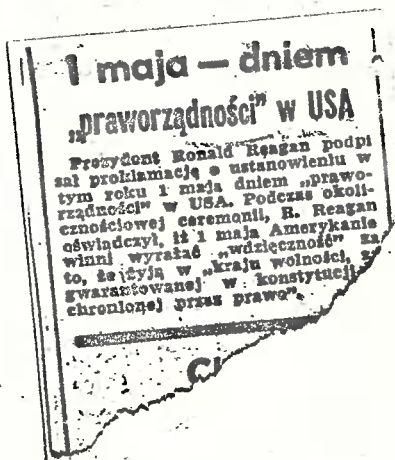
4. kwartalnik "Kontynent", wydawany w różnych wersjach języko-
wych w Monachium - Republika Federalna Niemiec.

§ 2. Pozbawienie debitu obowiązuje przez okres pięciu lat.

§ 3. Zarządzenie wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Prezes Głównego Urzędu Kontroli Publikacji
i Widowisk

S. Kosicki



DEMONTAŻE

Włodzimierz Wyszehradzki

Kazimierza Koźniewskiego autoportret podwójny

Wszystko, co mówimy, świadczy o nas. W każdej naszej wypowiedzi tkwi nasz autoportret, którego kontur trzeba wydobyc, jeśli chcemy zrozumieć wypowiedź. A kiedy mówimy na własny temat, kontur autoportretu staje się podwójny: obok linii, kreślonej przez treść naszej wypowiedzi o nas, biegnie linia druga, kreślona przez nasz sposób mówienia. Oba kontury nie muszą się pokrywać, bo pierwszy jest konturem zamierzonym, drugi - mimowolnym. Pierwszy nas projektuje, drugi - demaskuje. W branych w naszym szkicu pod uwagę książkach wspomnieniowych Koźniewskiego/1/ oba te kontury są nie do odróżnienia: pokrywają się. Jest to tych książek osobliwością, której nie można /a zaraz stanie się jasne, dlaczego/ uznać za powód do autorskiej chluby. Analogicznie do orzeczonego przez przedwojenną Sąd Najwyższy prymatu prawa do wolnego wykonywania zawodu nad prawem jednostki do szacunku /R 72-73/, powołując się tu na prawo do wolnego rozpoznawania autoportretu autora, który zbyt zaufał przekonaniu, że "autorytet pisarza nie płynie z faktów jego życia, tylko z wartości i mądrości jego książek" /Z 347/, czyli: zbyt zaufał wartości i mądrości swych książek, bez zawstydzenia kładąc głowę w obrozę kompromisu. Miał "idiosynkrazję do cebuli" /Z 541/, nie do obroży. Nawet obroży stanu wojennego.

Podobnie jak obroży, nie wstydzi się Koźniewski /dalej: KK/ swego nieuczta. Wracz się z nim obnosi. Sądzi, że to Aldona /"Ta z Wallenroda"/ "nie chciała Niemca" /Z 194/. Nie raczy odróżniać metodystów od redemptorystów, a tych ostatnich umieszcza poza Kościołem Katolickim /R 139/. Ma tak prymitywne wyobrażenie o kulturze średniowiecza, że rasizm nazywa "powrotem do średniowiecza" /Z 240/. Już jako uczeń był nieukiem z łaciny /Z 230-231/, więc i jako pisarz popełnia śmieszne błędy: "vacuum" /Z 289/ zamiast "vacuum" / = próżnia/, "orbitentis" /R 180/ zamiast "abundantie"; /2/ popełnia błąd pleonazmu /określany potocznie jako "masło maślane"/, skoro pisze - nie li - zając się z tym, że "clarus" znaczy "jasny" - "Przeszłość klarowała się coraz jaśniej" /Z 562/; o kolumnie /rubryce/ gazetowej pisze: "non omnis moriar" /Z 159/, tj. "nie wszystek umrę", bo nie umie przygotować gramatycznie cytatu do treści zdania, w którym go użył. Ale wróćmy do autoportretu człowieka, który się przetoczył od "Tygodnika Powszechnego" i "Dziś i Jutro" /w latach 1940-tych/ do "Tu i Teraz" /w latach wiadomych/.

Przyjmują tu założenie, które przyjął KK: że nikczemny charakter dziecka jest zapowiedzią nikczemności dorosłego. W "dziecińczych wspomnieniach" /ma to znaczyć: we wspomnieniach z dzieciństwa/ Kadena, tj. w "Mieście mojej matki" i "W cieniu zapomnianej olszyny", rozpoznano pisarskie samooskarżanie się, bo przedstawiony w tych wspomnieniach mały uczeń "był okrutny, zaborczy, brutalny, zazdrośny", i taki właśnie był Kaden jako dorosły/3/. Podobnie KK lubi podkreślać tożsamość charakterologiczną tej samej osoby jako dziecka i dorosłego, i np. o chłopaku, którego za pederastę/4/ i złodziejsztwo usunął z obozu harcerskiego i z ZHP, dodał, że po latach na kierowniczym stanowisku również się dopuścił kradzieży i dużych malwersacji /Z 263/. Może i z KK nie było inaczej? "Póki co" /5/, poznamy jego "szczeciacką zieloność" /Z 70/. Może istotnie jest związek między żalgiem wypracowanym maturalnym /Z 230/ i żalgiem artykułem o stosunkach polsko-litewskich pisany w marcu 1939 roku/6/ i całym stylem bycia KK po 1945 roku? Przecież "tak się to zawsze pruje z jednego końca" /Z 262/.

KK sam siebie przedstawia jako deprawatora kolegów, jako niszczyiciela demokratycznej formy samorządu szkolnego, a zarazem śmie nazywać siebie "działaczem kształtującym opinie" /Z 212/. W 1939 r. w piśmie "Czerwone Łącze", w artykule "Jedna czy wiele organizacji"?, KK opowiadała się niby przeciw projektem uniformizacji środowiska młodzieży szkolnej, chociaż w poprzednim numerze piśmieka sugerował zjednoczenie dwu szkolnych organizacji pilsudczykowski; uniformizacja organizacji pilsudczykowskiej miała ją wzmacnić, a czysto taktyczny postulat pluralizmu służyć miał zapewnieniu pola działania dla tej właśnie organizacji /Z 208/. Śmie KK nazywać siebie "drużynowym wychowującym harcerzy" /Z 212/, chociaż dowiadujemy się, że jako komendant 40-osobowego obozu harcerskiego postępował następująco: "Pozwoliłem sobie na rzecz niegodziwą, choć zalecaną oficerom w regulaminach wojskowych, a drużynowym w przekazywanych ustnie tradycjach. Łamiąc lojalność wychowawcy, który nie powinien ułatwiać sobie w ten sposób pracy /ale czy kiedykolwiek byłem wychowawcą?/, odczytywałem kartki, które chłopcy pisali do rodziców, a oddawali do komendy, skąd zabierał je łącznik idący na pocztę" /Z 184-185/. Już mając chyba stopień Harcerza Rzeczypospolitej, dokonał dwukrotnie włamań do pokoju nauczycielskiego, by sfalszować swoje wypracowanie z matematyki, i - ani jako uczeń, ani jako wspominający - nie widzi w tym niczego rażącego /Z 167 - 170/; dopuszczał się /w klasie przedmaturalnej/ wybryków, które sam nazwał niewybrednymi /ale opisał je bez zawstyżenia/: na pokój nauczycielskim umieścił tabliczkę "00" wziętą z klozetu, a w klozecie powiesił portrety polskich bohaterów narodowych, których nie znośli, np. Emilii Plater /Z 213 - 214/. Kiedy mówi o solidarności uczniowskiej w klasie przeciw nauczycielowi, to doda bez wstydu: "Obojętne, iż w złej sprawie..." /Z 16/. Naganą nauczycielską miał za frazes bez żadnego znaczenia /Z 213/. Niedostateczny ze sprawowania sprawił mu satysfakcję /Z 215/. Był to zatem łobuz, intrygant i cynik. /"harcerz". Oportunistą i rzecznik fałszywej gry /Z 221/. Wahanie w sprawie solidarności uczniowskiej /Z 16/ znalazło swe przedłużenie w tym, że w 1939 r. KK jako student I-szego roku studiów był przeciwny autonomii uniwersyteckiej /Z 249/.

Książki wspomnieniowe KK są tendencyjnie antyreligijne, i aż cyniczne w tej tendencyjności. Nie tylko przypisuje KK całej swej klasie lekceważący stosunek do pielgrzymki jasnogórskiej /Z 226/, ale nawet szyderczo insynuuje, że antysemitckie plugawe zachowanie bojówkarzy cenerowskich na uniwersytecie we Lwowie były bezpośrednią konsekwencją ślubowań jasnogórskich /Z 240/. Pisze o sobie, że jako 18-letni komendant obozu harcerskiego tak manipulował niedzielnym rozkładem zajęć, by harcerze "bagatelizowali znaczenie tego niedzielnego obyczaju" /Z 183/, tj. uczestnictwa we mszy. Pomilimy sentymentalne słowa o polskiej Wigilii na obczyźnie /R 142-145/, o Pastercie /R 145/, słowa o tym, że Żukrowskiemu już jako maturzyście było przyciasno w katolicyzmie /Z 123/. Żałosne jest to, że KK wyszydza i własne przeżycia religijne. W węgierskim więzieniu - zdemaskowany i pobity - upadł w celi na kolana, by niebo prosić o ratunek, ale insynuując samemu sobie, że właśnie wtedy piekło go poczucie w s t y d u /"sam sobie wydawałem się w tą noc tylko szmata"/ z powodu tej modlitwy /"dokonanego aktu wiary"; Z 523, 527/, w s t y d u, który - jak to już widzieliśmy - przychodzi KK-mu przeciw z wielkim trudem. Właśnie te zapewnienia o przeżywanym w t e d y wstydzie, wstydzie tej akurat nocy, wydaje się dokonanym e x p o s t fałszerstwem własnej przeszłości duchowej, bo z dalszego tekstu wspomnień wynika, że w tym więzieniu modlił się nadal, przez całe tygodnie samotnego poytu w celi, a więc nie była to modlitwa "konwencjonalnie uprawianym rytuałem", acz na pewno była poszukiwaniem równowagi psychicznej. KK samą modlitwę traktuje jako następstwo "zachwiania równowagi psychicznej" /Z 539/, chociaż takie określenie wolałbym zachować dla owej niezdolności

do uszanowania własnych dawnych przekonań i przeżyć, dla niepoją- tego wręcz usiłowania, aby te przekonania i przeżycia zeszmacić. Jak się okazuje, nie tylko Stanisława Piaseckiego jego "zaciełrze- wienie totalitarne" prowadziło do "idiotycznych upokorzeń moralnych oraz intelektualnych" /H 246-249/.

KK-go wiadczyć jest też zakleństwienie antynarodowe /chciał skądinąd być podobno pilsadaczykiem!/?/. Przyznaje się nie raz /np. Z 148/ do skłonności do antynarodowej forsy antyszowinizmu /czyżby miało chodzić o tzw. internacjonalizm?/. Nie chciał wstawać, kiedy grano nasz hymn narodowy /Z 230/, natomiast z entuzjazmem śpiewał "Czerwony Sztandar", choć sam siebie ówczesnego zwał "różowym", a nie "czerwonym" /Z 223//8/. Jaki miał stosunek do polskich bohaterów narodowych, już powiedziałem. Przyznał, że jako entuzjasta Związ- ku Radzieckiego boleśnie odczuł słynny nóż w plecy Polski pochnię- ty od Jasnodu dnia 17 września 1939 roku /Z 276/, choć prawdziwi entuzjasci Wschodniego Sąsiada tróćmą innymi słowy musieli określać owu zderzenia. A każdym razem słowa o nożu w plecy brzmią mniej obłudnie niż informacja, że w Anglii w lipcu 1940 r. dowiedział się o d o b r o w o l n y m włączeniu się republik bałtyckich do ZSRR i o ultimatum skierowanemu przez Rosję Sowiecką do króla Karola, tj. o żądaniu o d d a n i e Bukowiny i Besarabii /R 92/. Ale po tym wszystkim mniej już dziwi ta dwuznaczna /ale raczej antypatriotyczna/ opinia o majowym przemówieniu ministra Becka w 1939 roku: "słowa /.../ dumne, bardzo polskie, okrutnie polskie, bezsensownie polskie" /Z 257/, opinia, w której zatarto różnicę między dumnym, polskim i bezsensownym. Słowa Becka współbrzmiały z o miesiąc wcześniejszą opinią L.K.Bocheńskiego, polskiego teologa, profesora katolickiego uniwersytetu we Fryburgu, że w obronie własnego narodu należy wal- czyć nawet bez szansy zwycięstwa /H 278-279/. Taka wtedy była opi- nia Polaków: że kapitulacja jest niebezpieczniejsza niż opór i samo- obrona /R 230/.

Dla tych, co przeczytali wszystko, co napisane powyżej, i dla tych, co znają "sposób bycia" KK-go w PKL /lat ostatnich nie wyka- czając/, wyda się to nieprawdopodobne, a jednak można u KK-go zna- leźć opinie, których nie sposób nie zaprzeczać. Są one wprawdzie opatrzone "małym zastrzeżeniem", które te opinie plami, a nawet unie- ważnia /i tak też się rysuje autoportret podwójny KK-go/. Ale = za- rejestrujmy najprzód te opinie:

1. o bezwzględnej potrzebie p r a w o r z a d n o ś c i i rozumianej jako niedefiniowanie prawa względny natury pozaprawnej /H 255/;
2. o potrzebie odwagi cywilnej jako przeciwwagi dla urzędowego fał- szu /Z 417/, o potrzebie umiętego buntu przeciw zakusom i uzurpa- cjom władzy /H 431/, o obrzydliwości prorządowego konformizmu i oportunistyzmu /Z 51/, o spełnionym w Anglii ideałach obywatelskiej wol- ności słowa użytej przeciw rządowi ograniczającemu /w 1941 r./ swo- body obywatelskie /R 123-130/;
3. o samodzielnosci myślenia politycznego /odpornego na reżimowe slogany/ jako o dowodzie dojrzałości politycznej /H 176, 269; R 18/, która wcale nie polega na "karności" /H 269/, czyli ślepego posłu- szeństwie władzy, gdyż taka karność "to już czysty faszyzm" /H 269/;
4. o obowiązku społecznego protestu pisarzy przeciw nie- przewońcom władzy, obowiązku walki pisarza przeciw każdemu totaliz- mowi /H 225, 315-316/, o chędy stosowania terronu wobec przeciwni- ków politycznych /Z 99/, o samounicestwianiu się dyktator w wyni- ku działania wytwarzanej przez nie gangrony społecznej /H 265/ i w wyniku nieuniknionego oporu społecznego /H 245; R 171-172/, który budzić może tylko najwyższe uznanie /R 19/;

5. o potrzebie wolnej myśli przejawiającej się w swobodnym manifestowaniu się różnic politycznych /H 251; Z 147, przypis /x/, bez sterowanej odgórnie "tonacji narodowej zgody" /Z 309/;

6. o katastrofalnej sytuacji prasy i literatury w kleszczach cenzury /H 327/, o belesnej głupocie konfiskat dokonywanych przez cenzurę, a eliminujących uzasadnione zdania krytyki pod adresem rządu /H 238/; o ujawnianiu przez redakcje pism interwencji cenzorskich jako o doniosłym politycznie zachowaniu dowodzącym wysokiego morale redakcji /H 199/, o konfliktach z cenzurą jako o chlubnym świadectwie wystawianym sobie przez pisma i ich redakcje /H 69, 339/, skoro - zgodnie ze słowami Lassalle'a - najbardziej rewolucyjnym czynem jest po prostu wypowiedzianie tego, co jest /H 327/, a ponadto ważne jest dla moralnego i psychicznego zdrowia narodu, by w nim każda jego mniejszość miała możliwość powiedzenia głośno tego, co myśli/9/.

KK jest za opozycyjnymi wobec rządu organizacjami obrony praw człowieka i obywatela /H 45/, jest zwolennikiem wyborów takich, w których znalazłby odbicie faktyczny układ sił politycznych, a głoszący mógł wybierać pomiędzy różnymi partiami i głosując nie bał się represji /Z 243/, jest zwolennikiem obchodzenia 1-szego Maja jako masowej demonstracji - spontanicznej - przeciw "panującemu porządkowi" /Z 229/, jest zwolennikiem prawdziwej, idealnej koaspiracji antypaństwowej /10/, jest przeciwnikiem prostactwa "wychowania państwowego" w szkole /H 154/ i mierzi go i "naiwny dydaktyzm totalitarny" /H 255/, i kult wojska jako narzędzie dyktatury rządowej /H 108/, i prowadzące do masowej obłądki wymuszanie przekonań lub zmuszanie do praktyk ze społecznymi przekonaniami niezgodnych /Z 76/, i przedstawianie zamachu stanu jako nieodzownego środka "ocalania Polski" /H 60-61/.

Otóż n a r r a t o r książek KK-go doprawdy aprobuje wszystkie te opinie i postulaty, ale ze wspomnianym "małym zastrzeżeniem", które da się jeszcze rozdzielić na dwa zastrzeżenia szczegółowe: 1. że dotyczy to wszystko - te opinie i postulaty! - "Zachodu", a nie "nas", albo: 2. że dotyczy to wszystko "naszej" przeszłości /"senacyjnej"/, a nie "naszej" teraźniejszości politycznej. I robi to KK, który innym wielokrotnie wytyka kazuistykę.

I na tym można by właściwie przerwać ewidencjonowanie materiałów do autoportretu KK. Ale jeszcze podejmę trzy drobiazgi, dla analogii.

KK pamięta, że we Włoszech w czasie wojny w perspektywie szosy sprytnie wygięte żelazo układa się w bezkresny napis: D-U-C-E, D-U-C-E, /R 18/. Podobny efekt daje wykuty literami ogromnej wielkości, na ścianach skalnych otaczających wiraże szosy, napis: S-T-A-L-I-N, S-T-A-L-I-N, który widziałem wiele lat temu /ale też już wiele lat po śmierci Stalina/ chyba w Gruzji.

Wiosną 1937 r. pułkownik Koc organizował Obóz Zjednoczenia Narodowego /H 396/. Był to przejaw totalizacji i etatyzacji /państwowej monopolizacji/ życia politycznego/11/. A czym jest organizowanie FJN /albo jego substytutów/?

KK przypomina, że Goebbels "głosił, że znak 'V' jest starogermańskim symbolem zwycięstwa, choć słowa 'Victoria' nie znajdziesz w żadnym niemieckim słowniku" /Z 503/. Otóż premier PRL w jednym ze swych pogrudniowych /ogólnie mówiąc/ przemówień, na temat tego właśnie znaku, którego używanie telewizyjne Urbanidko nazwało głupia frant pokazywaniem zajęczka, powiedział, że na tę literę nie zaczyna się żadne polskie słowo. Zupnie tak, jakby do zrozumienia żywej polszczyzny nie trzeba było używać przynajmniej Słownika Wyrazów Obcych /Wyd. III, Warszawa 1958, s. 692, szpalta 1/. I zupnie tak, jakby słowa "Victoria" nie znała polska historia i polska kultura.

Przypisy

1. Wprowadzam następujące skróty na oznaczenie książek Koźniewskiego: H - "Historia co tydzień. Szkice o tygodnikach społeczno-kulturalnych", Warszawa 1976; R - "Rok w ziemi obcej", 1940-1941", Kraków 1946; Z - "Zamknięte koła", Warszawa 1965 /jest to skrócone, "stylistycznie przeredagowane" i uzupełnione, łączne wydanie "Zamkniętych kół" z 1957 r. i "Różowych cieni" z 1960 /
2. W cytacie /czy KK wie, że to cytaty ze św. Augustyna?/: "ex abundantia cordis os loquitur" /zob. R 180/.
3. Zob. H. Mortkowiec-Olczakowa, Bunt wspomnień, Wyd. II, zmienione i poszerzone, Warszawa 1961, s. 213-214, 210, 217-219.
4. Skądinąd uważaną przez KK za nic dyskryminującego /Z 262/.
5. Brzydki, ale u KK nagminny "zwrot mowy".
6. Nie można jednak wykluczyć, że KK fałszuje we wspomnieniach /jako ich autor/ swoje i cudze minione przekonania, zbyt wielu osobom przecież dobrze znane, i szkaluje własną i cudzą przeszłość, by wzbudzić większą dla siebie przychylność "władzy". Takie podejście nasuwa się i wtedy, kiedy KK zapewnia, że przedmaturalna pielgrzymka jasnogórska była dla całej klasy tylko świetną okazją do dwutygodniowego wagarowania /Z 226/; i wtedy, kiedy KK ośmieszają dawne swoje przeżycia religijne /Z 523, 527, 533/; i wtedy, kiedy zapewnia, że z innymi "kwiczał z radości" /Z 492/ na wieść, że naród rosyjski "broni komunizmu" przed najazdem hitlerowskim /przypominamy, że "kwiczący" miał lat 22 i był delegatem Rządu Polskiego w Londynie/. To samo podejrzenie nasuwa się, kiedy KK popada w niekonsekwencję: środowisko byłych "kuźniczan", redagujące społeczno-literacki miesięcznik młodych "Orkana Ugorze", nazywa piśmudczykowskim, a zarazem zapewnia, że dla tego środowiska zamieszczane na pierwszej stronie miesięcznika fragmenty pism Piłsudskiego to były tylko skonwencjonalizowane, oportunistyczne frazesy bez znaczenia /Z 221/, podobnie jak "kokieterijna i tradycyjna obłuda tytułów prasowych" /H 349/; ale wtedy byłoby to nie środowisko piśmudczykowskie, lecz pseudopiśmudczykowskie, co z kolei wydaje się nieprawdopodobne. KK sam stworzył dość powodów, by jemu samemu nie ufać tak samo, jak on w 1949 r. nie ufał zeznaniem wysokiego funkcjonariusza II Oddziału składanym /na procesie Adama Doboszyńskiego/ wobec sądu, któremu zależało na skompromitowaniu "podziemia londyńskiego" /Z 479/.
7. Widocznie tu jedno mogło być "swoją drogą", a drugie też "swoją" /Z 308/.
8. Napisał, że przed wojną wierzone w socjalizm, w to, że on "umieścił wszelkie formy gwałtu, /.../ zrzuci wszelkie jarzma niewoli" /H 318/; z czego wynikałoby z jednej strony, że wiedza o realiach przedwojennego socjalizmu była u tych "wierzących" bardzo skromna, a z drugiej strony - że po wojnie wiarę tę utraciono.
9. Zob. R. Zimand, "Uwagi do przyszłej biografii Stanisława Brzozowskiego". W: "Wokół myśli Stanisława Brzozowskiego. Praca zbiorowa pod redakcją A. Walickiego i R. Zimanda". Kraków 1974, s. 407.
10. Chociaż jednocześnie sądzi, że konspiracja wypacza charakter i dlatego - jest jej przeciwny /Z 149/.
11. Zob. np. J. Bartyzel, Jerzy Braun - człowiek i dzieło. "Tygodnik Powszechny" 1985, nr 42, s. 4.

NOTY

"Pustynia Gobi"

Przez długi czas od chwili swojego debiutu w 1961 roku tomem opowiadań "Między brzegami" pisarstwo Kazimierza Orłosa (rocznik 1935) zalozone było przez krytyków do tzw. "małego realizmu" (pytanie do przyszłych badaczy literatury: co wobec tego było Wielkim Realizmem?). Określenie to pokutowało jeszcze przy dwóch następnych zbiorach opowiadań: "Koniec zabawy (1965) i "Ciemne drzewa" (1970). Orłós tkwił swoim mało efektywnym na pozór - ale rzetelnym - pisaniem jakby na obrzeżach oficjalnego życia literackiego; pisanie łączył z jeżdżeniem po wielkich budowach, na których pracował jako radca prawny. Był więc trochę niby literacki outsider, ale tylko duchem nieobecny w warszawskich kawiarniach, bo te podróże po Polsce to był doskonały punkt obserwacyjny przenoszony potem do literatury, z opowiadania na opowiadanie to pisarstwo dojrzewało, jeszcze - skryte pod krytycznym parasolem "małego realizmu" - nie drażniło ani nie przerywało snu "gryzoniem z ulicy Kysiej" (określenie cenzury przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego), jeszcze to był dopuszczalny obraz tej Polski, która za parę lat miała stać się (okazało się, że tylko w hałtach!) drugą Polską - Polską efektywną, dostatnią... Kłopoty literackie Orłósie zaczęły się na początku lat siedemdziesiątych z chwilą złożenia nowej książki - powieści "Cudowna melina", wydana w końcu w 1975 r. w Paryżu; stracił tym samym pracę w Polskim Radiu oraz został objęty całkowitym zakazem publikacji w kraju. Kazimierz Orłós związał się z niezależnym kwartalnikiem "Zapis", którego był jednym z redaktorów. Kolejną swoją powieść pt. "Trzećcie kłamstwo" w roku 1980 wydał w Paryżu.

W roku 1983 nakładem londyńskiego kwartalnika "Puls" ukazuje się szósta książka tego pisarza - zbiór opowiadań "Pustynia Gobi" (w tym samym roku krajowa edycja wychodzi w NOW-aj) pisanych w większości w latach 70-tych, kilka opowiadań zostało napisanych w stanie wojennym.

Jest to już pisarstwo bardzo dojrzałe, kawałek dobrego pisarskiego rzemiosła. Orłós nie bawi się w "literata", pokazuje życie trudne, mało efektywne, skryte za wymalowanymi hałtami, gdzie dzieją się tragedie mniejsze i większe (tragedia milicjanta, któremu wpadł pistolet do szamba a tragedia rodziców, którym syn dygnitarza zabił dziecko), gdzie ludzie kradną, piją wódkę, gwałcą... Orłós nie szuka efektów, nie epatuje czytelnika wymyślonymi brutalizmami. Jest to pisarstwo wręcz suche, beznamętne, mało efektywne literacko (właśnie literacko - to nie zarzut!), jest to rejestrowanie, zapis - ale jakiś efekt osiąga przy tym. Te opowiadania głęboko zapadają w pamięć po przeczytaniu. 16 opowiadań składających się na omawiany tom to okrutna mozaika karozwanego świata i życia, zamieniającego się w ową metaforyczną Pustynię Gobi - jałową, rdzawą, duszną, w tragiczną Pustynię Gobi, która nas powoli, lecz skutecznie, zasypuje swoim piaskiem, otumania, przykrywa... I nie jest to metafora stworzona tylko dla efektu literackiego; choć ohyba raz jeden poszedł Orłós na sztuczność, na literackość, i od razu widać pęknięcia - chodzi o opowiadanie

katyńskie "Drugie wrota w las", ale nie mam na to dowodów, to tylko czytelnicza wątpliwość, podejrzenie.

Otrzymałiśmy książkę, ważną, książkę do czytania i do przeżycia, skłaniającą do wielu cierpkich refleksji, książkę nieobojętą i istotną w rodobku Kazimierza Orłosa.

(jota)

Kazimierz Orłós, Pustynia Gobi; PULS
Publications, Londyn, sierpień 1983, str. 104.

"Bez końca"

Bez poprzedzającej reklamy, bez tak potrzebnych do społecznego funkcjonowania prasowych recenzji, pojawił się w kinach - na ogół peryferyjnych - film Krzysztofa Kieślowskiego "Bez końca". Także ta recenzja może być świadectwem efemerycznej obecności tego dzieła.

Już sam tytuł jest intrygujący. "Bez końca" - czy odnosi się to do przeszłości, czy jest to ponura przepowiednia przyszłości, czy jest to pytanie o granice ludzkiej egzystencji? A do tego jakby replika znanej skądinąd inskrypcji "CDN"...

Najnowszy film Kieślowskiego jest zapisem rzeczywistości po roku 1981, stanowi jej interpretację. Przyjrzyjmy się poszczególnym warstwom tego utworu.

"Bez końca" jest dramatem jednostek, problemów i wyborów osobistych, ale ta pozornie "zindywidualizowana" historia tworzy bardzo szeroką i wierną panoramę społecznego życia w obecnej Polsce. Reżyser i scenarzysta w jednej osobie tworzy film oparty na wydarzeniach rzeczywistych, nie ucieka w odległą metaforę, lecz penetruje najważniejsze sfery pogrudniowej rzeczywistości polskiej. Podstawową jej cechą są przechodzące przez społeczeństwo podziały. I tu ciekawa sprawa - Kieślowski nie ukazuje dwóch obozów. Jest tak, jakby wszyscy byli po tej samej stronie, której przeciwieństwem jest SYTUACJA. Oczywiście, są stronnicy, może nawet zwolennicy sytuacji, ale w filmie nie znajduje ona uosobienia. Jest natomiast zobiektywizowana w postaci procesu politycznego, co wydaje się wariantem świata Kałkowskiego. Z "Procesu" wynika, że przewód ten jest beznadziejny dla oskarżonego K. - beznadziejny nawet wtedy, gdy ma on nadzieję na wyrok uniewinniający. Podobnie u Kieślowskiego - proces przegrywają wszyscy. Zło tkwi w tym, że się on odbywa. Oskarżonym jest członek "Solidarności", sam siebie nie uważający nawet za działacza, ale tak naprawdę oskarżona jest godność, prawda, miłość i solidarność. Sytuacja, która tworzy permanentny proces, oskarża te wartości, które nie mogą się bronić, albowiem ich wyznawca i obrońca zmarł. Pozostał wybór spośród żyjących, którzy reprezentują jednakże różne sposoby działania. Tu jest następująca konstatacja rzeczywistości: podziały społeczeństwa dotyczą

metod obrony, może walki, z SYTUACJĄ. Różnią się krańcowo w swych metodach dwaj adwokaci, sami sobie wchodząc w paradę. Podziały przebiegają zresztą w różnych kierunkach i przez różne rejony, także rodziny.

Kolejną obserwacją z życia wziętą jest ukazanie postaw, a więc mamy tu emigrację, opozycję i działania "prawomysłne". O wszelkie te postawy ociera się, gwałtownie wyrzucona spod ochronnych skrzydeł miłości męża, główna bohaterka filmu - Ula. Przechodzi ona zmienną metamorfozę, która jest jej "wychodzeniem z więzy", samouwalnianiem się księżniczki: od działania prawomysłnego / odmowa wydania dokumentów obrony, jako czynu niezgodnego z prawem / do pewnych prób walki o prawdę / widzimy ją nad tłumaczeniem Orwella - film był kręcony w 1984 roku/.

Obawa o losy dzieci jest tą sprawą, która może nie tyle dyskutowana, co odczuwana jest najmocniej w dzisiejszej rzeczywistości.

W kontekście autobiograficznym można ująć inny ważny element życia w Polsce lat osiemdziesiątych: niezgodna na emigrację. W wywiadzie dla "Polityki" /nr 27 z dn 6 VII 1985/ mówił Kieślowski: "Można by wyjechać, co nie jest dla mnie możliwe z różnych względów, po pierwsze biologicznych, tutaj rosnę i koniec". Nie bierze też takiej ewentualności pod uwagę Ula, która - co reżyser wyraźnie mówi - nie miałyby specjalnych kłopotów adaptacyjnych w życiu emigracyjnym.

Inną ważną sferą rzeczywistości przeniesionej do filmu jest erupcja irracjonalizmu, jaką charakteryzuje się obecna dekada: powszechność szukania recepty na życie w nie spenetrowanych dotychczas rejonach /niekonwencjonalna terapia, seanse hipnotyczne, spirytualizm, pewna rytualizacja życia/ pozwala Uli wierzyć w możliwość kontaktów z przeszłością. Chce uciec do niej jak do azylu, wyrwując się tym samym z sytuacji Procesu, która tak gwałtownie się jej objawia. Zastanawia nieco fakt, że Kieślowski, wiernie oddając ów irracjonalizm, nie dotyka w ogóle spraw religii - ani w jej aspekcie zinterioryzowanym, ani zinstytucjonalizowanym. Postaramy się na to odpowiedzieć nieco dalej.

Z powyższego skonfrontowania filmu z rzeczywistością wynika, że charakter tych obu światów jest dychotomiczny. Owa dychotomia wyraźnie zaznaczona jest w "dwojkowej" i antytetycznej konstrukcji filmu. Świat osoby układa się tu w wyraźne pary: dwóch adwokatów, którzy reprezentują dwa różne modele działania - pragmatyczny i idealistyczny, albo oparty na doświadczeniu i wynikający z determinacji. Małomówny więzień /przypomnijmy, że ta postać, bynajmniej nieobca w naszej rzeczywistości, pełni tu funkcję raczej alegoryczną/ posiada partnera w osobie nieżyjącego adwokata. Ta para ukazuje inną możliwość życia, które nie jest walką, lecz miłością, braterstwem i solidarnością. Samym swym istnieniem, instynktownym ostantaniem przy wartościach, które ludzkość uznawała za dobre, tworzy ta para Procesu swą postawą centrum życia innych, model postępowania godziwego. Ostateczny wyrok z zawieszeniem jest wyrokiem "bez końca", jest pozostawieniem decyzji działania samemu oskarżonemu, pozbawionemu właściwego adwokata /alegoryczność i pewna reprezentacyjność tego ostatecznego jest także łatwo czytelna, jednak interpretacja: zmarły adwokat - "Solidarność", więzień - uciśniony naród byłaby zbyt dużym uproszczeniem/. Oskarżony sam musi rozstrzygnąć, czy trwając w SYTUACJI będzie przegranym nikiem, czy skazanym nikiem. Efektem Procesu jest wybór między codzienną świadomością i przeżywaniem gorzkiej klęski i upokorzenia a beznadziejną martyrologią.

Odwieczny dramat tworzy para matka - syn. Nie jest to jednakże strictly egzystencjalny dramat każdego, wyrwającego się z zaznaczonej obecnością matki Arkadii dzieciństwa w okrutny świat dorosłości.

Ten dramat przeżywa matka - Ula widząc, że dziecko poczuło zapach prochu - tu kończy się jej kontrola nad chłopcem. Wyrasta wojownik.

Konstrukcją opozycyjną, bardzo mocno i dramatycznie osadzona w obecnej rzeczywistości jest konflikt: ojciec /zwolennik SYTUACJI/ - córka /żona więźnia/. Nie chodzi tu o konflikt pokoleń; między tą parą rozgrywa się dramat przygnębiający, którego rysy przechodzą przez polskie rodziny. Najogólniej można to przedstawić jako odmienne rozumienie rzeczywistości, a już każdy widz podłoży tu swoje doświadczenia i obserwacje.

Ogólniejszą opozycja konstruującą świat filmu jest para obcy - swój. Dotyczy ta para przede wszystkim wyborów i afirmacji. Obcym jest młody adwokat Tomek, który przebywał poza krajem w okresie przelomu i obecnie nie może znaleźć tu dla siebie miejsca. Jego planowana "ucieczka", jak i korespondująca z jego statusem scena wywiezienia źle zaparkowanego samochodu, zawiera w sobie jakąś negatywną wartość. Ten człowiek już nigdy chyba nie znajdzie swojego "parkingu", ale też i szuka go niezbyt przekonywująco.

Amerikanin - przedstawiciel świata o prostych i łatwo zrozumiałych wartościach nigdy nie będzie, w przekonaniu bohaterki, w stanie zrozumieć skomplikowania psychiki wyrażającej się w trywialnym akcie sprostytuowania. Nie jest mu dane odkrycie anielskości "duży w czerepie rubasznym".

Główną i najistotniejszą opozycją filmu jest funkcjonalowanie w nim świata żywych i umarłych. Opozycja ta jednak jest raczej parą wspólnie tworzącą pewne uniwersum istnienia, niż kontrast egzystencji i niebytu. W filmie w ogóle daje się odczuć obsesję śmierci, chęć uchwycenia momentu przechodzenia "na tamtą stronę". Wymienimy: Śmiertelny wypadek - jak ze sztuki ekspresjonistycznej - pełnego radości życia i złudnego optymizmu kierowcy luksusowego Mercedesa /jakby korespondujący z sytuacją Uli/. Chory na raka opozycjonista /może nieco przerysowana sylwetka, niebezpiecznie wskazująca także na determinacje w podejmowaniu wielki politycznej/. Obecność grobów, cmentarzy, samobójstwo Uli, no i przede wszystkim postać Głównego Nieobecnego. Tytuł "Bez końca" - jak już wskazywaliśmy - może mieć wiele odczytań, a wśród nich i to, które wskazuje, że śmierć nie jest barierą, nie może być granicą wyznaczającą a priori sfery naszego działania w życiu. Inaczej mówiąc, jest to koncepcja człowieczeństwa nie ograniczonego do materialistycznego rozumienia egzystencji. W owej "materii życia" nie mieszczą się wartości, których istnienie tak nagle objawiło się Uli wraz ze stratą jej matki. Narastająca tęsknota za nią jest odkrywaniem pustki życia bez ponadmaterialnych wartości i przesadza się w coraz bardziej namiętną tęsknotę do niego. To uczucie przełamie barierę śmierci i doprowadzi do spotkania w innym wymiarze, gdzieś w rejonach, w które odchodził Indianin z Formanowskiego "Lotu nad kukułczym gniazdem" /odnotujmy duże podobieństwo scen końcowych obu filmów/. W rejonach, gdzie człowiek nie jest już przedmiotem Procesu i gdzie istnieją nieśmiertelne idee: Gośćność, Miłość i Solidarność. Może dlatego Kieślowski rezygnuje z przedstawiania religii - jego film jest o tragedii idei ludzkich, które zniewoliła SYTUACJA, o tragedii humanizmu. Człowiek prawdziwie wierzący w transcendencję nie zna prawdziwej tragedii - jego świat ma wymiar finalny. Kieślowski nie sięga w rejonny absolutu - zajmuje się światem i metafizyką człowieka, nie Boga.

Przejawia się w filmie "Bez końca" specyfika polska w zamknięciu do symbolu, chętnie nawiązującego do problematyki narodu. Kieślowski przepłata filmową rzeczywistość symboliką /tzw. dla rodaków czytelną, co nie znaczy banalną/, tworząc tym samym wielką metaforę, bądź też ukazując inny, historyczno-metafizyczny wymiar polskiej rzeczywistości percepcyjnej tu i teraz.

Wydaje się, że zastosowany jest tu symbol dwojakiej natury: symbol zewnętrzny i wewnętrzny. Ten pierwszy otwiera dzieło Kieślowskiego odwołując się do pozafilmowego kodu - wspomnieliśmy o znaczącym tytule Orwellowskiej powieści, ale bardziej znaczące jest tu osadzenie roli Zmarłego przez Jerzego Radziwiłłowicza. To tak jak współczesna sufrażystka Jane Fonda w filmie nakręconym przez Losey a według Ibsenowskiej "Nory". Już pierwsze kadry filmu z jego postaciami mówiącą "umarkem" muszą wzbudzić w widzu określone skojarzenia. Radziwiłłowicz to odtwórca tytułowych bohaterów "Człowieka z marmuru" i "Człowieka z żelaza". Zdaje się, że było pewne oczekiwanie na dalszą część tego dyptyku - czy Kieślowski go zamysła, czy też może dopowiada tworząc tryptyk? A może Koło, a nie tryptyk, jak sugerowałby tytuł filmu? Można by spróbować nadać temu filmowi tytuł "Człowiek z..." /może: nis z tego świata, spoza tej rzeczywistości/ i zapytać czy chodzi o człowieka jeszcze bardziej, poprzez swą transcendencję, niezłomnego niż ci z marmuru i z żelaza... A może człowiek - hasło, człowiek - idea, której PROCES właśnie się toczy ...

Przejdźmy do symboliki "wewnętrznej". Gdyby odciec zastosować dokładną egzegezę, to trzeba by porządniejszej i obszerniejszej analizy niż ta. Niewątpliwie intrygujący jest czarny pies, bardzo mocno zakodowany w kulturze europejskiej: od Homerowskiego Argosa, poprzez znany tryptyk Dürera, widnieje jako symbol wierności na "Portrecie małżonków Arnolfini" a ostatnio pojawił się w filmie "Stalker" Tarkowskiego. Historyczny kontekst pozwala łatwo rozszyfrować ten symbol.

Ciekawszym symbolem jest inny, rodzimy, który zawiera się w scenie przedstawiającej Ulę klęczącą nad grobem męża. Zapala ona tam, jakby się z kimś porozumiewając, zapaliki, które układają się w literę "jakiej nie ma w języku polskim", a scena przywołuje na pamięć jedną z najsłynniejszych w polskim filmie - rozmowę Małka Chełmińskiego z Andrzejem, w której bezsens przegranej zagłuszany alkoholem przemienia się w żywą, "płonącą" pamięć walki i martyrologii.

Innym symbolem, o którym już wspomnieliśmy, jest pusta gilza znaleziona na placu po utarczках ulicznych, z której dziecko czuje zapach prochu. Matka traci w tym momencie kontrolę nad jego życiem, jest mu niepotrzebna, gdyż chłopiec nieuchronnie podąży w świat walki. "Kiedy niemowlę wyrasta - pisał Kierkegaard - i musi być odłączone, kryje matka swą pierś jak dziewica i dziecko nie ma już matki. Szczęśliwe dziecko, które tylko w ten sposób traci matkę". Tu nawet wybór strony został już przez chłopca dokonany - znakiem tego jest moment, w którym dotychczasowe, niewinne, pełne optymizmu i wiary w przyszłość dziecka lekcje muzyki owocuje melodią rewolucyjną. Teraz Ula jest już zupełnie csemantioną - może już bez obaw o konieczność bycia z dzieckiem przygotowywać się do pójścia za mężem.

Symboli, jak powiedzieliśmy, jest tu wiele i nie sposób mówić o wszystkich. Może warto zaznaczyć jeszcze, że układają się one jakby w plany symboliczne: można mówić, z pewną przesadą, o symbolicznym zamknięciu przestrzeni: więzienie i kraty, ktoś zamknięty w windzie beznadziejnie tłucze się w nadziei uzyskania pomocy z zewnątrz, wreszcie staranne zamykanie wszelkich możliwych "wyjść" przez bohaterkę w końcowej scenie samobójstwa. Zaklekanie ust przylepcom - z praktycznego punktu widzenia nielogiczne - jest może aż zbyt natrętnym i dosłownym symbolem niemocy i braku możliwości pełnego wypowiedzenia się.

Mówiliśmy o relacji rzeczywistość - film, o konstrukcji filmu i jego symbolach, powiedzmy jeszcze o odbiorcy, na którego

"obecność" Kieślowski jest szczególnie wrażliwy. Można powiedzieć, że "Bez końca" zrobiony jest dla dwóch odbiorców: polskiego i zagranicznego, co nadaje mu pewnej uniwersalności. Szkoda, że publiczność w Cannes - o czym pisał w "Polityce" Kałużyński - domagająca się tylko tego filmu z Polski nie została usatysfakcjonowana; może zaistniała tu obawa, że znowu nie ten Człowiek zostanie nagrodzony ...

W każdym razie już początek filmu - przegląd wnętrza urzędowego "zachodnio" - dla polskiego widza znaczy zupełnie co innego niż dla zachodniego odbiorcy. To nie tylko dostatek, czy nawet luksus, ale także znak pewnej niezależności, szklanego klosza, albo raczej wieży z kości słoniowej /czytaj: z klocków LEGO/, w której żyła bohaterka nie zdając, albo nie chcąc zdawać, sobie sprawy z tego, jak naprawdę wygląda polska rzeczywistość lat siedemdziesiątych. Dla polskiego widza ów komfort w filmie: ładne wnętrza, zachodnie samochody, brak codziennego "małego realizmu" w postaci krzątania, kolejek, brudu, szarości itp., nie jest jednak zafaszowaniem rzeczywistości - jest tylko ukazaniem złydy "drugiej Polski", w której wislu urządziło sobie wcale ładne gniazdko. "Idź zachodni zachowa przy odbiorze tego obrazu swój "wygodny" sposób oglądania, nie będzie miał do czynienia z agresywnością formy, egzotyką, która dla wielu z góry jest nie do zniesienia. Tym samym skupi on swą uwagę na tym, co film rzeczywiście chce pokazać, czyli na przyczynach tego co mamy i na charakterze, żeby już trzymać się tego słowa, duszy polskiej.

Kieślowski jest dokumentalistą, ale odchodzi /także i w innych swoich filmach/ od realizmu w symbolizm. Jest w tym bardzo "polski", z ducha romantyczny. Obca jest mu, ostatecznie tak natrętnie stosowana, aluzyjność, która nie jest twórcza i stanowi jedynie sztuczny język i sposób mówienia "nie wprost" o sprawach oczywistych.

Film Kieślowskiego zakreśla wyraźną linię tradycji. Świetne sceny omentarne a także ukazanie istnienia w zachodzących na siebie sferach życia i śmierci przywołują ciągle aktualne "Dziady". Zbliżenie do młodopolskich zamiłowań symbolistycznych wywołuje w filmie "Bez końca" odgłos dramatów Wyspiańskiego. Podobnie jak dramat Mickiewicza i dramaty twórcy "Wesela" posiada film Kieślowskiego wymiar uniwersalny: jest zapisem obecnej rzeczywistości polskiej, ale tę obecność łączy z tradycją, stara się być filmem dokumentem, ale penetruje także rejony metafizyczne, wzbudza lub podsycza sprzeciw wobec SYTUACJI i Proesu, łagodzi go ukazując nieśmiertelny wymiar ludzkich ideałów. Być może śmiertelni nie mogą usłyszeć głosu złotego rogu, ale brzmi on na pewno ...

A.

prezes ZLP

Prezesem ZLP został Wojciech Żukrowski. Podtytuł naszego pisma "zeszyty literackie" zobowiązuje do odnotowania tego faktu. Zyciorys Prezesa jest łatwo dostępny, więc odpuścimy sobie całość. Aby jednak zadośćuczynić kronikarskiemu obowiązкови, postużymy się obrazkiem z życia autora "Kamiennych tablio", jaki znaleźliśmy w "Dzienniku pisanym nocą" Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (Paryż 1973):

"16 września 1971

Już trzeci z kolei rozmówca ze środowiska w kraju pomstuje na W.Ł. Znudziło mnie to, więc dzisiejszemu zafundowałem autentyczny rozdziałik z dziejów mojej znajomości z Ł.

Było to na kongresie PEK w Amsterdamie, w roku 1954. Ponieważ członkom delegacji polskiej zakazano się widywania ze mną, z Ł. umówiłem się potajemnie w restauracji indonezyjskiej u czorta na kuliszkach. Popiliśmy zórcwo, dużo i zajmująco opowiadał o swoich wojennych przeżyciach (jest urodzonym gawędziarzem). Zbliżał się moment rozstania. Wtem Ł. przechylił się nad stołem w moją stronę i wywiązał się między nami następujący krótki dialog:

On (śmiertelnie poważny): Jeżeli Amerykanie przyjdą kiedyś na Wschód, wy tutaj wiecie co ja naprawdę myślę?

Ja (siłąc się na taką śmiertelną powagę): Naturalnie, naturalnie...

On (dalej śmiertelnie poważny): A jeżeli Rosjanie przyjdą kiedyś na Zachód, co mógłbym dla ciebie zrobić?

Ja (dalej siłąc się na taką śmiertelną powagę): Tylko jedno.

On (zamieniając się w słuch): ???

Ja (nie zmieniając tonu): Postaraj się, żeby moje zwłoki wydano rodzinie.

Zwiesił głowę, uczcił końcowy akord dialogu przepisową miętą młoczenia. Ja też. Potem wybuchnąłem śmiechem. Podniósł głowę. Nie przestawałem się śmiać. Miał zgorzchną i obrażoną minę.

I takie również rozmówki z onych czasów należy spisywać na użytek potomności, ku pokrzepieniu polskoin serc".

Młode małżeństwo z Wilna z wizytą w KC PZPR

Przebywające w naszym kraju na zaproszenie I sekretarza KC PZPR młode małżeństwo z Wilna — Ręda i Albert Tomjałtoic — złożyło wczoraj wizytę w siedzibie KC PZPR. Przyjął ich Józef Czyrek.

W serdecznej i bezpośredniej rozmowie goście podzieliли się wrażeniami z pobytu w Polsce, wyrażając podziękowanie za umożliwienie im odwiedzenia ojczyzny przodków Alberta Tomjałtoica.

1971

Spis treści

PYTANIA DO EUROPY

Seria pierwsza : Początek ?	
Filozof Europy (r).....	3
Jan Patočka : Europa i dziedzictwo europejskie do końca XIX wieku.....	5
Norberto Bobbio : Europa - społeczność umysłów.....	16
Seria druga : Sąsiedztwa	
Inni Niemy. Rozmowa z Ewą i Volkerem.....	21
Beata Rój-Porubska, Wróg publiczny - poezja śpiewana ...	30
Emigracja w Żonie emigracji. Rozmowa Karela Hvizdali z Karem Krylem	32
Karel Kryl, Jaroslav Hutka, Vlastimil Třešňák - wiersze	38
Seria trzecia : Rosja - Polska	
Uwagi o Rozanowie	49
Wasilij Rozanow: Uwagi o Polsce.....	49
Seria czwarta : Splątania	
Stefan Berski: Historie z narodem	56
Jakub Dantyszek: Tajnie raz jeszcze	61
Seria piąta : Głos poety	
Kazimierz Nowosielski: Ciemności Orfeusza	71
Jerzy Semen: Jeźdźcy i twierdza	74
DWUGŁOWI	
J.G. : Renegat i ci, co pozostali wierni	75
Z HISTORII PISARZY	
A.T.: Spotwarzony ?	80
Paweł Jasienica: Fragment życiorysu	84
WŁADZA SŁOWA /3/	
Jan Nierem: Wolność czytania	88
DEMONIAŁE	
Włodzimierz Wyszehradzki: Kazimierza Koźnińskiego autoportret podwójny	92
NOCY	
"Przystynia Gobi" /jota/.....	107
"Bez końca" A.	108
Nowy prezes ZIP	112

niezależna
oficyna
wydawnicza 

pismo dofinansowane z funduszy niezależnych

Cena 350 zł.